

ZBIGNIEW NIENACKI

WYSPA ZŁOCZYŃCÓW

ROZDZIAŁ PIERWSZY

DZIWNY SPADEK – TAJEMNICZY WEHIKUŁ WUJA GROMIŁŁY – CO TO ZA STWÓR? – SENSACJA NA ULICY – LARWA OBRZYDLIWEGO CHRABĄSZCZA – SZYDERSTWA NA STACJI BENZYNOWEJ – SZALEŃCZA SZYBKOŚĆ – ZDUMIENIE AUTOMOBILISTÓW – CO POTRAFI WEHIKUŁ WUJA

Nie trzeba szukać przygody. Nie znajdzie się jej, choćby pojechało się aż na koniec świata, przez siedem rzek i za siedem gór. Nie zjawi się, choćby czekało się na nią dzień i noc, prowokując ją i nastawiając na nią pułapki. Nie przywoła jej żadna prośba i może się okazać, że nie ma jej nawet tam, gdzie tyłu już ją spotkało. Czyż nie zdarzyło się niejednemu odbywać podróż przez słynny z burzliwości ocean, gdy był on spokojny jak staw za domem? Czyż nie przydarzyło się niejednemu, że przedzierając się przez najdzikszą dżunglę nie napotkał ani krwiożerczych zwierząt, ani czyhających na jego życie krajowców; dzika dżungla okazała się tak bezpieczna, jak park miejski.

Bo przygody nie trzeba szukać. Ona zjawia się sama. Przychodzi w najbardziej niespodziewanych momentach i w nieoczekiwanej postaci, najczęściej, gdy nie spodziewamy się jej, nie pragniemy jej, gdy nie jest nam ona potrzebna. Najpierw daje nam znak - że oto jest, przyszła po ciebie, chce cię ogarnąć i wciągnąć w swą grę. Musisz od razu wiedzieć, że to właśnie jej znak, musisz go rozpoznać wśród tysiąca innych znaków. Nie wolno ci zlekceważyć jej wezwania ani odłożyć go na później. Nie lubi leniwych. Pominie cię, odejdzie i więcej po ciebie nie wróci...

Zadziwiająca przygoda, jaką przeżyłem na Wyspie Złoczyńców, zapukała do mnie pod koniec czerwca 1961 roku. Ubrana była w mundur listonosza, który wręczył mi zapieczętowaną kopertę z nagłówkiem: ZESPÓŁ ADWOKACKI nr 3 w KRAKOWIE. W zapieczętowanej kopercie znajdowało się zawiadomienie Zespołu Adwokackiego, że po prawie rok trwającym przewodzie spadkowym, na mocy testamentu zmarłego przed rokiem wuja mego — Stefana Gromiły, stałem się właścicielem znajdującego się w Krakowie „murowanego garażu samochodowego oraz znajdującego się w nim pojazdu mechanicznego”. Z treści listu wynikało, że po opłaceniu pewnych kosztów związanych z przewodem spadkowym mam obowiązek „wejść w prawa posiadacza murowanego garażu samochodowego oraz znajdującego się w nim pojazdu mechanicznego”.

Wyznaję, że list ów wprowadził mnie w pewne zakłopotanie. Nie czułem potrzeby posiadania w Krakowie „murowanego garażu samochodowego”, mieszkałem bowiem w Łodzi. O ile dobrze pamiętałem, ów „pojazd mechaniczny” był okropnie starym gratem, w którym człowiek z moją pozycją społeczną i w moim wieku raczej pokazywać się nie powinien.

Czyż mogłem przypuszczać — czy ktokolwiek z Was spodziewałby się - że list z Zespołu Adwokackiego jest wezwaniem najprawdziwszej i pełnej niebezpieczeństw PRZYGODY?

Zatelefonowałem do swego młodszego brata, zdecydowany darować mu „murowany garaż samochodowy i znajdujący się w nim pojazd mechaniczny”.

Odmówił. Powiedział, że on również otrzymał list z Zespołu Adwokackiego nr 3 w Krakowie i na mocy testamentu wuja Stefana Gromiły stał się właścicielem książeczki oszczędnościowej, na której znajduje się osiemdziesiąt tysięcy złotych.

- Za te pieniądze, jeśli zechcę, będę mógł kupić sobie nowy samochód - rzekł mój młodszy brat Paweł. - Po co mi stary grat wuja? A i garaż w Krakowie również nie jest mi do niczego potrzebny. Sprzedaj go - doradził mi.

Zatelefonowałem do kuzynki Franciszki. Okazało się, że i ona otrzymała list z Krakowa i stała się właścicielką kompletu mebli stylowych oraz szafy z książkami, należącymi do naszego wuja.

- Wyjaśnij mi moja kochana - powiedziałem kuzynce - dlaczego właśnie mnie wuj Gromiło darował garaż i starego grata? Czyż nie rozsądniej by było zapisać mi w testamencie szafę z książkami? Wyznaję, że najbardziej chciałbym otrzymać osiemdziesiąt tysięcy na książeczce oszczędnościowej.

- Ostatni raz spotkaliśmy się z wujkiem przed dwoma laty — przypomniała mi Franciszka. - To było na pogrzebie ciotki Anny. Czy nie chwaliłeś się wówczas, że właśnie otrzymałeś prawo jazdy?

- No tak. Teraz to już wszystko rozumiem. Wuj myślał, że, Bóg wie jak wielką radość sprawi mi swoją darowizną.

I rad nierad zmuszony zostałem „wejść w posiadanie murowanego garażu samochodowego i znajdującego się w nim pojazdu mechanicznego”. Pojechałem w tym celu do Krakowa, śpieszyłem się zresztą z załatwieniem tej sprawy, ponieważ na początku lipca oczekiwał mnie wyjazd na dość długi okres czasu. Jeden z moich przyjaciół poprosił mnie, abym spróbował wyjaśnić pewną dość intrygującą historię. Przyjąłem tę propozycję, ponieważ mogła mi ona wypełnić nudnie zapowiadający się urlop.

Zdecydowałem się pójść za radą mego młodszego brata i sprzedać zarówno ów garaż, jak i samochód wuja. „Kto wie - zastanawiałem się - czy za sumę, uzyskaną ze sprzedaży, nie będę mógł nabyć na raty jakiegoś nowego samochodu? Taki pojazd przydałby mi się na urlopie”.

Chętnego do nabycia garażu znalazłem bardzo prędko, gorzej było z nabywcą starego samochodu wuja Gromiły. Ktokolwiek obejrzał ów wehikuł, uśmiechał się z zakłopotaniem i natychmiast żegnał się ze mną. Nawet nle próbował pytać o cenę.

Bo też był to samochód wystarczająco dziwny, aby odstraszyć każdego normalnego człowieka. Jego wygląd wprawiłby w radość tylko kogoś skłonnego do największej ekstrawagancji, kogoś, kto nie przejmowałby się tym, że na widok owego samochodu, poruszającego się na ulicach miasta, będą przystawać zdumieni przechodnie, a każde zatrzymanie go przy chodniku spowoduje gromadzenie się tłumów wydziwiającej dzieciarni. Pojazd mego wuja powodowałby prawdopodobnie zakłócenie spokoju publicznego w mieście również dlatego, iż wraz z jego pojawieniem się na ulicy przerażeni kierowcy warszaw, syren czy moskwiczy przyciskaliby klaksony, aby upewnić się, że nie śnią i że „takie coś” nie jest „latającym talerzem” z Marsa.

Wyobraźcie sobie czółno odrapane, zielonkawożółte, z zaciekami brązowymi i granatowymi, na czterech kółkach, z których dwa tylne mają szprychy, a dwa przednie ich nie posiadają. Na tym czółnie znajduje się brezentowy wypłowiec namiot koloru khaki. W namiocie tym są celuloidowe okienka - z przodu, z tyłu i z boków. Namiocik *jest* dość długi, w gruncie rzeczy w wehikule owym pomieścić się mogą nawet cztery osoby; reszta namiotu zabudowana **jest** jakimiś dziwnymi mechanizmami. Przyznaję, że nawet nie próbowałem uruchomić owego pojazdu - takim napelniał mnie strachem.

- Proszę pana - odezwałem się do pewnego weterynarza, który okazał gotowość nabycia garażu. - Garaż jest duży, murowany, suchy, widny, a do tego z doskonale wyposażonym warsztacikiem reperacyjnym. Myślę, że nie będzie dla pana krzywdą, jeśli za niewielką dodatkową opłatą nabędzie pan ode mnie także i samochód mego wuja.

- To nie jest samochód - zdecydowanie stwierdził weterynarz.

- Przepraszam, a co to jest?

- Nie wiem. Ale to na pewno nie jest samochód. Gdybym czymś takim pojechał na wieś leczyć konie lub krowy, ludzie uciekliby przede mną. Straciłbym klientelę.

- Niech go pan rozbierze na części - doradziłem.

- Panie - zawołał przestraszony weterynarz - a do jakiego samochodu nadałaby się choć jedna część z tego pojazdu? Chyba, żeby go sprzedać na złom, na kilogramy. Ale to już

pan sam zrobi.

Weterynarz zajrzał przez celuloidowe okienka do wnętrza wehikułu.

- Patrz pan - rzekł - ten pański wuj to musiał być niezły dziwak. Na desce rozdzielczej jest tyle zegarów, co w nowoczesnym cadillacu. Ten pojazd nie rozwija chyba więcej niż sześćdziesiąt kilometrów na godzinę, a szybkościomierz ma do dwustu osiemdziesięciu kilometrów. O ile, rzecz jasna — zastrzegł się - ten pojazd w ogóle potrafi ruszyć z miejsca. Tfu - splunął.- Takie coś może się człowiekowi tylko przyśnić, a nie będzie to sen najprzyjemniejszy.

Weterynarz okazał się człowiekiem bardzo ciekawym. Uniósł maskę pojazdu wuja, potem zajrzał do skrzyni.

- Ma, zdaje się, przedni i tylny napęd - oświadczył, co zresztą i ja równocześnie z nim stwierdziłem.

- Posiada dwanaście cylindrów - dodał. Obejrzelismy skrzynkę biegów.

- Owszem, są cztery biegi przednie i jeden bieg wsteczny - zauważył weterynarz.

Jeszcze tu i ówdzie spojrzeliśmy, sprawdziliśmy przewody elektryczne. Włożyłem kluczyk w „stacyjkę”. Motor natychmiast zaczął pracować, czynił to bardzo cicho, prawie niedosłyszalnie.

Weterynarz podrapał się w głowę.

- No, dobra - powiedział łaskawie — dodam panu pięć tysięcy i kupię garaż razem z tym wehikułem.

Ale i ja w międzyczasie zrobiłem sporo ciekawych spostrzeżeń, które zadecydowały, że z mniejszym niż dotąd przerażeniem spoglądałem na wehikuł wuja Gromiły.

Postarałem się także przypomnieć sobie sylwetkę mego wuja. Było to dość trudne, ponieważ znajomość z wujem ograniczyła się do kilku rodzinnych spotkań i do tego, co o nim w rodzinie mówiono. Opowiadano zaś o wuju jako o pełnym fantazji dziwaku, wykształconym i bardzo zdolnym, któremu jednak w życiu się nie powiodło. Wuj Gromiło był inżynierem mechanikiem, kiedyś zarabiał bardzo dobrze, ale większość zarobków pochłaniały wynalazki, które nieustannie opracowywał i których wykorzystanie proponował odpowiednim instytucjom. Wymyślił więc wujek Gromiło kłódkę, która miała zabezpieczać przed najzmyślniejszymi złodziejami, drzwi wodoszczelne, hamulce kolejowe działające podobno znacznie lepiej od tych zazwyczaj używanych. Wymyślił także jakiś specjalny zmywak do naczyń kuchennych, specjalny rodzaj szkła ognioodpornego. Żaden z tych wynalazków nigdy nie został wykorzystany. Dlaczego? Tego nikt w naszej rodzinie nie wiedział. Prawdopodobnie były to mało praktyczne wynalazki. Wiem, że kiedyś podarował

moim rodzicom jedną ze swych fenomenalnych kłódek. Rodzice założyli ją w piwnicy, gdzie tak długo nikomu nie wadziła, aż gosposia zgubiła od niej klucz. Wówczas rzeczywiście żaden ślusarz kłódki tej nie potrafił otworzyć i trzeba było wyrywać drzwi razem z futryną, co bardzo rozgniewało moich rodziców. Odtąd nigdy już nie zdecydowali się założyć kłódki wynalezionej przez mego wuja, choć wuj zaofiarował się z następną.

- No więc jak, bierze pan te pięć tysięcy? - spytał weterynarz. Przecząco pokręciłem głową.

- Dam panu dziesięć - podniósł cenę.

To właśnie upewniło mnie w przekonaniu, że pojazd mego wuja jest wart więcej, niż to się mogło z pozoru wydawać.

- Przyszło mi do głowy - powiedziałem do weterynarza — że jednak ten wehikuł stanowi pewnego rodzaju pamiątkę po moim wuju i nie powinienem się z nim tak od razu rozstawać.

Weterynarz zrobił obrażoną minę.

- Jak pan uważa - rzekł. - Ale w Krakowie wszyscy wiedzą, że pański wuj był wariatem. Ten pojazd jest chyba także wariacki.

Westchnąłem z udanym ubolewaniem.

- Trudno. Ale skoro to jest jednak pamiątka rodzinna, zabiorę ją ze sobą do Łodzi. Weterynarz wzruszył ramionami, zapłacił mi za garaż i pożegnał mnie bardzo chłodno. Był na mnie trochę obrażony, ponieważ najpierw gorąco namawiałem go do kupna samochodu, a potem nagle zrezygnowałem ze sprzedaży.

Z odrobiną trwogi zasiadłem za klerownicą wehikułu wuja Gromiły. Uprzednio stwierdziłem, że w baku jest tylko dziesięć litrów benzyny. Nalałem wody do chłodnicy, sprawdziłem poziom oleju silnikowego i stwierdziłem, że oprócz paliwa pojazdowi nie brakuje niczego do odbycia podróży z Krakowa do Łodzi. Hydrauliczne hamulce działały sprawnie, samochód posłusznie poddawał się każdemu drgnieniu kierownicy i natychmiast reagował na przyciśnięcie pedału przyspieszacza.

Wyjechałem z bramy na ulicę i od razu poczułem się pewnie. Prądnica ładowała akumulator — cóż więcej można było wymagać od tego wehikułu? To prawda, pojazd był dość kłopotliwy, a to dlatego, że budził na ulicy sensację. Gdy zatrzymałem się na skrzyżowaniu przed czerwonym światłem, natychmiast jakiś przechodzień zajrzał do mnie przez celuloidowe okienko i zapytał ironicznie: „Panie, gdzie takie parowozy sprzedają?”. Nawet milicjant kierujący ruchem ulicznym na widok pojazdu wuja zrobił zdumioną minę i aż ręce mu opadły, co na krótko spowodowało dezorientację wśród kierowców, znajdujących

się na skrzyżowaniu.

Przez młasto przejechałem dość wolno, na trzecim biegu, obiecując sobie dopiero na szosie sprawdzić szybkość pojazdu.

Zajechałem przed stacją benzynową, znajdującą się już na przedmieściu. Stały tu w kolejce trzy samochody osobowe - żółty wartburg, zielona simca i moskwicz. Ledwie zajechałem przed stacją, z samochodów tych wyskoczyli kierowcy i otoczyli mój wehikuł.

- Uff, ale nas pan przestraszył - zawołał gruby właściciel wartburga, udając, że chwyta się za serce. - Myślałem, że to leci na nas helikopter, któremu się śmigła oberwały.

- E, nie - pokręcił głową właściciel simki - to raczej podobne jest do łodzi podwodnej,

- Albo do drezyny kolejowej - wtrącił kierowca moskwicza,

Nawet pracownik stacji benzynowej, ubrany w wyplamiony oliwą kombinezon, pofatygował się do mnie i zapytał ironicznie:

- Przepraszam, a pan co u nas zamierza tankować? Ropę naftową? Węgiel? Spirytus salicylowy albo samogon? A może ten pański pojazd jeździ na zasadzie balonu? Nie sprzedajemy wodoru...

Nic się nie odezwałem. Wsiadłem z wehikułu i podszedłem do okienka, aby zapłacić za trzydzieści litrów benzyny. Przyznaję, że gdy odchodziłem od okienka i rzuciłem okiem na rząd samochodów przed stacją benzynową, na chwilę aż tchu mi zabrakło. Dopiero tutaj, gdzie stało obok siebie kilka lśniących lakierem aut, uwidaczniała się okropna brzydota pojazdu wuja Gromiły. To był potwór, a nie samochód. Dziwoląg, skrzyżowanie okropności i brzydoty. To czółno na czterech kołach sterczało wśród opływowych karoserii nowych, lśniących wozów i spoglądało na mnie wylupiastymi oczami reflektorów. Wydawało się, że to jakaś ogromna larwa szkaradnego chrabąszcza przyczaiła się, aby kogoś pożreć. Przez moment miałem ochotę porzucić ją i cichaczem umknąć ze stacji benzynowej, zostawiając „larwę” swojemu losowi. W końcu jednak przemogłem swą niechęć. Ostatecznie larwa ta bardzo grzecznie niosła mnie przez całe miasto. Może i dalej zachowywać się będzie podobnie?

Gruby właściciel wartburga zatankował mieszankę do swego wozu.

- Panie - zawołał do mnie na odjezdnym - pan chyba do muzeum prowadzisz to bydlę!

Nic się nie odezwałem.

Właściciel moskwicza zapytał mnie uprzejmie, ale z oczywistą kpina w głosie:

- Czy można tym samochodem także orać pole?

Teraz również się nie odezwałem. Dali mi więc spokój. Kolejno odjeżdżały samochody sprzed stacji, a gdy zrobiło się miejsce dla mnie, podjechałem pod gumowego

węża z paliwem. Pracownikowi w kombinezonie wskazałem otwór w baku, nalał mi trzydzieści litrów. Gdy zakręciłem wlot baku, ów pracownik szepnął do mnie poufnie:

- Panie, niech się pan przyzna, co to za maszyna?

- Pamiątka rodzinna - powiedziałem.

Gdy ruszyłem z miejsca, krzyknął w moją stronę:

- W pańskiej rodzinie nie wszyscy chyba byli przy zdrowych zmysłach.

Już chciałem zatrzymać wehikuł i nawymyślać mu, ale zrezygnowałem. Pojazd, którym jechałem, był tak dziwaczny, że chyba usprawiedliwiał najgorsze szyderstwa.

Wyjechałem na szosę. Była szeroka, prosta i wyjątkowo pusta. Nie widziało się żadnego pojazdu aż do ciemnej ściany lasu zakrywającej horyzont. Wehikuł wuja Gromiły miał wspaniały zryw, w ciągu nie więcej niż piętnastu sekund miałem już sześćdziesiąt kilometrów na liczniku, potem strzałka wskazała osiemdziesiąt kilometrów. Przy dziewięćdziesięciu wrzuciłem czwarty bieg. Strzałka licznika ciągle wędrowała w prawo - sto, sto dziesięć, sto dwadzieścia, wreszcie sto czterdzieści kilometrów. Nie chciało się wierzyć, że samochód osiągał taką szybkość, bo prawie nie odczuwało się jej wewnątrz wozu. Kadłub wehikułu był stosunkowo wąski i długi, ale koła samochodu rozstawione szeroko, co powodowało, że cały pojazd trzymał się szosy, jak wóz wyścigowy.

Wkrótce dogoniłem moskwicza, którego spotkałem przed stacją benzynową. Właściciel jego zobaczył mnie w lusterku i dodał gazu. Jechał środkiem szosy i ani myślał ustąpić mi miejsca. Po prostu wydawało mu się niewiarygodne, abym był zdolny go wyprzedzić. Zatrąbiłem trzykrotnie, zanim zdecydował się zjechać nieco na prawą stronę szosy. Przemknąłem mimo niego, mając sto czterdzieści kilometrów na liczniku, moskwicz nawet nie próbował mnie ścigać.

W dziesięć minut później dopędziłem simkę. Aby się popisać wspaniałą szybkością mojej „larwy”, przycisnąłem pedał przyśpieszacza. Wyprzedziłem simkę jadącą z szybkością stu pięćdziesięciu kilometrów, ale zaraz potem musiałem zwolnić, bo był zakręt, a za zakrętem środkiem jezdni wlokła się chłopska furka, simca dogoniła mnie, po chwili jednak znowu wysforowałem się do przodu i gnałem tak długo, aż natknąłem się na wartburga. Teraz mknąłem sto siedemdziesiąt kilometrów na godzinę. Wartburg został daleko w tyle, choć jego właściciel zrobił wszystko, żeby tak się nie stało.

Szosa się załadniła, zwolniłem więc szybkość jazdy, Wiedziałem już, jak wiele wart jest wehikuł wuja Gromiły, niepotrzebne więc już było narażanie się na niebezpieczeństwo.

Dogonił mnie wartburg i wyprzedził; jego gruby właściciel wychylił rękę przez okienko i dał mi znak, abym się zatrzymał. Zjechałem na brzeg szosy.

Właściciel wartburga truchcikiem dobiegł do mojego pojazdu.

- Panie, panie - mówił gorączkowo - co to za diabeł? Co to za szatan? Sprzedaj mi go pan albo zamieńmy się. Na wartburga.

Wzruszyłem ramionami.

- Nie sprzedam. To pamiątka rodzinna.

Błagał, żebym mu pozwolił zajrzeć do silnika. Oczywiście pozwoliłem. Nadjechała simca, a potem moskwicz.

Zatrzymały się za nami. Ich właściciele wyleźli z wozów.

- Zatarł pan silnik, co? - pytali z triumfem, widząc, że maska wozu jest podniesiona.

- Nie, nie, ja tylko tak przez ciekawość patrzę do wnętrza - wyjaśnił gruby właściciel wartburga. - Dwanaście cylindrów. Słuchajcie, panowie, to potwór. Wspaniała maszyna.

Pozdejmowali marynarki, zagłądali do silnika, włązili pod samochód.

- Czy to coś po wodzie także może pływać? - spytał mnie właściciel moskwicza. - Bo tu z tyłu jest kotwica - wskazał zagrożoną część wnętrza wehikułu.

- Oczywiście, że może pływać także i po wodzie - powiedziałem z głębokim przekonaniem. Byłem bowiem teraz pewien, że pojazd wuja Gromiły może wszystko. Lub prawie wszystko.

ROZDZIAŁ DRUGI

„FERRARI 410” – NA SPOTKANIE PRZYRODY – TAJEMNICA DZIWNEGO WEHIKUŁU – AUTOSTOPOWICZKA – SAMOCHODEM PO WIŚLE – GENIALNY WUJEK GROMIŁŁO – CIECHOCINEK – POŻEGNANIE Z TERESĄ

Przez pięć dni stał na strzeżonym parkingu, okryty szczelnie nieprzemakalną brezentową płachtą. Znajdował się wśród nowoczesnych aut o wspaniałych kształtach i lśniącej karoserii, lecz nikt - poza kierownikiem parkingu - nie domyślał się nawet, jak koszmarnie brzydką larwę kryje ów brezent. W tym czasie w Wydziale Komunikacji zarejestrowałem wehikuł na swoje nazwisko, określając w dowodzie rejestracyjnym typ mojego pojazdu, jako „sam” konstrukcji inżyniera Stefana Gromiły. Dokonałem także wielu przygotowań związanych z oczekującym mnie urlopem, a przede wszystkim zrobiłem kilka zakupów, do czego przydały się pieniądze uzyskane za garaż w Krakowie. „Sam” wuja Gromiły otrzymał radio. Kupiłem nowoczesny, piękny, weekendowy namiot z wielkimi oknami i werandą. Pewnego wieczoru zdjąłem z „sama” brezentową płachtę i zajechałem nim do redakcyjnych warsztatów samochodowych, gdzie mechanik dokonał przeglądu wozu, zobowiązując się zachować tajemnicę. Bałem się bowiem, że stanę się przedmiotem kpin mych redakcyjnych kolegów, posiadających piękne, nowoczesne samochody.

Gdy wprowadziłem „sama” do warsztatów, najpierw oczywiście powitał mnie wybuch śmiechu mechanika. Potem jednak mechanik przestał się śmiać. A stało się to po otwarciu maski mego wehikułu.

- Dwanaście cylindrów! - to był pierwszy, pełen zdumienia okrzyk mechanika. Za nim posypały się dalsze, pełne zachwyty:

- Czy pan wie, co za motor posiada ta poczwara? Silnik najnowocześniejszego ferrari 410 Super-Amerika. Widzi pan tę tabliczkę? To silnik od ferrari, jednego z najszybszych w świecie samochodów turystyczno-sportowych. Jego szybkość maksymalna przy przełożeniach, które tu widzę, wynosi: 250 km na godzinę. Panie, to najszybszy samochód, jaki jeździ po polskich drogach. Skąd pański wuj wziął ten silnik?

Nie miałem pojęcia, skąd wuj Gromiły zdobył silnik samochodu włoskiego ferrari 410. Okazało się zresztą, że nie tylko silnik, ale i podwozie było od tego typu wozu. Tylko karoseria, a właściwie górna obudowa wozu, została zrobiona „domowym systemem”, stąd i

straszliwa brzydota całego pojazdu.

- Już wiem - powiedział mechanik - pański wuj mieszkał w Krakowie, tak? Otóż czytałem w gazecie, że jakiś Włoch przed dwoma laty rozbił się na drodze do Zakopanego, jadąc zbyt szybko właśnie wozem ferrari 410. Zapewne pański wuj kupił ten rozbity samochód, odremontował silnik i dorobił sam zniszczoną karoserię.

Przeгляд samochodu trwał dość długo. Dopiero o trzeciej nad ranem - przez puste ulice i pod osłoną mroku - wymknąłem się z miasta. Cały tył „sama” wypełniał sprzęt turystyczny, który zabrałem ze sobą na urlop; we wnętrzu wozu cicho grało radio. Ale o wiele przyjemniej od muzyki brzmiało mi echo słów mechanika, który powiedział żegnając się ze mną:

- Zbyt mało miałem czasu, aby dokładnie spenetrować pański pojazd, Oświadczam jednak, że jest w nim wiele urządzeń, których przeznaczenia nie zdołałem wyjaśnić. Podczas podróży pański wóz sprawi panu wiele przyjemnych niespodzianek.

Pojazdem, który krył zagadki, wyruszyłem naprzeciw oczekującej mnie przygody - a byłem już pewien, że otrzymałem od niej wezwanie. Przygoda mogła mi się objawić dopiero jutro lub nawet za tydzień. Kryła się może za najbliższym zakrętem drogi lub czekała na mnie u celu podróży. Ale wiedziałem: ona czeka na mnie, bo otrzymałem jej znak.

Szosa była pusta, jak to zwykle nad ranem, powleczone srebrzystym blaskiem świtu. Jechałem jednak wolno, uważnie wsłuchując się w rytm pracy silnika, przyglądając się wskazówkom zegarów i przyrządów umieszczonych przy kierownicy. Starałem się zrozumieć ów pojazd, wydawał się on istotą rozumną, posiadającą jakieś własne wewnętrzne życie. Chodziło mi o to, aby wniknąć w istotę tego życia, poznać je i nauczyć się nim kierować.

Dlaczego zamiast jednego są w nim aż dwa zegary wskazujące szybkość? Na jednym zaajduje się skala od 10 do 260 kilometrów na godzinę, a na drugim - od 1 do 50 kilometrów. Do czego służy gałka tuż obok ręcznego hamulca? Wygląda to tak, jakby stanowiła rączkę jeszcze jednej skrzynki biegów, ale przecież żaden normalny samochód nie posiada aż dwóch skrzynek biegów. Po co są trzy małe oczka tuż przy zegarze wskazującym temperaturę w chłodnicy? Oto nagle jedno z tych. oczek zamrugało do mnie zielonym światelkiem, a po chwili zabłysło jeszcze jedno - pomarańczowe, potem zgasły obydwa i zapaliło się oczko czerwone... Dokąd prowadzi ta niebieska nitka instalacji elektrycznej, wybiegająca jakby od klaksonu? Po jakie licho w tylnej zagraconej części samochodu znajduje się dziwny wiatraczek, złamana na pół kierownica i kotwica? Tak, zwykła kotwica... Czyżby pojazd ten naprawdę zdolny był poruszać się po wodzie?

W wehikule wuja Gromiły był także przedmiot po prostu komiczny. Tuż nad

szybkościomierzami tkwiła nieduża, drewniana, pomalowana na czarno figurka śmiesznego diabełka, który miał otwarte usta i szklane oczy. Ilekroć włączałem prawy kierunkowskaz, prawe oczko diabełka rozbłyskiwało pomarańczowym światłem i mrugało do mnie filuternie. Lewe oko mrugało, gdy włączałem lewy kierunkowskaz. Przy naciśnięciu pedału hamulca zapalała się czerwona lampka w otwartej gębie diabełka i wydawało się, że diabeł pokazuje mi czerwony język. A gdy strzałka na szybkościomierzu przekraczała liczbę sto dwadzieścia - diabełek poczynął wahadłowo kręcić głową, jakby wyrażając swoją dezaprobatę dla tak wielkiej szybkości i jakby ostrzegając: „Uważaj, kolego, przy takiej szybkości łatwo o nieszczęście”.

Tak więc podczas jazdy ciągle w tym pojeździe coś mrugało do kierowcy, jakby ostrzegało go i pouczało. Mogło się wydawać, że podczas jazdy samochód po prostu rozmawia z kierowcą. Było to zabawne i przyjemne, choć z początku miałem wrażenie, że rozprasza to trochę uwagę. Później, gdy przyzwyczailem się do znaków dawanych mi przez wehikuł, pojąłem, iż właśnie one wzmagają moją czujność. A wówczas z wdzięcznością i szacunkiem pomyślałem o wuju Gromille, niedocenionym wynalazcy. Wyznaję, że po kilku godzinach jazdy twarz diabełka poczyniała w mej wyobraźni upodabniać się do twarzy wuja. Tak samo przecież filuternie przymrużał oko, gdy do kogoś przemawiał lub gdy zdradzał tajemnice swego kolejnego wynalazku, miał tak samo długi, haczykowany nos i pociągłą, prawie trójkątną twarz.

Trzydzieści kilometrów przed Włocławkiem napotkałem młodą dziewczynę w spodniach i czerwonej koszuli. Szosa biegła tu przez środek lasu, dziewczyna stała na pustej drodze i machała chusteczką. Stanałem, a wówczas wyciągnęła do mnie książeczkę auto-stopu.

- Podwiezie mnie pan do Ciechocinka? - spytała.

Nie zdążyłem odpowiedzieć. Zza krzaków obrastających rowy po obydwu stronach drogi wyskoczyła na szosę zgraja chłopaków, poprzebieranych najdziwaczniej w różnego rodzaju kolorowe „ciuchy”. Bractwo to otoczyło „sama” zwartą gromadą i poczęło się na nim sadowić.

- Hola, panowie - zawołałem oburzony - Przecież chyba widzicie, że mój pojazd to nie autobus PKS-u? Jedną osobę mogę zabrać, ale nikogo więcej. Na tył wozu proszę nie wchodzić, ponieważ jadę z dużą szybkością i może ktoś spaść.

Niechętnie poczęli zlaźić z wehikułu. Teraz, gdy zrozumieli, że nie zabiorę ich z sobą, odkryli w moim pojeździe jego pokraczny wygląd.

- Ale kometa! - wołali zaśmiewając się. - Kometa Halleya. Strach na wróble. Nie

żartuj pan, że z tego można spaść. Ten pański żółw nie robi więcej niż dwadzieścia kilometrów na godzinę. I pewnie od czasu do czasu musisz pan go popychać.

- Ja zaś dziękuję za zaproszenie. Pojadę - rzekła dziewczyna i otworzyła drzwiczki „sama”. Zadowolona, uśmiechnięta usadowiła się obok mnie. Chłopakom bardzo się to nie podobało. Zaczęli ją namawiać, żeby wysiadła i pozostała z nimi.

- Nie wygłupiaj się, Teresa! - wołali. - Przecież chyba nie zostawisz nas tutaj? Z tobą było weselej. Poczekaj trochę, trafi się jakiś porządny wóz i zabierze nas wszystkich.

Jakiś dowcipniś wsadził głowę do samochodu i krzyknął:

- Teresa, wysiądź, jeśli ci życie miłe! Przecież ten samochód tak wygląda, jakby za chwilę miał wylecieć w powietrze.

Dziewczyna machnęła ręką:

- Cześć, chłopaki, mnie się śpieszy. Do widzenia.

I poprosiła, żebym ruszał.

Któryś z chłopaków krzyknął głośno:

- Nie puścimy Teresy. Trzymajcie z tyłu ten wóz, to nie ruszy z miejsca. Nie puścimy go, aż Teresa wysiądzie.

Kilkunastu chłopaków uczepliło się z tyłu mojego wehikułu. „A to ci historia” - pomyślałem włączając pierwszy bieg. Wolno popuszczałem pedał sprzęgła i dodawałem gazu. Kilkunastu chłopaków uczepliło się samochodowi, a on jakby tego nie odczuł. Ruszył z miejsca bez najmniejszego wysiłku i kilkunastu chłopaków zostało na pustej szosie w środku lasu.

Dziewczyna była brzydka, ruda i bardzo piegowata. Wygodnie usadowiła się na fotelu i powiedziała:

- Pozostawiłam ich, bo się zachowywali coraz gorzej. Już wstyd mi było należeć do ich grupy. Większość to chłopaki z naszej budy, ale po drodze przyłączyło się do nas trochę takiej zbieraniny. Przeklinali jak zbóje, dziś rano kurę ukradli z zagrody pod lasem. Postanowiłam przy pierwszej sposobności odczepić się od nich. W Ciechocinku przebywa na urlopie moja ciotka. Posiedzę u niej kilka dni, a potem znowu ruszę dalej auto-stopem.

- Ile pani ma lat? - spytałem.

- Szesnaście, a bo co?

- Rodzicie pozwolili pani podróżować auto-stopem? Nie wiem, czy byliby zachwyceni, gdyby, podobnie jak ja, zobaczyli panią na czele tej zgrai w lesie.

- Eeee, austriackie gadanie - powiedziała wzruszając ramionami. - Pewnie, że nie byliby zadowoleni. Rodzice to myślą, że ja już dawno jestem u ciotki w Ciechocinku. Miałam

jechać do niej koleją, ale wolałam auto-stopem. Najpierw zabrał nas w drogę samochód ciężarowy. Przenocowaliśmy w stodole u rolnika, klawo było, śpiewaliśmy do dwunastej w nocy. Potem jechaliśmy na przyczepie z drzewem, którą ciągnął traktor do tartaku. A teraz pan się nawinał. Do Ciechocinka chyba już niedaleko?

- Owszem - skinałem głową. - A śniadanie dziś panienka jadła?

- Nie. Kury nie starczyło dla wszystkich, a zresztą nie chciałam jej jeść, bo kradziona.

We Włocławku zatrzymałem się przed kawiarnią i zaprosiłem dziewczynę na śniadanie. Gdy wyszliśmy z kawiarni, przekonaliśmy się, że mój „sam”, jak się należało spodziewać, wywołał zbiegowisko. Otaczała go gromada dzieciarni i kilkunastu wyrostków. Rozpoczęły się drwiny, szyderstwa - ale byłem już do nich przyzwyczajony. „Że też ludzie nie mogą wy-myśleć jakichś bardziej oryginalnych przezwisk dla mojego auta” — pomyślałem, ponieważ znowu wykrzykiwano, że to pojazd „z księżycy”, „z Marsa” itd.

- Wygląda pan na inteligentnego człowieka - stwierdziła dziewczyna - ale samochód to ma pan rzeczywiście okropny.

Zatrzymałem „sama”.

- Jeśli się pani nie podoba mój pojazd, to może pani wysiądzie.

- O Boże - zawołała - ależ z pana syn obraźnika. O byle co się pan gniewa. No dobra, niech będzie, że to najpiękniejszy samochód na świecie.

- Nie jest piękny, przyznaję - powiedziałem - ale ma bardzo wiele innych zalet.

Przez jakiś czas jechaliśmy w milczeniu. Byłem rzeczywiście obrażony na tę dziewczynę. Nie dość, że okazałem jej grzeczność zabierając ją w lesie, nie dość, że zafundowałem jej śniadanie, to jeszcze zamiast być wdzięczna, wydziwiała na mój samochód...

Dzień był bezchmurny, upalny, od rozgrzanej nawierzchni szosy bił żar. Za Nieszawą droga zbliżyła się do Wisły, przyjemnie powiało chłodem i kwaśnym zapachem wody.

- Może się wykapiemy? - zaproponowała Teresa.

- Umie pani pływać?

- Ba, pewnie, że umiem.

- Ale w Wiśle nie należy się kąpać. To zdradliwa rzeka - powiedziałem. - Natomiast umyć się w niej można. Tam w tyle wozu jest neseser z mydłem, w nim leży także ręcznik.

- Uważa pan, że jestem brudna?

- No, rąk nie ma pani zbyt czystych - zauważyłem.

To była prawda. Miała brudne ręce, brudną twarz, co spostrzegłem, gdy jedliśmy śniadanie. Nie powiedziałem jej jednak tego, ponieważ nie chciałem być niegrzeczny. Ale teraz, skoro ona nie żałowała sobie złośliwości pod adresem mojego wehikułu, nie widziałem

powodu, aby ją oszczędzać;

Zarumieniła się, posłusznie sięgnęła po neseser z mydłem i ręcznikiem. Zjechałem z szosy aż na sam brzeg rzeki, który w tym miejscu był bardzo niski. Koła samochodu zatrzymały się tuż przy wodzie.

Dziewczyna zakasała rękawy swojej kolorowej koszuli i przyklękła na brzegu. Ja także wysiadłem z auta i stanąwszy nad wodą, rozglądałem się po okolicy. Pomyślałem o celu mej podróży, o zagadce, która czekała na wyjaśnienie. Uświadomiłem sobie, że o wiele łatwiej byłoby mi chyba rozwiązać ową zagadkę, gdybym potrafił znaleźć się tam nie zwróciwszy niczyjej uwagi. A właśnie z winy mego dziwnego pojazdu natychmiast stanę się ośrodkiem zainteresowania wszystkich. Może więc pozostawić „sama” gdzieś w pobliżu celu mej podróży, w stodole jakiegoś rolnika?

Po Wiśle z prądem płynął statek. Na pokładzie brzmiała muzyka, przy burtach stali podróżni, na najwyższym pokładzie na leżakach wypoczywali wczasowicze. Obok statku mknęła szybko motorówka, pozostawiając na wodzie biały, spieniony ślad. „A gdybym tak...” - zastanawiałem się. I natychmiast sięgnąłem do bagażnika. Wyjąłem dziwny wiatraczek, który chyba nie był niczym innym jak małą turbiną.

Wydało mi się wprost oczywiste, że samochód wuja Gromiły potrafi pływać. Świadczyła o tym bardzo szczelna budowa kadłuba, podobnego do czółna.

Wkrótce przekonałem się, że konstrukcja wehikułu wuja podobna była nieco do amfibii. Turbinę bez trudu udało mi się wkręcić w przygotowane do tego celu miejsce z tyłu wozu. Z prawej strony, w przedniej części „sama” umieściłem fragment kierownicy, której przeznaczenie tak mnie zastanawiało. W bagażniku znalazł się także długi kawał blachy, służący jako ster. Tak więc „sam” miał dwa niezależne od siebie zespoły napędowe, zasilane jednak z jednego baku paliwowego. Miał także dwa niezależne od siebie układy sterownicze, jeden do jazdy na lądzie, a drugi na wodzie. Aby poruszać się po lądzie, trzeba było zająć miejsce na lewym siedzeniu, przy kierowaniu pojazdem na wodzie należało siedzieć po prawej stronie i posługiwać się fragmentem kierownicy sprzężonej ze sterem. Gałka przy ręcznym hamulcu okazała się po prostu przyspieszaczem do jazdy po wodzie. Wystarczyło przesunąć ją wstecz, a umocowany z tyłu wiatraczek, czyli turbina, zaczynał się coraz szybciej obracać. Szybkość obrotów uwidaczniała się na specjalnym szybkościomierzu.

- Co pan robi? - dopytywała się dziewczyna, przyglądając się, jak przekształcam swój samochód w motorówkę.

- Pogoda jest tak piękna, że warto popłynąć z prądem rzeki - wyjaśniłem.

- Boże drogi! - aż ręce złożyła. - Czy to możliwe, że naprawdę popłyniemy po Wiśle?

Wsunąłem się pod wóz, żeby dokładnie umocować ster. Dziewczyna przykucnęła obok „sama” i zaglądając ku mnie nie przestawała pytać:

- I zabierze mnie pan na przejażdżkę po Wiśle? Ja już naprawdę nic złego nie powiem o pańskim aucie. Ono jest cudowne. Ono pewnie także i latać w powietrzu potrafi.

- Nie potrafi - odrzekłem. - Przecież panł widzi, że nie ma skrzydeł.

Dwie godziny zajęło mi przekształcanie „sama” z pojazdu lądowego na pojazd wodny. Zmęczyłem się przy tym okropnie i bardzo wybrudziłem smarami. Wreszcie zepchnęliśmy samochód do wody. Przyznaję, że gdy siadłem za sterem, miałem odrobinę strachu. A jeśli samochód jest dziurawy i zacznie tonąć? Pocieszałem się, że najpierw będę jechał blisko brzegu i jeśli spostrzegę, że czołno moje przecieka, zdołam dobić do lądu.

Dziewczyna usiadła po mojej lewej ręce. Wcisnąłem rozrusznik, który znajdował się tuż pod kierownicą steru, słnik zaskoczył, Przesunąłem gałkę przyśpieszacza, z tyłu za samochodem rozległ się plusk turbiny roztrzającej wodę. „Sam” płynął po Wiśle posłuszny kierownicy sprzężonej ze sterem.

- Cudowne! Wspaniałe! - wołała dziewczyna.

Pomyślałem, że należałoby odkręcić koła i schować je do bagażnika. Pojazd mój wówczas stawiałby mniejszy opór wodzie i posuwałby się znacznie szybciej. Nie przeciekał. „Jest cudowny” - pomyślałem, podobnie jak Teresa. Na wszelki wypadek trzymałem się jednak blisko brzegu.

- Pan jest genialny facet - powiedziała dziewczyna.

- Nie ja, tylko ten, kto zbudował ów pojazd.

- Kto? - spytała.

- Wuj Gromiło.

- Niech żyje wuj Gromiło! - zawołała.

- Niestety, proszę pani. Umarł. Właśnie w spadku pozostawił mi ten wehikuł.

- Dokąd pan zamierza nim jechać?

- Na urlop.

- A czy nie mógłby mnle pan zabrać ze sobą? To byłoby znacznie przyjemniejsze niż pobyt z ciotką w Ciechoćniku.

- Nie, proszę pani. To nie jest bowiem zwykły urlop. Jeden z moich przyjaciół prosił mnie o wyjaśnienie pewnej zagadkowej sprawy. Obawiam się, że to nie będzie takie łatwe,

napotkam duże trudności, a może i niebezpieczeństwa. Nie mam prawa panią narażać. A poza tym pani powinna, zgodnie z wolą rodziców, znaleźć się u cioci w Ciechołku.

- A ja się chcę narażać na niebezpieczeństwo - rzekła.

- Nie - uciałem krótko.

Zrobiła nadąsaną minę i przez długi czas nie odzywała się do mnie. Zresztą obydwójce zajęliśmy się obserwowaniem rzeki i jej brzegów. Wisła w tym miejscu płynęła w dolinie, jakby w niecce głębokiej, której wysokie, urwiste brzegi rozciągały się po obydwu stronach rzeki. Po prawej - wysoki brzeg porastał sosnowy las, po lewej - były wzgórza pokryte uprawnymi polami; na horyzoncie malowniczo zarysował się kościółek z wysmukłą wieżą. Tuż przy samej wodzie zieleniły się łąki przegrodzone wałami przeciwpowodziowymi, a za nimi sterczały kanciaste łby starych wierzb i wysokie topole. Rzeka wydawała się ruchliwa i przez to bardzo wesoła. Od czasu do czasu pojawiały się mielizny i piaszczyste łachy, złociste i białe od wymytego przez wodę piasku. Niekiedy mijaliśmy statki pasażerskie, przeważnie białe jak mewy i rozbrzmiewające muzyką. Obok nas przepływały statki towarowe ciągnące za sobą barki obładowane faszyną. Napotykalismy kolorowe kajaki i pracowicie machających wiosłami wczasowiczów. Ku swemu zadowoleniu stwierdziłem, że mój pojazd nie robił na nikim tak silnego wrażenia, jak wówczas, gdy pędził po szosie. Na wodzie był bardzo podobny do najzwyczajszej motorówki, zdawało się, że jego brzydota i dziwaczność zupełnie zniknęły.

Wkrótce rzeka uczyniła łagodny skręt i po lewej stronie ukazała się prowizoryczna przystań rzeczna, przerobiona ze starej barki, z napisem „Ciehocinek”. Tu przed przystanią przybiłem do brzegu i wysadziłem dziewczynę na ląd.

- Jak się nazywa miejscowość, do której pan jedzie? - zapytała na pożegnanie.

- Antoninów nad Wisłą - powiedziałem. I potem wypadło mi tego żałować.

- Do widzenia. Szczęśliwej drogi! — zawołała dziewczyna.

- Do widzenia! - odkrzyknąłem.

Odbiłem od brzegu. Przesunąłem gałkę mocno do tyłu i stateczek mój całą siłą swego motoru począł płynąć ku środkowi rzeki. Obejrzałem się za siebie i zobaczyłem, że dziewczyna wdrapała się na wysoki wał przeciwpowodziowy i stamtąd kiwała ku mnie ręką na pożegnanie. Przycisnąłem klakson „sama”, zahuczał głucho jak parostatek. Po chwili nowy zakręt rzeki zakrył Teresę przed moim wzrokiem.

ROZDZIAŁ TRZECI

W ROZLEWISKACH WISŁY – NA PÓŁWYSPIE – ROZBIJAM OBOZOWISKO –
TAJEMNICZY NIEZNAJOMY – ŁUCZNICY – WILHELM TELL – TOMASZ
WŁÓCZĘGA – ANTROPOLOGIA – INDAGACJE ŁUCZNIKOW – PO CO PRZYBYŁEM
NAD RZEKĘ – TELL STRZELA Z KUSZY

Słońce chyliło się już ku zachodowi, gdy znalazłem się w miejscu, w którym Wisła rozdzielała się na kilka odnóg, opływających porośnięte krzakami wysepki. To gdzieś tutaj należało skręcić w którąś z tych odnóg, jeśli chciałem znaleźć się w pobliżu miasteczka Antoninów - celu mej podróży. Miasteczko leżało o trzy kilometry od Wisły, ale wydawało mi się, że najlepiej uczynię budując swój obóz właśnie nad rzeką, na którejś z wysepek lub półwyspów pokrytych krzakami. Tutaj będzie łatwo schować mój namiot, a także wehikuł. Z obozu mogłem robić wyprawy do miasteczka i w ten sposób odwiedzać je nie zwracając niczyjej uwagi. Wprawdzie w portfelu miałem list polecający do kierowniczk ekspedycji antropologicznej, która miała przeprowadzać badania wykopaliskowe w pobliżu miasteczka, i z początku byłem nawet zdecydowany zamieszkać w obozie ekspedycji, teraz jednak zmieniłem swój zamiar. Doszedłem do wniosku, że dla dobra sprawy, jaka mnie tu przywiodła, należało trzymać się z daleka od obozu naukowców.

Czułem się zmęczony całodzienną podróżą. Przestałem zwracać uwagę na piękno otaczającej mnie przyrody i nawet wspaniały zachód słońca - czerwień rozlana na rzece, a w tej czerwieni, jak w płonącej wodzie, płynący wolno biały statek pasażerski - nie robił na mnie wrażenia swym zestawieniem barw. Myślałem tylko o tym, aby nareszcie dobić do brzegu, rozstawić namiot i ułożyć się do snu. Stwierdziłem, że w baku pozostało mi bardzo niewiele paliwa, znalezienie więc bezpiecznej przystani stało się bardzo ważne.

Skręciłem w najszerszą z odnóg, gdyż przypuszczałem, że te, które minąłem, nie posiadały nurtu i były po prostu zatokami głęboko wrzynającymi się w ląd. Wkrótce szeroka odnoga podzieliła się na dwie węższe, z obydwu stron obrośnięte trzcinami i krzakami wikliny, które zasłaniały brzegi. Skręciłem tym razem w odnogę pierwszą na lewo, aby znaleźć się bliżej miasteczka. Na moment wyłączyłem silnik „sama”, chcąc przekonać się, czy w odnodze jest woda bieżąca. „Sam” popłynął wolniuteńko. Przebyłem zakręt, brzeg w tym miejscu okazał się wysoki, a urwisko obnażało korzenie topoli, potem były trzciny i

wikliny, później zaś już tylko trzciny coraz bardziej zwężające odnogę i hamujące jej nurt. Siedząc za kierownicą „sama”, widziałem tylko niebo czerwone od zachodzącego słońca i zieloną, wysoką ścianę trzcin. Ta zieleń stawała się coraz bardziej ciemna, aż w końcu szerniała, gdy zapadł zmrok.

Odnoga wydała mi się ponura. Jej wody były czarne od mułu, bliżej ściany trzcin nieruchomo tkwiły w niej grązele. W trzcinach ciągle coś szeleściło - wiatr lub dzikie kaczkę. Brzęczały chmary komarów, które stawały się coraz bardziej dokuczliwe, w miarę jak następował mrok. Zapewne brzegi odnogi pokrywały bagna, nie widziałem bowiem ani topoli, ani nawet wierzb. Tutaj oczywiście nie należało rozbijać obozowiska.

Płynąłem więc dalej, a ponieważ robiło się wciąż ciemniej i ciemniej, na powrót zapaliłem silnik „sama”. Moim oczom ukazał się jeszcze jeden zakręt i nagle roztoczyło się przede mną ogromne, zdające się nie mieć drugiego brzegu rozlewisko głównego nurtu Wisły. Jej drugi brzeg, zapewne bardzo oddalony, tonął już w ciemnościach nocy. Ale po mojej lewej ręce, tuż u krańca trzcin zarastających odnogę, biał w mroku długi, piaszczysty cypel.

Tutaj - zdecydowałem. I przybiłem do główki cypla. Wyciągnąłem samochód na brzeg do połowy, pozostawiając tylne koła w wodzie, i przespacerowałem się po piasku w poszukiwaniu odpowiedniego miejsca na postawienie namiotu. Pod nogami chrzęścił mi biały żwir wymyty przez wodę. U nasady cypla zaczynał się brzeg rzeki, nieco wspinający się ku górze i porośnięty murawą. Brzeg piął się potem coraz wyżej i wyżej, aż do skraju lasu.

Wyciągnąłem z „sama” torbę z namiotem, śpiwór, gumowy nadmuchiwany materac i dwa koce, a także blaszane pudełka z żywnością i kuchenkę turystyczną. Potem znowu zsunąłem „sama” na wodę, ożywiłem jego silnik i rozpędziwszy pojazd na wodzie, całą siłą rozpędu wbiłem go w trzciny. Sciana trzcin okazała się wystarczająco gruba, aby otoczyć i zakryć mój samochód. Teraz zakotwiczyłem „sama”, wyjąłem kluczyk ze stacyjki, aby go w ten sposób zabezpieczyć przed ewentualnym uruchomieniem przez kogoś obcego.

Rozebrałem się i, choć to nie było przyjemne, wskoczyłem do wody, w ręce trzymając zwinięte ubranie. Odnoga okazała się dość płytka - woda sięgała mi nieco powyżej piersi. Grzęznąc stopami w mule i w korzeniach trzcin, przebrnąłem kilkanaście kroków, dzielących mnie od cypla.

Mokry i nagi wygramoliłem się na piasek. Zanim się ubrałem, zziąłem tak bardzo, że aż szczękałem zębami. W takim stanie zabrałem się do budowy obozu. Zrobiłem to byle jak, niestarannie stawiając środkowe maszty namiotu i mocując je zaledwie kilkoma „śledziami”. Potem okazało się, że nie mam sił ani ochoty na przygotowanie kolacji. Zdołałem tylko

nadmuchać gumowy materac i rozłożyć śpiwór. Wcisnąłem się w niego i, nakryty dwoma kocami, zasnąłem natychmiast mocnym snem.

Dwukrotnie obudził mnie głuchy ryk syren statków płynących po rzece. Poza tym nic nie zamięliło mi spokoju. Spałem aż do dziewiątej rano.

Słońce było już wysoko i świeciło jaskrawym światłem. Znowu zapowiadał się piękny, upalny dzień. Odbyłem spacer po piaszczystym cyplu i wdarłem się między trzciny, aby przekonać się, że mój „sam” - cały i w najlepszym porządku - stoi tam, gdzie go pozostawiłem wieczorem.

- Oto moje królestwo - mówiłem sobie spacerując po nadbrzeżnym piasku.

Podobało mi się tutaj. Wisła - szeroka i pomarszczona przez lekki wiatr - dawała złudzenie jakiejś ogromnej wodnej przestrzeni. Spojrzenie biegło po srebrzystoniebieskiej toni aż do dalekiego brzegu porośniętego wikliną. Z prawej strony znajdowała się wyspa, którą oddzielała od lądu odnoga rzeczna. Druga wyspa znajdowała się po lewej stronie, gdyż zaraz za cyplem w dół rzeki znowu widziało się wejście do jakiejś zatoczki lub także odnogi.

Zanim rozpałiłem maszynkę spirytusową i przyrządziłem sobie śniadanie, przespacerowałem się jeszcze aż na wysoki brzeg rzeki, gdzie na wzgórzu rósł wysoki las. Stwierdziłem, że las kończy się w tym miejscu. Gdy stanęło się na szczycie wzgórza, po prawej ręce miało się gęstwinę leśną, a po lewej ogromną perspektywę uprawnych pól, spokojnie zbiegających po lekkiej pochyłości ku miasteczku odległemu stąd o przynajmniej dwa i pół kilometra. Miasteczko kryło się wśród zieleni drzew, ponad które wystrzelała czerwona, spiczasta wieża kościoła.

- To jest miasteczko Antoninów — wnioskowałem.

Przez pola wiła się piaszczysta droga, jak żółta, niedbale rzucona na ziemię wstążka. Przecinała pola również niewielka rzeczka, która jakby niechętnie zmierzała do Wisły, czyniąc po drodze dziesiątki ostrych zakrętów. Tam gdzie droga spotykała się z rzeczką, widziałem drewniany mostek, a obok wznosił się mały pagórek z kępą drzew.

Na polach żółciło się dojrzewające zboże i zieleniły się prostokąty kartoflisk, starannie obredlonych.

„Dobrze mi tu będzie. Cicho i spokojnie” - myślałem stercząc na wzgórzu.

W tej chwili na drodze od miasteczka ukazał się potężny tuman kurzu. Nadjeżdżało wielkie ciężarowe auto z brezentową budą. Obserwowałem, jak kolebie się na wybojach, ostrożnie przejeżdża przez drewniany mostek. Przypuszczałem, że wraz z piaszczystą drogą zniknie w lesie, ale tuż na skraju lasu samochód na chwilę przystanął. Potem skręcił w prawo

i wolniutko zaczął kierować się w moją stronę. „Po jakie лихо pcha się aż tutaj?” - trochę się zaniepokoiłem. Nie życzyłem sobie żadnych gości w tym zakątku, który wydawał mi się tak uroczy i spokojny.

Samochód ciężarowy zatrzymał się wreszcie na wzgórzu o dziesięć kroków ode mnie. Z szoferki wysiadł wysoki, może dziewiętnastoletni chłopak w czarnym swetrze i czarnych dżinsach. Prawie równocześnie jeszcze czterech młodych ludzi wyskoczyło spod brezentowej budy. Wszyscy oni z początku wydawali się bliźniakami, tak upodabniał ich jednakowy strój i jednakowy sposób uczesania, to znaczy chyba brak uczesania. Włosy mieli krótko obcięte, co nadawało ich twarzom wyraz tępy i brutalny. Dopiero po jakimś czasie zdołałem stwierdzić, że przecież różnili się zasadniczo.

- Eeee, panie - zagadał do mnie ten, który pierwszy wysiadł z szoferki. - Czy to pański szałas stoi tam na tym półwyspie?

- Owszem - kiwnąłem głową.

Młody człowiek splunął na ziemię i patrząc gdzieś ponad moją głowę w stronę drugiego brzegu rzeki, powiedział:

- To zabierz go pan stamtąd.

- Co takiego? Mam zabrać swój namiot? - zdumiałem się.

- Nie namiot, tylko szałas — mruknął, wciąż patrząc ponad moją głowę.

Przez krótki moment zdawało mi się, że śnię. „Co to za ludzie, skąd się tu wzięli, czego ode mnie chcą?” - zadawałem sobie pytanie i nie znajdowałem odpowiedzi.

Nagle jak spod ziemi wyrosło pięciu harcerzy ubranych w zielone mundury i czerwone krawaty. Wyszli jakby spoza auta ciężarowego, ale przecież nie zauważyłem, kiedy nadchodzili. Może przyjechali także tym autem lub przyczołgali się tu, co wydało mi się jednak nieprawdopodobne.

- Czuwaj! - powitał nas harcerz idący na czele.

- Cześć - niedbale odpowiedział im młody człowiek, który twierdził, że namiot mój to szałas.

- Nie, proszę pana. To jest jednak namiot - zauważyłem.

Młody człowiek wzruszył ramionami.

- To jest namiot? - spytał wskazując palcem cypel. - Niech się pan dobrze przyjrzy, co tam stoi. Pokraczne to, krzywe, ni pies, ni wydra. Jak psu z gardła wyciągnięte. Prawdziwe namioty to pan dopiero zobaczy, jak je zdejmujemy z wozu i rozstawimy na półwyspie. A pan musi się stąd wyprowadzić.

Rzeczywiście, namiot mój nie wyglądał okazale, ale to dlatego, że wczoraj wieczorem

byłem zbyt zmęczony, aby go starannie rozstawić. Maszty miał przekrzywione, linki nie naciągnięte.

- Nie zamierzam się z panami kłócić o miejsce nad rzeką - powiedziałem. - Ale ponieważ ja tu pierwszy zamieszkałem, więc ten cypel należy do mnie. Mam takie samo prawo obozować na nim, jak i panowie.

Znowu wzruszył ramionami.

- My tu byliśmy wcześniej. Na długo przed panem. W ubiegłym tygodniu spenetrowaliśmy dokładnie całą okolice i zdecydowaliśmy, że właśnie tutaj najlepiej będzie założyć obóz. Teraz przyjechaliśmy i spotkaliśmy intruza.

- Skąd mogłem wiedzieć... - zacząłem. Nie pozwolił mi dokończyć.

- Teraz jednak już pan wie. Proszę więc uprzątnąć swoje graty. Ci harcerze - wskazał chłopców przysłuchujących się naszej rozmowie - są świadkami, że w ubiegłym tygodniu właśnie to miejsce wybraliśmy na obóz.

- Tak jest - przytaknął chłopiec, który dowodził grupką harcerzy.

Zapewne był to zastępowy. Przez ramię miał przewieszoną ogromną kuszę.

„Cóż to za dziwne towarzystwo?” — pomyślałem zaciekawiony. Powiedziałem:

- Moglibyśmy zamieszkać tu wszyscy. Jestem człowiekiem spokojnym, nie będę przeszkadzał.

- O, nie. Co to, to nie - przecząco pokręcił głową. - Tu będzie prawdziwy, porządny obóz ekspedycji antropologicznej. Z trzech stron otacza półwysep woda. Nasadę półwyspu zagrodzimy linką na palikach. W ten sposób będziemy mogli mieszkać spokojnie i bezpiecznie. Nikogo obcego do obozu nie wpuszczymy. Przykro mi, ale musi się pan stąd wyprowadzić. Będzie to obóz wzorowy. Pokażemy wam, druhowie - zwrócił się do harcerzy - jak się taki prawdziwy obóz buduje. Bo wasz harcerski w lesie jest zupełnie do niczego. Partacze jesteście, a nie harcerze.

Harczerzyki uśmiechnęli się skromnie, spuścili oczy, ale nie zaprzeczyli.

Młody człowiek w dżinsach znowu powiedział do mnie:

- Więc nie ma innej rady, tylko od razu zabieraj się pan do roboty i uprzątnij pan swoje graty. Za dwie godziny przyplyną tu statkiem nasze panie z ekspedycji. Do tej pory chcielibyśmy się już zagospodarować na półwyspie.

- A gdzież ja się wyniosę? - zmartwiłem się.

Młody człowiek także się zafrasował. Był to chyba w gruncie rzeczy dość porządny młody człowiek i chyba źle mi nie życzył. Ot, niefortunnie się złożyło, że zająłem im

półwysep.

- A choćby tu na tej górcie pod lasem - wskazał ręką miejsce o kilkanaście kroków od tego, na którym staliśmy. - Będzie pan miał stąd piękny widok na okolicę.

Westchnąłem ciężko:

- Trudno. Zabiorę swoje rzeczy. Aha - przypomniałem sobie - tam w trzcinach obok półwyspu mam swoje czółno. Czy nie będzie panom przeszkadzało?

Machnął ręką:

- Może sobie tam spoczywać w spokoju - rzekł łaskawie.

Zbiegłem ze wzgórza na piaszczysty półwysep. Za mną poszło pięciu harcerzy.

- Proszę pana - odezwał się do mnie ten z kuszą na ramieniu - czy pozwoli pan, że przeniesiemy pańskie rzeczy?

- Chcecie mi pomóc? - ucieszyłem się.

- To dla nas doskonała okazja spełnienia dobrego uczynku. Wszystkie zastępy z naszego obozu wyszły w teren z zadaniem wykonania jakiejś pożytecznej pracy. Teraz trafiła się dobra okazja.

Podziękowałem im i oczywiście zgodziłem się przyjąć zaofiarowaną mi pomoc. Przedstawili mi się. Ów z kuszą na ramieniu był zastępowym zastępu Łuczników i kazał mi się nazywać „Wilhelm Tell”.

- Tak mnie przezywają - wyjaśnił - bo na zawodach łuczniczych w naszej szkole otrzymałem pierwszą nagrodę za celne strzelanie z łuku i z kuszy.

Zaprezentował mi także innych chłopców ze swego zastępu. Każdy z nich miał jakieś przezwisko. Był więc Borówka, bo najwięcej borówek zebrał w lesie. Był Sokole Oko - syn leśnika - który najlepiej rozróżniał ślady w lesie. Był Wiewiórka, bo najlepiej chodził po drzewach, był Sroka, bo umiał naśladować pisk sroki.

- Ja zaś jestem Tomasz Włóczęga - zmyśliłem na poczekaniu. - Tak możecie się do mnie zwracać,

Teraz zabraliśmy się do przenoszenia moich rzeczy z półwyspu na wzgórze pod lasem. W odwrotnym kierunku przenosili z samochodu swoje namioty młodzi ludzie z ekspedycji antropologicznej. W portfelu miałem list polecający do kierowniczkę ekspedycji, zapewne pozwoliłaby mi ona zamieszkać w obozie na półwyspie, ale, zgodnie ze swoim planem, zdecydowałem nie przyłączać się do naukowców.

- Nigdy nie budowaliśmy podobnego namiotu - stwierdził Wilhelm Tell, gdy w całej okazałości ukazało się jego oczom płótno mojego mieszkania.

- Bo to jest najnowocześniejszy weekendowy namiot z werandą - wyjaśniłem. -

Dopiero w tym roku ukazały się w sprzedaży tego typu namioty.

To nie był ów trójkątny namiocik, jak przywykliśmy oglądać na wycieczkach. Miał kształt pięciokątny i opierał się na sześciu masztach, z których środkowy był nieco wyższy od pozostałych. Stanowił więc jakby miniaturę cyrkowej budy. Wewnątrz namiotu można było niemal stać. Miał duże okno, które zasłaniało się tiulową przezroczystą firanką i żółtą zasłonką. Miał drzwi również przezroczyste i zapinane na zamek błyskawiczny. Drzwi prowadziły na werandę, dużą, przestronną, gdzie mógł zmieścić się stolik i krzeselka albo samochód. Namiot wyglądał jak żółtoróżowy, kolorowy domek.

- Bardzo piękny i obszerny - stwierdzili harcerze z zastępu Łuczników.

Obok nas na półwyspie rozpoczęła się budowa obozu antropologów. Postawiono tam najpierw trzy małe dwuosobowe namiociki i dwa ogromne - dwunastoosobowe. Półwysep - jak to można było z góry przewidzieć - był za mały na obozowisko ekspedycji, ale ponieważ młodzi ludzie uparli się zamieszkać na tym skrawku lądu, przejścia między namiotami musieli zrobić bardzo wąskie. Na to, aby dostać się z jednego namiotu do drugiego, trzeba było wędrować tuż nad brzegiem wody. Najdrobniejsze potknięcie się, na przykład o linę namiotową, groziło kąpielą.

- A to się urządzili - zaśmiewali się chłopcy Wilhelma Tella.

Najgorsze jednak dopiero czekało młodych antropologów. Piasek na półwyspie był bardzo sypki. Maszty główne namiotów natychmiast poczęły się krzywić, a śledzie, choć bez trudu wbite bardzo głęboko, nie stawiały żadnego oporu i przy naciąganiu płótna wyłaziły z piasku. Młodzi ludzie mozolili się bez końca, ciągle umacniając paliki i właściwie wciąż od nowa stawiając każdy namiot. Odjechało ciężarowe auto, minęło południe, a oni ciągle wykonywali tę swoją niemal syzyfową pracę.

Moja chatka sterczała na wzgórzu, pięknie żółcąc się na tle zielonej ściany lasu. Zabrałem się do przyrządzania śniadania, a zarazem obiadu. Postawiłem na ziemi kocher, zapaliłem maszynkę spirytusową i na małej patelni zacząłem przysmażać kromki chleba na smakowite, chrupiące grzanki. Do grzanek miałem dżem w słoiku.

- Czy długo zamierza pan przebywać w tej okolicy? - zapytał mnie Borówka.

- To będzie zależało od wielu czynników - odrzekłem wymijająco.

- Będzie pan łowił ryby? - pytali.

- Być może - kiwnąłem głową.

- Ale nie ma pan wędek.

- Ano, rzeczywiście nie mam.

- Więc chyba ryb pan nie będzie łowił?

- Nie będę - zgodziłem się.
- Zapewne jest pan na urlopie i będzie pan wypoczywał?
- Postaram się.

- A dlaczego właśnie tutaj będzie pan wypoczywał? Są chyba ładniejsze miejsca nad Wisłą.

- Tu nie jest brzydko - powiedziałem.
- No tak - przytaknęli - ale gdzie indziej może się okazać jeszcze ładniej.
- Owszem. Ale ja wolę tutaj. Spojrzeli po sobie porozumiewawczo.
- Jeśli będzie się pan zajmował czymś interesującym i tajemniczym - oświadczył mi z powagą Wilhelm Tell - to chętnie panu pomożemy.

- Czymś tajemniczym? - zdziwiłem się.

- Wygląda pan na człowieka tajemniczego. Całe pańskie zachowanie jest tajemnicze - stwierdził Wilhelm Tell.

- A ty, drogi Wilhelmie Tellu, wyglądasz mi na chłopca z dużą wyobraźnią. Znowu spojrzeli na siebie porozumiewawczo.

- Nas pan nie nabierze - powiedział Sokole Oko. - Pan jest tajemniczym osobnikiem. Przybył pan tu nie wiadomo skąd i nie wiadomo, w jakim celu. Nie mamy pretensji, że nie chce pan nam tak od razu zdradzić swojej tajemnicy, ale będziemy pana odwiedzać i być może okażemy się godni pańskiego zaufania.

- Moglibyśmy się panu przydać - zaoferował swą pomoc Wilhelm Tell. - Doskonale strzelam z kuszy. Nie wierzy pan? Proszę spojrzeć. Widzi pan na tej sośnie jaśniejszy skrawek kory? O tam, wysoko. Ja w niego trafię.

Na skraju lasu rosła gruba sosna. Na wysokości dziesięciu metrów miała skrawek jaśniejszej kory. Wilhelm Tell wyjął strzałę z kołczana, który nosił na plecach, zdjął z ramienia kuszę, naciągnął ją, założył strzałę.

- Niech pan patrzy - powiedział.

Brzęknęła cięciwa kuszy, strzała pomknęła do celu. Trafiła w jasny skrawek kory i utkwiała w nim ostrym grotem.

- Teraz jej stamtąd nie wyciągniesz, bo za wysoko - zauważyłem. - Nie wdrapiesz się, bo pień nie ma ani sęków, ani gałęzi.

- Gdybym chciał, mógłbym wdrapać się nawet i na to drzewo - powiedział Wiewiórka.

- Nie trzeba - rzekł Wilhelm Tell. - Niech ta strzała tkwi w korze. Ilekroć pan na nią spojrzy, przypomni pan sobie o nas. Proszę pamiętać, że możemy być pomocni.

W głębi lasu odezwała się harcierska trąbka sygnalizacyjna. — Obiad! — zakrzyknęli radośnie Łucznicy. I rzucili się do lasu.

Zjadłem śniadanie, a raczej obiad, bo pora już była południowa. Zeszedłem nad rzekę, aby umyć patelnię. Młodzi antropologowie ciągle jeszcze mozolili się przy budowie obozu, mocowali maszty i śledzie. Kończyłem szorowanie piaskiem patelni, gdy na rzece pojawił się statek pasażerski. Zatrzymał się dość daleko od brzegu. Ze statku spuszczone łódkę, do której najpierw wsiadł marynarz, a potem wskoczyły dwie kobiety i jakiś starszy pan w okularach. Domyśliłem się, że to nadpływa reszta antropologów z ekspedycji.

Wróciłem do swego obozu na wzgórzu. Zasunąłem zamek namiotu, zamknąłem go na małą kłódeczkę. A potem powędrowałem piaszczystą drogą w stronę miasteczka.

ROZDZIAŁ CZWARTY

PRZEMYTNICY – WIELKOŚĆ I UPADEK MIASTECZKA – DZIEDZIC DUNIN I JEGO SKARBY – PIERWSZA WZMIANKA O ZBÓJU BARABASZU – ŚMIERĆ GAJOWEGO – WYPRAWA NA WYSPĘ ZŁOCZYŃCÓW – DZIWNE OKRZYKI – CZŁOWIEK Z SIEKIERĄ – STRZAŁY W LESIE

Miasteczko Antoninów posiada około 3000 mieszkańców i cztery ulice krzyżujące się ze sobą. W środku miasteczka znajduje się prostokątny rynek wybrukowany „kocimi łbami”, przy rynku mieści się najokazalszy gmach, dwupiętrowy dom, w którym urzęduje Prezydium Miejskiej Rady Narodowej. Po drugiej stronie stoi kościół zbudowany z czerwonej cegły. Jego historia sięga XIV wieku, ale od tamtego czasu został on wielokrotnie przebudowany, tak że teraz stanowi brzydką mieszaninę najróżniejszych stylów. W miasteczku znajduje się stacja benzynowa i gospoda ludowa, mieszcząca się obok niewielkiego skwerku, koło którego zatrzymują się autobusy PKS-u. Przy głównej ulicy w małym i obskurnym drewniaku jest kawiarnia o nazwie „Kolorowa”, ale wewnątrz jej ma kolor brudnoszary, z zielonkawymi zaciekami na suficie.

O pół kilometra za miastem przechodzi tor wąskotorowej kolejki, po którym w okresie jesiennym kursują wagony z burakami, dowożonymi do niedalekiej cukrowni. Tuż przy torze rozciąga się duży park ze stawem pokrytym zieloną rzęsą. Nad stawem są piękne wierzby płaczące, a w głębi parku znajduje się renesansowy pałacyk dworski. Właściciel tego pałacyku, hrabia Dunin, uciekł stąd w 1945 roku, miał bowiem na swym sumieniu współpracę z okupantem i zląkł się nadchodzących wojsk radzieckich i polskich. Dwór hrabiego rozparcelowano, a ziemię rozdano byłym dworskim fernalom oraz podmiejskiej biedocie. W pałacyku zaś znalazła pomieszczenie szkoła rolnicza.

Ów renesansowy pałacyk - to jedyny ładny element architektoniczny w całej okolicy. Antoninów jest bowiem zdecydowanie brzydki. Ulice ma wąskie, zaśmiecone końskim i krowim nawozem. Domy otaczające ulice są niskie, zazwyczaj drewniane, kryte dwuspadowymi dachami. Większość tych domostw znajduje się już w ruinie - świetność miasteczka skończyła się w 1914 roku, podczas pierwszej wojny światowej.

W okresie poprzedzającym tę datę, o pięć kilometrów od miasteczka przebiegała granica między zaborem pruskim i rosyjskim. Obywatele Antoninowa zajmowali się

przemycem słynnej rosyjskiej herbaty, miasteczko miało kilku niekoronowanych „królów herbacianych”, którzy na przemycniczym procederze dorobili się dużych fortun. „Królowie” ci posiadali swoje dwory, swoje szajki przemycnicze. Ich członkowie również żyli bardzo dostatnio. Tak więc w tym czasie mieszkańcom Antoninowa powodziło się bardzo dobrze, miasteczko się rozbudowało, wzdłuż czterech ulic postawiono wiele nowych drewnianych domów.

Wraz z usunięciem granicy zniknęła jednak możliwość dużych zarobków. Pozbawione przemysłu miasteczko natychmiast zubożało, z biegiem lat drewniane domy, nie remontowane, poczęły chylić się ku ruinie. Niekoronowani „królowie herbaciani” zdobyli wprawdzie wystarczająco okazałe fortuny, aby móc dalej żyć dostatnio, gorzej jednak było tym, którzy kiedyś należeli do zorganizowanych przez nich szajek przemycniczych. Złoty czas przemytu wytworzył w miasteczku specjalny typ człowieka, przyzwyczajonego do łatwego i dużego zarobku za cenę ryzyka. Przemycnicy dostarczający towar za granicę ryzykowali ciągle życiem, ale każda taka wyprawa przynosiła ogromny dochód. Zarabiali dużo, bawili się szumnie, szybko trwoniąc zarobki.

Gdy granicę zlikwidowano, niewielu spośród dawnych przemycników potrafiło nagiąć się do nowych warunków, nauczyć się rzemiosła, zabrać się do uczciwego zajęcia. Po pierwszej wojnie światowej z owych przemycników potworzyły się najróżniejsze bandy rzezimieszków. Mieszkańcy miasteczka zyskali sobie opinię koniokradów, bandytów, złodziei, awanturników. W licznych szynkach i knajpach miasteczka śpiewano piosenki o dawnych sławnych przemycnikach i o hersztach band rabunkowych. Oczywiście czas robił swoje, wielu spośród przemycników skończyło życie w więzieniach, inni zdołali się wciągnąć do uczciwej pracy. Ale zła tradycja ma żywot długi. Coś z tej dawnej awanturniczej atmosfery przetrwało w miasteczku przez dziesiątki lat. Po drugiej wojnie światowej poczęły tu również grasować bandy rabunkowe, grabiące spokojnych mieszkańców okolicznych wiosek. Ale i ten czas minął bezpowrotnie. W 1947 roku z bandami rozprawiła się milicja i znowu nastał spokój.

Zresztą, wbrew swej dawnej złej sławie, Antoninów robił na mnie wrażenie cichego i bardzo spokojnego miasteczka. Oto środkiem głównej ulicy mały chłopiec z zieloną wtką w ręku gnał kilka łąciatych krów. Oto, jak w każdym małym i sennym miasteczku, kilka kumoszek wiodło nie kończące się rozmowy na rogu ulicy, na przyzbach domów wygrzewali się w południowym słońcu staruszkowie, a obok nich drzemały psy na płytach chodników. Przed gospodą ludową nie napotkałem pijanych awanturników. Kilka sklepów wydało mi się dobrze zaopatrzonych, w jednym z nich zobaczyłem na wystawie malutki dziesięciolitrowy

zbiornik na benzynę. Takich zbiorników na próżno byś szukał w wielkich magazynach z artykułami żelaznymi.

Oczywiście, natychmiast go kupiłem i pomaszerowałem na stację benzynową.

W powrotnej drodze rzucił mi się w oczy mały prywatny sklepik, mieszczący się w odrapanym drewniak. Wystawa sklepu przedstawiała się nędznie i odpychająco. Na starym serze łąziło stado much, z brudnego słoika wyglądały bardzo kolorowe lizaki. Obok leżało kilkanaście drewnianych cygarniczek.

Kiedyś paliłem papierosy w podobnej cygarniczkach i bardzo mi smakowały. Wszedłem włączyć do sklepu, aby kupić dwie drewniane „lufki”.

Brzęknął dzwonek zawieszony nad drzwiami, Za oszklonym, niskim kontuarem zobaczyłem otyłą kobietę w wyplamionym fartuchu.

Podawała mi tekturowe pudełko, pełne drewnianych cygarniczek. Począłem w nich grzebać, szukając najbardziej kształtnej i cienkiej.

- Czy pan od tych naukowców, co to przyjechali do nas kopać w ziemi? - zapytała ochryplym, męskim głosem.

- Ja? Skądże, proszę pani - udałem bardzo oburzonego podobnym przypuszczeniem. - Na ryby przyjechałem i zatrzymałem się nad Wisłą. Urlop mam - wyjaśniłem.

Wybrałem dwie cygarniczki. Pomyślałem, że rozmowa z tą kobietą może się okazać bardzo pożyteczna. W sklepiu była skrzynka z piwem, poprosiłem o butelkę i szklanę.

Szklanka nie wydała mi się najpierwszej czystości. Nalałem jednak do niej piwa, łyknąłem trochę i zapytałem:

- A co oni będą kopać?

- Kto? - zdziwiła się.

- No, ci naukowcy.

- Kto ich tam wie - wzruszyła ramionami. - Różnych rzeczy będą szukać. W ziemi można znaleźć różności.

Teraz ja wzruszyłem ramionami.

- Różności?..

- A tak - z powagą kiwnęła głową. - Przed wojną to u nas dziedzic hrabia Dunin rozkopał żalniki * w lesie i dużo różnych rzeczy znalazł. Skarbów się dokopał. Potem to wszystko porozkładał w swoich pokojach i gości spraszał, żeby oglądali. Stare garnki wykopał, broń dawną, drogimi kamieniami wysadzaną, obrazy...

- Obrazy też wykopał? - zdumiałem się.

- Kto go tam wie, może i wykopał. Ale chyba nie wykopał, tylko miał po swoich

przodkach, hrabiach.

- Dobre piwo. Bardzo dobre - mlasnąłem językiem.

- A potem wszystkie te różności znów do ziemi poszły.

- Znów je zakopał?

- Właśnie, że zakopał. Front się zbliżał, a dziedzic Armii Czerwonej bał się jak ognia.

Niemcy mówili, że się obronią i Rosji tutaj nie wpuszczą. Dziedzic im wierzył i dopiero, jak front był tuż, tuż, zmiarkował, że bieda, i postanowił uciekać. Ale Niemcy dali mu tylko jeden samochód. Co można zabrać do takiego samochodu? Żonę i dzieci. Więc wszystko, co miał drogiego, zakopał do ziemi.

- Fiuuu - gwłzdnąłem przez zęby. - Jeszcze o jedną butelkę piwa proszę. Dała mi drugą butelkę. Powiedziałem:

- To są bajeczki dla grzecznych dzieci. Gdzie by tam kto zbiory zakopywał do ziemi. Pewnie sprzedał i tyle.

- Kiedy, proszę pana, naprawdę zakopał.

- I co? Nie było nikogo takiego, kto by odnalazł kryjówkę?

- A właśnie, że nikt nie odnalazł. Całe miasto szukało i milicja, i wojsko. Nie znaleźli. Teraz tych naukowców przysłali, żeby rozpoczęli kopanie. Pewnie tych dziedzicowych rzeczy będą szukać.

- Niech pani nle wierzy w takie rzeczy. Tych dziedzicowych rzeczy nikt nie szuka. Dziedzic je pewnie ze sobą wywiózł.

Kobiecina aż wyszła z za kontuaru. Niska, okrągła, mimo upału okutana w chustkę, wyglądała jak drewniana, odpustowa baba, w którą można włożyć sześć innych coraz mniejszych bab.

- A przecież obrazy dziedzica odnaleźli - rzekła.

- Bardzo dobre piwo - zauważyłem.

- Były w kościele. W podziemiach, tam gdzie są grobowce. Gajowy Gabryszczak kryjówkę w kościele wskazał. On razem z dziedzicem wszystkie te rzeczy ukrywał.

- Więc jednak odnaleziono rzeczy dziedzica - powiedziałem.

- Ba. Właśnie, że nie. Tylko obrazy. Najpierw Gabryszczak przyszedł do milicji i powiedział: „Obrazy dziedzica są w podziemiach kościoła między starymi grobami”. I przyrzekł, że nazajutrz zaprowadzi milicję do kryjówki z innymi rzeczami dziedzica. Ale w nocy do leśniczówki przyszedł Barabasz i więcej już nikt nie oglądał żywego Gabryszczaka. Po trzech dniach Wisła wyrzuciła ciało Gabryszczaka na brzeg. Pobity był i poparzony, bo pewnie Barabasz go smażył, żeby kryjówkę mu pokazać. Postawiłem pustą butelkę na

kontuarze.

- Ile płacę?

- Nie ciekawi pana ta historia? - zdziwiła się. Machnąłem ręką.

- Nie wierzę w takie historie. Barabasz? Go to za Barabasz?

- Nie słyszał pan o Barabaszu? Bandzior. Największy na okolicę bandzior. Z bandą swoją rabował u nas w 1945 roku.

- No to pewnie Gabryszczak zdradził mu, gdzie jest kryjówka dziedzica, i „Barabasz” wszystko sobie przywłaszczył.

Kobiecina złapała mnie za rękę. Pewnie jej się nudziło w tym sklepiku i rada była pogadać.

- Nie, nie, proszę pana. Nie zabrał. Nie zdążył zabrać. Nie minęły dwa dni, a milicja dopadła bandę Barabasza na wyspie wiślanej i otoczyła ich. Panie, jaką tu walkę stoczono. Prawdziwą wojnę, proszę pana. Bandyci się nie chcieli poddać, zginęli prawie wszyscy razem z Barabaszem. Tylko dwóch żywcem złapała milicja, a potem ich sądzili i skazali na karę śmierci. Barabasz tajemnicę kryjówki do grobu za brał. Kryjówka jest, a drogi do niej nikt nie zna.

- Ile płacę? - spytałem zniecierpliwiony.

- Dziesięć złotych - burknęła sklepikarka. Zła się zrobiła, że nie chciałem do końca wysłuchać historii o Barabaszu.

- Do widzenia - rzekłem.

Nie raczyła mi odpowiedzieć. Brzęknął znów dzwonek nad drzwiami. Wyszedłem na ulicę.

W drodze powrotnej do obozu wstąpiłem do piekarni i kupiłem bochenek świeżego chleba. Namiot zastałem w największym porządku, zamknięty na klódeczkę, a choć pora była jeszcze wczesna, od razu zabrałem się do przyrządzania kolacji. W swych zapasach żywnościowych miałem pudełko konserw rybnych, otworzyłem je, zjadłem rybę z chlebem i przegotowałem wiślaną wodę na herbatę. Nie smakowała mi, postanowiłem na przyszłość zaopatrywać się w wodę ze studni w miasteczku.

Jedząc kolację obserwowałem z góry obóz antropologów. Urządzili się już jako tako, namioty stały prosto i linki miały dobrze naciągnięte. Ciasnota u nich była okropna, ale obóz mieli w pięknym miejscu, z trzech stron otoczony wodą, a od strony lądu ogrodzony grubą linką uczeponą do palików.

Wieczorem u nasady cypla antropologowie rozpalili ognisko. Widziałem wśród nich dwie młode kobiety w spodniach i grubych swetrach oraz sześciu młodych mężczyzn i

jednego starszego pana. Przy ognisku głośno rozmawiano, zapewne o czymś bardzo wesołym, bo do uszu moich często dolatywał śmiech, Potem zaczęli śpiewać.

Tak przyszła noc, blask ogniska z obozu antropologów popłynął daleko po Wiśle. Znowu zamknąłem swój namiot i obciążony zbiornikiem z benzyną zeszedłem na brzeg rzeki, nieco poniżej obozu. Nie zauważony przez antropologów, rozebrałem się i wlałem w trzciny. Dobrnąłem do swojego „sama”, przetransportowałem na niego zbiornik i ubranie, a później znowu wskoczyłem do wody, aby samochód wypchnąć z trzciny na wolną przestrzeń rzeki. Nie chciałem zapalać słownika, aby nie zwracać na siebie uwagi antropologów. Wisła pochwyliła mój samochód i bezszelestnie popłynęła z prądem. Minałem cypel rozjaśniony ogniskiem, wokół którego pomszały się wydłużone cienie młodych naukowców.

Zbliżyłem się do wyspy o brzegach podmytych przez wodę i obrośniętych gęsto wikliną. Dopiero tutaj spróbowałem uruchomić silnik, ale jak na złość nie chciał zaskoczyć. Z konieczności dobiłem więc do brzegu, a raczej przodem „sama” wjechałem w zarośla, zwieszające się z podmytych brzegów. I właśnie wtedy od strony rzeki usłyszałem skrzyp dulek i plusk wiosła. Obejrzałem się - po Wiśle płynęła łódka, którą kierował jakiś przygarbiony mężczyzna. Nie widziałem jego twarzy, dostrzegłem tylko, że w łódce jest kilka zielonych i czerwonych latarek. Łódka zatrzymała się w pobliżu wyspy, obok pływającej na wodzie boi rzecznej. Siedziałem w „samie” i ciekawie przyglądałem się, jak mężczyzna ów przysuwa do łódki boję i zawiesza na niej zieloną latarkę.

Nagle w głębi wyspy rozległ się głośny i przenikliwy krzyk sowy. Aż ciarki przeszły mnie po grzbiecie, tak ów krzyk wydał mi się ponury i groźny, jakby obwłaszczający coś złego. Podobnie chyba odczuł go i ów człowiek oświetlający boję rzeczne, bo przerwał swą pracę i stanął nleruchomo, z twarzą zwróconą w stronę wyspy.

Znowu zakrzyczała sowa. Wydało się, że jej ponury, złowróźbny głos płynie z korony jednego z drzew na wyspie. Krzyk ucichł, nastąpiła cisza. I raptem usłyszałem stłumione, lecz przecież wyraźne wołanie:

- Ba-ra-basz!. Ba-ra-basz!. Ba-ra-basz!...

Głos był niski, dobywał się jakby spod ziemi, jakby gdzieś z jakiegoś dołu na wyspie. Trzy razy powtórzył się okrzyk „Barabasz”, a potem znowu nastąpiła zupełna cisza.

Zdziwiło mnie, a potem zaniepokoiło zachowanie człowieka w łódce. Gwałtownie chwycił wiosła i skierował się do brzegu wyspy. Zanim jednak wyskoczył na brzeg, pochylił się i z dna łódki pochwylił jakiś przedmiot. Gdy podniósł go do góry, zamigotał na nim czerwono odbłask wschodzącego księżycy. Mężczyzna trzymał w ręku siekiere.

Wyskoczył na brzeg i wymachując siekiere - jakby niezwykle rozgniewany - wbiegł

między krzaki wikliny. Słyszałem szelest liści, trzask łamanych gałązek.

Pomyślałem z niepokojem, że jeśli napotka mnie tutaj, dojdzie do wniosku, iż to ja wołałem „Barabasz”, i rozgniewany - choć nie wiem, dlaczego tak go to rozgniewało - rzuci się na mnie z siekierą.

Na wyspie szeleściły zarośla, ciągle słychać było trzask łamanych gałęzi. Wydawało się, że człowiek ów miota się tam, wymachując na oślep siekierą i szukając tego, kto wołał „Barabasz”. Po kilkunastu minutach odetchnąłem z ulgą. Mężczyzna wrócił do swej łódki. Był zziębnięty, rzeka przyniosła mi odgłos jego sapania. Ciężko wgramolił się do łódki, mruczał przy tym coś pod nosem, przeklinał. Odpłynął z prądem rzeki i zniknął za wyspą.

Doszedłem do wniosku, że silnik „sama” nie chce zapalić, bo po prostu nie ma benzyny. Przełałem więc benzynę ze zbiornika do baku i rzeczywiście po kilku chwilach silnik odezwał się. Wypłynąłem na środek rzeki i ruszyłem z prądem, starając się przybliżyć jak najbardziej do prawego brzegu. Minąłem człowieka w łódce - zawieszał latarkę na boi przy lewym brzegu. Dzieliła nas dość duża odległość; wydawało mi się, że nie zwrócił na mnie większej uwagi. Pewnie pomyślał, że płynę skądś z daleka.

Przebyłem jeszcze może z półtora kilometra i dopiero teraz skierowałem się ku lewemu brzegowi. Zgodnie z mapą, jaką mi wyrysowano przed przyjazdem w tę okolicę, właśnie w tym miejscu powinna się znajdować droga schodząca do Wisły, do dawnego promu. Odnalazłem drogę - żółciła się wśród traw porastających brzeg. Wyjechałem na nią swym „samem”, przesiadłszy się za kierownicę samochodową. „Sam”, jak ociekający wodą psiak, pomaleńku powlókł się po piasku wyżłobionym przez wozy koleinami.

Droga rozwidlała się, obydwie jej odnogi prowadziły w las. Wysokopienny, sosnowy bór, który zaczynał się tam, gdzie stał mój namiot, i rozciągał się na przestrzeni kilkunastu kilometrów wzdłuż brzegu rzeki. Zapaliłem światła reflektorów. W ich blasku zamigotały srebrzyście robaczki świętojańskie. Skręciłem w drogę na lewo i po krótkim czasie znowu znalazłem się na rozstaju. Stał tu wysoki, trochę pochylony krzyż drewniany. Jeszcze raz pojechałem na lewo, a w kwadrans później byłem koło swojego obozu.

Ognisko antropologów paliło się jeszcze, choć już nikłym, zamierającym płomieniem. Wprowadziłem „sama” do garażu przy namiocie, potem usiadłem na trawie i paląc papierosa zastanawiałem się nad sposobami dalszego postępowania.

Nie ulegało dla mnie wątpliwości, że jeśli chciałem wykonać zadanie, które mnie przywiodło w te okolice, miałem do wyboru dwie drogi. Jedna z nich była gładka i prosta, lecz nie dawała prawie żadnych nadziei. Wędrówka po niej wydawała się długa, a przecież mój czas pobytu w tej okolicy był ograniczony urlopem. Druga droga dawała znacznie

większe szanse osiągnięcia celu, ale czaiło się na niej niebezpieczeństwo.

Zerwał się wiatr, a wraz z jego podmuchami odezwał się las. Drzewa szumiały to ciszej, to znów głośniejsze, zdawało się, że las zaczął oddychać. Gdzieś tam w tym lesie spali chłopcy z zastępu Łuczników. Nie wiem dlaczego, zastanawiając się nad swym dalszym postępowaniem, przypomniałem sobie właśnie tych chłopców.

Podmuchy wiatru stawały się coraz silniejsze. Korony drzew w pobliżu mego namiotu skrzypiały i chrobotwały, ocierając się o siebie sękatymi gałęziami. „Dobrze - powiedziałem sobie - spróbuję pójść tą niebezpieczną drogą. Przecież chyba w każdej chwili będę się mógł z niej wycofać?”

Podjąwszy tę decyzję przydeptałem nogą wypalony papierosa. Zgasło już ognisko w obozie antropologów, dla mnie już także nadeszła pora spoczynku.

Otworzyłem drzwi swego namiotu i w tym momencie usłyszałem trzy wystrzały, których odgłos przedarł się z lasu poprzez szum drzew.

Nasłuchiwałem, ale strzały nie powtórzyły się, „Kto w tej okolicy posiada broń palną? - zastanawiałem się. - Chyba tylko milicja i, być może, leśniczy”.

Ale nie potrafiłem pozbyć się uczucia niepokoju, który obudziły we mnie nocne strzały.

ROZDZIAŁ PIĄTY

OBOZOWISKO NA BRZEGU WĄWOZU – STRZAŁA – ODWIEDZINY HARCERZY – HARCERZE W ROLI DETEKTYWÓW – WYPRAWA NA CMENTARZYK WOJSKOWY – KRWAWÉ ŚLADY – KŁUSOWNICY – NOCNY DRAMAT – ROZMYŚLANIA – MIANUJĘ SIEBIE DZIEDZICEM DUNINEM – DLACZEGO DZIEDZIC ZAUFał GAJOWEMU – GDZIE UKRYŁBYM SWOJE ZBIORY?

Obudziłem się o szóstej rano. Pośpiesznie zwinąłem namiot i zapakowałem go do „sama”. Zbiegłem potem na brzeg Wisły i umyłem się w lodowato zimnej wodzie. Obóz antropologów jeszcze spał, a w każdym razie nie dochodził stamtąd żaden głos. Wróciłem do „sama”, uruchomiłem silnik i pojechałem drogą do miasteczka. Zatrzymałem się obok studni w rynku, napełniłem wodą pięciolitrową banieczkę, którą miałem wśród turystycznego sprzętu. Później przybyłem przed stację benzynową i napełniłem bak. Teraz znowu skierowałem się w stronę lasu. Po drodze rzuciłem okiem na obóz antropologów i zauważyłem, że nad wodą myje zęby wysoka kobieta o jasnych włosach. Odwróciła ku mnie głowę i odprowadziła mnie spojrzeniem, dopóki mój dziwaczny pojazd nie zniknął w lesie.

Znalazłem się na rozstaju, gdzie stał pochylony drewniany krzyż. Gdybym skręcił w prawo - dojechałbym do Wisły. Droga na lewo doprowadziła mnie do głębokiego wąwozu. Jego brzegi porastała trawa i niskie krzaki jeżyn, a tylko na szczytach był wysokopienny las. Po lewej stronie w wysokiej ścianie lasu była jakby duża wyrwa. „To chyba tutaj” - pomyślałem. Wyjąłem z kieszeni kartkę papieru, na której w Łodzi jeden z moich przyjaciół naszkicował mapkę okolicy.

Zgasilem silnik „sama” i po pochyłości wąwozu zacząłem się piąć w górę. Buty ślizgały się po zroszonej trawie, za nogawki spodni chwytały kolczaste gałązki jeżyn. Lecz gdy już stanąłem na szczycie, roztoczył się przede mną piękny widok, choć niezbyt rozległy, ograniczały go bowiem ściany lasu. Widziało się tylko drogę biegnącą wąwozem, o stokach urwistych i zielonych od traw. Zieleń ta miała jednak tak piękną barwę, tyle w niej było świeżości, że miejsce to wydawało się jakby wspaniałym ustroniem, oazą ciszy i spokoju.

Tu, gdzie stanąłem, wykarczowano ongiś kawałek lasu i zbudowano niewielką zagrodę. Był tu chyba i ogród, bo pozostało kilka zdziczałych jabłoni i wielka, stara grusza.

Otoczał to miejsce gęsty las, ślady domu pokryła trawa. Lecz mieszkańcy tej zagrody - wnioskowałem - chyba nie wspinali się po urwistej krawędzi wąwozu?

W lesie odnalazłem bez trudu wąską przesiekę. „Zapewne droga na dnie wąwozu zatacza łuk i wspina się na wzgórze - myślałem - a na wzgórzu łączy się z nią przesieka”.

Zszedłem na dół do „sama”. Ujechałem najwyżej pół kilometra po dnie wąwozu i rzeczywiście droga skręciła jeszcze bardziej w lewo, jednocześnie nieznacznie podnosząc się w górę. Potem był zakręt, a za zakrętem zobaczyłem skraj lasu i ogromną połąć pół uprawnych.

Jadąc wzdłuż skraju lasu wkrótce odkryłem przesiekę. Zatoczyłem więc jakby ogromne koło, aby znowu znaleźć się w tym samym miejscu. Ale tym razem byłem tu wraz ze swoim „samem”, który nie wspiałby się po stromej ścianie wąwozu.

Zanim rozstawiłem namiot, ugotowałem na kocherze trochę wody w garnuszku, zaparzyłem sobie mocnej kawy i zjadłem kilka pąjd chleba, posmarowanych topionym serem. Przy okazji jeszcze raz obliczyłem swe zapasy żywnościowe i stwierdziłem, że mogę tu zostać przynajmniej trzy dni.

Rozstawiłem namiot. Skończyłem tę pracę około południa. Słońce stało już wysoko i mocno przygrzewało. Nadmuchałem materac, rozebrałem się. Ległem na materacu i zacząłem się opalać.

Nagle świsnęło coś koło mnie i uderzyło w ziemię. Rozejrzałem się, zobaczyłem strzałę tkwiącą w trawie o trzy kroki ode mnie.

Poderwałem się z materaca.

- Wilhelmie Tellu - zawołałem - nie rób głupich kawałów!

Zaszeleściło w krzakach dookoła zdziczałego sadu. Zza drzew wyszli chłopcy z zastępu Łuczników. Gęby mieli roześmiane.

- Odnaleźliśmy pana - obwieścił Tell. - Odnaleźliśmy pana, choć pan uciekł i zmylił pogonie. Wzruszyłem ramionami.

- Nie uciekałem, nie myliłem pogoni. Po prostu, jak się to mówi, zmieniłem miejsce zamieszkania.

- Przyszliśmy dziś rano nad rzekę, żeby złożyć panu wizytę - wyjaśnił Tell - patrzymy, namiotu ani śladu. „Co się z nim stało?” - zastanawiamy się. Sokole Oko wskazał nam ślady samochodu. „Przyjechał po niego samochód - powiedział - i Tomasz Włóczęga odjechał”. Potem jedna z pań antropologów, zdaje się, kierowniczką ekspedycji, poinformowała nas, że jakiś pokraczny samochód wczesnym rankiem wjechał do lasu. Pomaszerowaliśmy do drogi w lesie i oczywiście na piasku odkryliśmy ślady auta.

- Jechałem tą drogą dwa razy. Wczoraj wieczorem i dziś rano - rzekłem - w dwie różne strony.

- No, tak - odezwał się Sokole Oko. - Zauważyliśmy to, bo jedne ślady nachodziły na drugie. Ale jedne były wcześniejsze, a drugie późniejsze. Poszliśmy po tych późniejszych...

- Sledzicie mnie! - zawołałem z udanym oburzeniem.

Uśmiechnęli się,

- Nie - przecząco pokręcił głową Wilhelm Tell.- Po prostu szukaliśmy pana, żeby zapytać, czy nie potrzebuje pan naszej pomocy.

- Znowu macie za zadanie wykonać jakiś dobry uczynek? - spytałem.

- Tak jest, proszę pana.

- Dzisiaj nic z tego. Jak widzicie, sam zdołałem się tu zagospodarzyć.

Przez cały czas naszej rozmowy pilnie przyglądali się mojemu samochodowi.

- Skąd pan wytrzasnął tę landarę? - spytał Wiewiórka.

- Otrzymałem ją w spadku po swoim wuju, Stefanie Gromille. To był wielki dziwak - wyjaśniłem. - Ale samochód jest zupełnie dobry.

- Z pana też jest dziwak - powiedział Tell. - Dlaczego przeniósł się pan z tamtego wzgórza nad Wisłą?

- Bo tu jest ładniej...

- Tam było ładniej.

- To sprawa gustu - rzekłem wymijająco.

- Nie podobali się panu antropologowie? - wypytywał mnie Tell.

- Być może - mruknąłem. Nie chciałem kłamać, ale nie uważałem za stosowne wtajemniczać chłopców w swoje sprawy.

Rozeszli się po moim nowym obozie, zaglądając w każdy kąt, pod każdy krzak, penetrowali każdy skrawek murawy.

- W tym miejscu stała kiedyś jakaś zagroda - stwierdził Tell.

- To było nie dalej jak przed dwudzlestu laty - dodał Sokole Oko.

- Skąd wiesz, że nie przed dziesięciu laty? - spytałem. Wskazał mi kilka sosen.

- Nie mają więcej niż dwadzieścia lat. Ja się na tym znam, bo mój ojciec jest leśniczym. A ponieważ te sosny urosły w dawnym sadzie, więc można przypuszczać, że kiełkowały dopiero wówczas, gdy sad został porzucony.

- Niech pan patrzy - mówili - tu był dom. Nieduży, drewniany, na podmurówce, bo w ziemi leżą cegły z fundamentów. Tu zaś stała obórka, maleńka, najwyżej na jedną krowę i jednego konia, może zresztą na dwie krowy. Tam dalej znajdowała się piwnica na ziemniaki,

pozostał po niej tylko dołek.

- Wiem - zawołał Sokole Oko - znajdujemy się na miejscu dawnej gajówki.

- Skąd wiesz, że to była gajówka? - spytałem. Sokole Oko wyjaśnił z powagą:

- Bo zbudowano ją w lesie. Zagroda chłopska stanęłaby na skraju lasu, obok pól. Zresztą nie widzę tu miejsca na stodołę i w ogóle, jak na gospodarstwo chłopskie, trochę za mało było zabudowań.

Mieli rację. Postawiłem teraz pytanie, na które, jak mi się wydawało, nie zdołają odpowiedzieć:

- A co się stało z gajówką? Dlaczego poszła w ruinę?

Znowu poczęli myszkować, Po chwili przynieśli kilka drewnienek.

- Gajówka spaliła się. Widzi pan, te kawałki drewna są nadpalone. Zresztą, proszę spojrzeć na starą gruszę. Rosła tuż przy chałupie. Gdy zapalił się dach gajówki, płomień objął również i część gruszy. Od strony dachu grusza jest sucha, okaleczona przez ogień. Nigdy już z tej strony nie wypuściła nowych pędów.

- Zgoda - kiwnąłem głową. - To wszystko, co mówicie, jest prawdą. Jednego tylko nie można wywnioskować, oglądając to miejsce. Kto mieszkał w gajówce?

Uśmiechnęli się od ucka do ucha.

- I to także wiemy, proszę pana. Obozujemy w tej okolicy dwa tygodnie i historię o Barabaszu i gajowym Gabryszczaku każdy z nas słyszał po kilka razy. Tu mieszkał Gabryszczak. Barabasz uprowadził go stąd i gajówkę spalił.

- Taaaak - mruknąłem skonfundowany.

Przyjrzałem się im z nowym zainteresowaniem. Wilhelm Tell miał chyba nie więcej niż jedenaście lat, ale był, jak na swój wiek, dość niski, szczupły, o pociągłej, śniadej twarzy i ciemnych włosach. Borówka miał wesołą owalną buzię, zaróżowioną od słońca, właśnie jakby borówkową. Sokole Oko odznaczał się długim nosem, który nadawał jego twarzy wyraz wielkiej ciekawości. Sokole Oko ciągle przekrzywiał głowę i przyglądał się wszystkiemu spod oka, a jego długi nos jakby nieustannie za czymś węszył.

- Czy nie zechciałby pan przewieźć nas swym samochodem? - poprosił Borówka.

- Bardzo chętnie - powiedziałem - lecz całą piątkę nie sposób zabrać od razu. Lękam się także zostawić w lesie namiot i swoje rzeczy.

Zdecydowali, że dwóch harcerzy pozostanie, aby pilnować mojego namiotu, trzech zaś, to znaczy Wilhelm Tell, Sokole Oko i Borówka, przejedzie się „samem”.

- W którą stronę pragniecie odbyć przejażdżkę? - zagadnąłem ich, gdy wyjechaliśmy z przesieki.

- Na cmentarz wojskowy. Tam jest tak pięknie - zachwycił się Wilhelm Tell.

Należało najpierw skierować się drogą prowadzącą przez wąwóz, nad którym stał mój namiot. Potem, zgodnie ze wskazówkami chłopców, skręciłem w dość szeroką przesiekę po lewej ręce. I oto po kilkunastu minutach jazdy ukazała się nieduża polana pokryta krzakami. Sterczały tu pochylone krzyże brzozone, na kilku z nich wisiały stare, poprzesztelane, wojskowe hełmy polskie.

- Tak - przytaknął Tell - to jest cmentarz żołnierzy polskich, poległych w walce z Niemcami w 1939 roku. Nasz hufiec harcerski podjął wczoraj za bowiązanie uporządkowania tego cmentarza.

- A był pan na Wyspie Barabasza? - zapytał mnie Borówka.

- Nie słyszałem o takiej wyspie - rzekłem.

- Ona jest na Wiśle. Tam zginęła banda Barabasza. Na środku wyspy znajduje się wspólna mogiła bandytów.

Wysiedliśmy z samochodu.

- Chodźmy w głąb cmentarzyka - zaproponował Tell, - Tam zobaczymy wielki kamień. Można by na nim wyryć jakiś napis.

- Najlepiej byłoby po łacinie - rzekł Sokole Oko.

- Dlaczego po łacinie? - zdziwiłem się.

- No, bo to by dumnie brzmiało. Na przykład: *Dulce et decorum est pro patria mori*, co znaczy: Miło i zaszczytnie jest umrzeć za ojczyznę. Widziałem podobny napis na cmentarzu Powązkowskim w Warszawie.

Cmentarzyk był bardzo zaniedbany. Rosła na nim trawa po pas, gęste krzewy pokrywały zapadłe w ziemię mogiłki, których naliczyłem około sześćdziesięciu. Tu i ówdzie krzyże przewrócił wiatr.

Sokole Oko, który prowadził naszą gromadkę przez cmentarzyk, raptem gwałtownie odskoczył w bok.

- Prędzej! Spójrzcie tutaj! - krzyknął.

Przyśpieszyliśmy kroku. Sokole Oko rozsunał gałęzie krzewów i na wygniecionym posłaniu z traw zobaczyliśmy martwą sarnę, leżącą w kałuży zastygłej krwi. Sarna była już zimna, zapewne zdechła w nocy. Na szyi miała krwawą ranę, która spowodowała jej śmierć.

- Kłusownicy - powiedział Wilhelm Tell. I spojrzał na mnie podejrzliwie. Zrozumiałem to spojrzenie.

- Chyba zwróciliście uwagę, że nie posiadam żadnej broni - rzekłem. - Przypominam

sobie jednak, że wczorajszej nocy, a raczej późnym wieczorem, słyszałem w lesie trzy strzały.

- My je także słyszeliśmy - potwierdził Borówka.

- Kłusownicy - powtórzył ponuro Tell. - Zranili sarnę w szyję, zdołała uciec aż tutaj. I padła martwa.

Sokole Oko już buszował po krzakach cmentarzyska.

- Masz rację, Tell - zawołał - tu widać ślad krwi na liściach i na trawie. Ranna sarna jeszcze jakiś czas uciekała. Nie znaleźli jej, bo zapewne nie mieli ze sobą psa.

Martwe zwierzę spoglądało na nas szeroko otwartymi, jakby szklanymi oczami, w których wydało mi się, że dostrzegam zastygłe cierpienie.

- Gajowy Marczak ostrzegał nas przed kłusownikami i prosił nasz hufiec, aby zwracać uwagę i meldować o każdym podejrzanym wyglądającym człowieku, kręcącym się po lesie - stwierdził Wilhelm Tell. - Ale widać źle się rozglądaliśmy. Tuż koło naszego obozu popełniono zbrodnię,

- Jeśli chodzi o mnie... - zacząłem. Ale Tell przerwał mi:

— Pan nie wchodził w rachubę. Kłusownicy zabijali w tej okolicy zwierzynę, jeszcze zanim pan przyjechał. Podobno od dwóch lat grasuje tutaj grupa kłusowników. Gajowy Marczak mówił nam, że nie może sobie z nimi dać rady, bo jego gajówka jest na drugim końcu lasu. Z tej strony także powinien strzec lasu gajowy. I była tu kiedyś gajówka, ale ją Barabasz spalił. Nowej, niestety, nie zbudowano.

Ułamał w lesie dość grubą gałąź, przywiązali do niej sarnę.

- Zaciągniemy ją do naszego obozu - rozkazał Tell. - Potem zawiadomimy gajowego Marcza.

Nie pozostało mi nic innego, jak wsiąść w „sama” i powrócić do obozowiska. Oczywiście poinformowałem oczekujących tam chłopców o zabitej sarnie i natychmiast popędzili w las, aby połączyć się z resztą swego zastępu.

Przyrządziłem obiad. Później miałem dużo czasu na rozmyślanie...

Nie dawała mi spokoju świadomość, że znajduję się w miejscu, gdzie przed siedemnastu laty znajdował się domek gajowego Gabryszczaka. Pewnej nocy przybyli tutaj ludzie z bandy Barabasza. Może zakradli się po stromej pochyłości wąwozu? Gabryszczak zapewne już spał. Otoczyli zagrodę, wtargnęli do jego domu, wywlekli go z mieszkania i poprowadzili w las do swych kryjówek.

„A właśnie - pomyślałem - gdzie znajdowała się kryjówka bandy Barabasza? Czyżby była nią Wyspa Złoczyńców na Wiśle?”

Zacząłem zastanawiać się, co bym zrobił ze swymi bogatymi zbiorami, gdybym był dziedzicem Duninem. „No, wyobraź sobie, że jesteś dziedzicem, bardzo majątnym człowiekiem, posiadasz wielki pałac, a w pałacu ogromny i bogaty zbiór obrazów i starej broni. Masz jednak na swym sumieniu zdradę narodu i boisz się nadejścia Armii Czerwonej. Gdzie ukryłbyś swe zbiory, gdyby pozostawiono ci na to niewiele czasu i gdybyś lękał się, że nie zdążysz uciec przed wkraczającą armią?”

Jakoś nie potrafiłem wyobrazić sobie siebie w roli bogatego dziedzica, posiadacza majątku ziemskiego i pałacu.

„No, gdzie ukryłbyś swoje zbiory?” — uparcie zapytywałem sam siebie.

„Zakopałbym je do ziemi” - odpowiedziałem.

„Bzdura! Nie zakopałbyś ich do ziemi, ponieważ nie wiedziałbyś, jak wiele czasu upłynie, zanim będziesz mógł je wyjąć ze schowka. Zbiory ukryte w ziemi mogłyby ulec zniszczeniu”.

„No, tak, toteż dziedzic Dunin obrazy schował w suchych podziemiach kościoła”.

„A resztę? Gdzie ukryłbyś resztę swych zbiorów?” - nie ustępowałem.

„W podziemiach pałacu albo w jakiejś pałacowej skrytce”.

„Bzdura. Nie zrobiłbyś tego, ponieważ słusznie przewidywałbyś, że zwycięska armia po wkroczeniu do miasteczka przede wszystkim zajmie pałac na kwatery. Żołnierze, usłyszawszy o ukrytych zbiorach, natychmiast rozpoczną poszukiwanie schowka w pałacu. Na kryjówkę wybrałbyś raczej miejsce, w którym nikt nie ośmieliłby się szukać. Na przykład kościół. Tam też ukryłbyś część swych zbiorów, obrazy, bo one najłatwiej ulegają zniszczeniu. A resztę zbiorów schowałbyś w miejscu może nieodpowiednim do przechowania obrazów, w którym jednak inne przedmioty, na przykład stara broń, mogłyby spokojnie spoczywać przez lata”.

Rozważałem dalej:

„Przede wszystkim oczywiste jest, że dziedzic Dunin nie był w stanie sam ukryć zbiorów, lecz musiał do tego celu posłużyć się zaufanym człowiekiem. Zbiory były pokaźne, a poza tym należało ukryć je potajemnie, aby się to nie rzucało w oczy mieszkańcom miasteczka i służbie pałacowej. Z tego względu dziedzic nie brał chyba osobiście udziału w przewiezieniu zbiorów z pałacu do schowka”.

„Czy dziedzic miał zaufanego człowieka, któremu mógłby powierzyć ukrycie swych zbiorów?”

„Tak. Był nim chyba gajowy Gabryszczak”.

„Dlaczego właśnie Gabryszczak?”

„Odpowiedzi mogą być dwie. Dunin posłużył się Gabryszczakiem, ponieważ miał do niego zaufanie. I druga odpowiedź: dziedzic posłużył się Gabryszczakiem, ponieważ nie tylko miał do niego zaufanie, ale postanowił ukryć swoje zbiory w lesie, w kryjówkach leśnych znanych tylko gajowemu.

A stąd wniosek: zbiory zostały schowane w jakiejś kryjówce w lasach nad Wisłą...”

Tak rozmyślałem wygrzewając się na słoneczku w ciepłe lipcowe popołudnie. Rozmyślenia te nie były zbyt męczące. Cicho i jednostajnie szumiał las, ciepło mi było i przytulnie w zacisznym obozowisku na skraju wąwozu.

Zasnąłem.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

ZOSTAJĘ ROMANTYKIEM – ZALICZKA NA DZIEWCZYNE – PRZERAŻAJĄCO CHUDA CZY PO PROSTU SZCZUPLA – NOCNE STRACHY – NAPAD PSÓW – CZARNA LIMUZyna – CZY ON PRZYJEDZIE – DZIWNE ZACHOWANIE PANI PILARCZYKOWEJ – WYPRAWA NA WYSPE ZŁOCZYNCÓW – OPIS WYSPY – DZIWACZNA WIZYTA – GROŻBY

Obudziły mnie ludzkie głosy rozbrzmiewające jakby tuż nad moim uchem. Zerwałem się na równe nogi, ale okazało się, że to tylko kobiety, zbierające w lesie jagody. To ich głosy, potęgowane przez echo leśne, dobiegały do mnie tak donośnie.

Nie zamierzałem ukrywać ani swego obozu, ani swojej osoby. Kobięciny wyszły na dno wąwozu, zauważyły namiot, zerknęły ku mnie ciekawie. Coś tam poszeptały i znowu zagłębiły się w las. Później drogą w wąwozie przejechała furka pełna drzewa. Woźnica zobaczył mnie wypoczywającego na materacu i zajądającego pajdę chleba.

Wkrótce znowu usłyszałem w lesie czyjeś głosy. W wąwozie pojawiła się szczupła dziewczyna ze śmiesznymi warkoczykami. Miała pewnie ze dwadzieścia cztery lata, warkoczyki sprawiały więc wrażenie dość dziwaczne. Dziewczyna szła zamyślona, niekiedy zrywała drobne, niebieskie kwiatki i robiła z nich bukiet, Tych kwiatków najwięcej rosło na stromym brzegu wąwozu, więc dziewczyna z warkoczykami poczęła się wspinać w moją stronę. Ale ponieważ szukając kwiatków ciągle miała głowę pochyloną ku ziemi, ujrzała mnie i mój obóz dopiero wówczas, gdy o mało nie nastąpiła nogą na materac.

- Dzień dobry - powitała mnie, jakby trochę przestraszona.

- Dzień dobry pani - odpowiedziałem uprzejmie, - Jakie ładne niebieskie kwiatki! - dodałem, pragnąc, aby opanowała swój przestach.

Rozejrzała się po moim obozie. Popatrzyła na żółty namiot, podobny do chatki, uśmiechnęła się na widok „sama”, który wychylał swój larwowy łeb z namiotowego garażu. Reflektory „sama” przypominały wybałuszone ciekawie gały dziwaczного stworu.

- Poznaje pana - rzekła dziewczyna. - Pan mieszkał koło naszego obozu antropologicznego. „Aha, to zapewne studentka” — wywnioskowałem. Zapytała:

- Czemu się pan przeniósł aż tutaj?

- Lubię samotność. Unikam ludzi, wolę samotnie rozmawiać z naturą.

Powiedziałem byle co, a raczej to, co - jak to się mówi - ślina przyniosła mi na język. Dziewczyna jednak z wielką powagą potraktowała moje słowa.

- Jest pan pewnie romantykiem - zauważyła.
- Owszem, proszę pani, Westchnęła:
- Romantyzm jest niemodny. Na ogół ludzie śmieją się z romantyków.
- To bardzo niesłuszne,
- Ja także uważam, że to niesłuszne - przytaknęła.

Wdziąłem na siebie koszulę. Panienska wydała mi się osobą skromną, nie chciałem razić jej oczu obrazem swojej nagości.

- Czy lubi pan kwiaty? - spytała.
- Bardzo lubię. Jak każdy romantyk.
- W takim razie daruję panu ten bukietek.

To mówiąc wręczyła mi bukiet niebieskich kwiatków. Przyjąłem go z uśmiechem, ukloniłem się grzecznie. W zamian za podarunek wskazałem panience miejsce na gumowym materacu. Dygnęła i usiadła na brzeżku.

Tymczasem w lesie od czasu do czasu rozlegały się wołania: „Za-licz-ka... Za-licz-ka”...

- To mnie wołają moi koledzy - wyjaśniła dziewczyna.
- Pani nazywa się Zaliczka? Dziewczyna zarumieniła się.
- Ależ skąd. Tak mnie tylko przezywają. Czy nie zauważył pan, że jestem przerażająco chuda? Przecząco pokręciłem głową:
- Nie wydaje mi się, aby była pani „przerażająco chuda”.
- A jednak tak twierdzą moi koledzy. Mówią, że ze względu na swoją chudość stanowią coś w rodzaju zaliczki na dziewczynę.
- Hm - chrząknąłem. i aż wargi zagryzłem, żeby nie parsknąć śmiechem.
- A panu nie wydają się przerażająco chuda?
- Powiedziałbym, że jest pani tylko szczupła.
- Naprawdę? - zawołała radośnie. - Pan uważa, że nie jestem przerażająco chuda, a tylko szczupła?

- Tak jest. Warto nadmienić, że wiele dziewcząt i kobiet specjalnie stosuje dietę, aby stać się szczupłymi.

- Tak, tak — przytaknęła gorąco. - Wiele kobiet specjalnie się odchudza. A ja jestem szczupła z natury rzeczy. To piękne, prawda? Ale nie wszyscy młodzi ludzie potrafią to ocenić.

- Owszem, mało jest prawdziwych znawców - potwierdziłem uprzejmie.

Lecz prawdę mówiąc, gdy przyjrzało się jej dokładniej, okazywała się rzeczywiście przerażająco chuda. Nogi miała jak patyczki, tak samo ręce. Jej szyja była długa, a twarz pociągła, z długim, cienkim nosem. Gdyby nie nosiła już przezwiska „Zaliczka”, nazwałbym ją „panna Patyczkówna”.

Zaliczkę zainteresował „sam”, tkwiący w garażu namiotowym.

- Czy to pański samochód? - uśmiechnęła się.

- Nie wiem, czy można powiedzieć, że to jest samochód.

- A cóż to takiego?

- To larwa samochodu, proszę pani. Podejrzewam, że po jakimś czasie wykluje się z niej piękny cadillac. Roześmiała się, klasnęła w dłonie:

- Pan jest naprawdę romantykiem. A czy przewiezie mnie pan tą swoją larwą?

- Bardzo chętnie - rzekłem. Na tym rozmowa się urwała. Postanowiłem ją podtrzymać i zapytałem:

- Nie lęka się pani chodzić po lesie?

- Bać się? A czego? - zdumiała się.

- Zbójów. Kłusowników.

- W tym lesie są zbóje? - uradowała się nie wiadomo dlaczego.

- W każdym prawdziwym lesie są zbóje - powiedziałem z głębokim przekonaniem. – Dzisiaj, wraz z grupką harcerzy, odnalazłem w lesie zastrzeloną sarnę. Grasują tu kłusownicy, należy się ich strzec.

- Ach, jaki pan romantyczny - zawołała. I raptem poderwała się z materaca, chwyciła mnie za głowę.

- Niech się pan nie wrywa - wołała — muszę obejrzeć pańską czaszkę. Gdy pana zobaczyłam, pomyślałam, że jest pan nordykiem. Bo i włosy ma pan jasne, i niebieskie oczy. Ale teraz widzę, że stano wi pan skrzyżowanie z Lapończykiem. Tak, tak, należy pan do krótkogłowców - to mówiąc włożyła mi palce we włosy i dokładnie zbadała kształt mej czaszki.

- Subnordyk. Tak, jest pan subnordykiem - powiedziała zdecydowanie. Z dna wąwozu rozległo się wołanie:

- Zaliczka! Patrzenie, co wyprawia Zaliczka! Jakiegoś faceta trzyma za głowę...

Wyrwałem się z rąk dziewczyny i spojrzeliem w głąb wąwozu. Stała tam gromadka młodych ludzi z obozu antropologicznego.

Zaliczka zarumieniła się. Młodzi ludzie wołali w jej stronę:

- Ech, Zaliczka, nie uwódź w lesie młodych panów. Zaliczka, nie podrywaj chłopaków...

Skonfundowana Zaliczka obciągnęła bluzeczkę na swej zapadniętej klatce piersiowej, poprawiła warkoczyki i zarumieniona dygnęła przede mną jak pensjonarka.

- Moi koledzy są po prostu nieznośni - rzekła. - Niech pan nie zwraca na nich uwagi, Potem dodała:

- Ja już sobie pójdę. Do widzenia panu.

Zbiegła po stromej ścianie na dno wąwozu. Młodzi ludzie jeszcze przez chwilę bardzo się śmiali, a później cała gromadka zniknęła w lesie.

Zostałem znowu sam w swoim obozie. Aż do zmroku czytałem książkę, którą zabrałem jako wakacyjną lekturę. Później nadeszła noc - wyjątkowo cicha i bardzo pogodna. W taką noc wydaje się, że można usłyszeć trzask gałązki nawet z odległości kilkudziesięciu kroków.

Zanim wzeszedł księżyc, wąwóz i otaczający go las spoczywały w gęstym mroku. Siedziałem na materacu i patrzyłem w ów mrok, nadsluchując i starając się przebić wzrokiem ciemność. Wreszcie zrobiło mi się chłodno i czmychnąłem do przytulnego wnętrza namiotu. Nakrywając się kocem, rozmyślałem:

„Dziś chyba on jeszcze nie przyjdzie. Jeszcze jest za wcześnie, aby zjawił się tutaj, zwabiony wiadomością, że zamieszkałem właśnie w tym miejscu. Przybędzie dopiero wówczas, gdy zaintryguje go moja osoba i gdy cel mego pobytu w tej okolicy wyda mu się podejrzany. Może stanie się to dopiero jutro lub nawet pojutrze, albo za tydzień?... Nawet nie wiem, jak on wygląda? Może to nie jest on, lecz oni?...

Czy zjawi się u mnie w dzień, czy w nocy? Zakradnie się do mnie czy przyjdzie otwarcie?

Może nie będzie się zakradał, lecz właśnie zjawi się otwarcie pod byle jakim pretekstem i zacznie ze mną rozmawiać, podobnie jak to zrobiła Zaliczka?

Czy zdołam poznać, iż to właśnie on? Czy potrafię dostrzec nie tylko jego, ale i zbliżające się wraz z nim niebezpieczeństwo?

Może to nie będzie on ani oni, lecz ona.

A jeśli nie zjawi się w ogóle? Jeśli czuje się tak pewnie, że moja osoba nie wyda mu się podejrzaną, i w ogóle nie zwróci na mnie uwagi?...

Za ścianą namiotu coś głośno zaszeleściło. Szelest powtórzył się nieco dalej, a potem znów bliżej.

Odrzuciłem okrywający mnie koc. Chwyciłem w palce długi, kuchenny nóż do

krajania chleba. To była moja jedyna broń.

Uniosłem się na łokciu i przytając oddech w piersiach, nasłuchiwałem.

...Dokoła namiotu był las i ciemność nocna nieco już rozświetlona blaskiem księżyca.

Cisza. Słyszałem tylko łomot własnego serca.

„Może to właśnie **on** już przyszedł? Czai się w pobliżu mego namiotu? - rozmyślałem gorączkowo. - Postąpiłem nieopatrznie rozbijając obóz w takim pustkowiu. Nikt nie usłyszałby nawet mego wołania o ratunek”.

Cisza...

Ostrożnie przysunąłem twarz do celuloidowego okienka w namiocie. Zobaczyłem stromy stok wąwozu pograżony w ciemności nocnej. Nic się tam nie ruszało. Może więc szelest był tylko złudzeniem?

Nagle drgnęła leciutko ściana namiotu. Jakby ktoś głośno oddychał, przyczajony tuż obok. Jakby coś węszyło. Po chwili trzasnęła gałązka, ale już nieco dalej ode mnie. Płótno ściany namiotowej wyprostowało się.

Ostrożnie podczołgałem się do drzwi. Bezszelestnie rozsunąłem błyskawiczny zamek. Wyrząłem na dwór.

W pobliżu namiotu zamigotały przede mną dwie pary fosforyzujących oczu. Usłyszałem głęboki, ponury pomruk.

Psyl Dwa ogromne owczarki alzackie wpatrywały się we mnie, stojąc zaledwie o pięć kroków od namiotu. Patrzyły na mnie z nienawiścią, przekonywały mnie o tym ich błyszczące oczy, raz po raz obnażane kły, pomruk dobywający się z psich gardeł.

Przyklęknałem, trzymając kurczowo w dłoni nóż kuchenny. Czekałem, aż psy rzucają się na mnie. Mierzyliśmy się spojrzeniami, ja - pozostając w rozchylnych drzwiach namiotu, a one - naprzeciw mnie, tuż przy krawędzi wąwozu.

Nagle psy przyczaiły się, chyba do raptownego skoku. Pomruk stał się głośniejszy i bardziej wściekły. „Uderzą na mnie” - pomyślałem ściskając nóż. Ale one po prostu położyły się. Najpierw zgięły przednie łapy, a później tylne i spoczęły naprzeciw mnie, z mordami na przednich łapach. Wpatrywały się wciąż we mnie, nie przestały jednak warczeć. Wydawało się, jakby na coś czekały.

Rozejrzałem się dokoła. Gdzieś w pobliżu musiał być chyba właściciel tych psów.

Ostrożnie zrobiłem krok naprzód. Psy podniosły pyski i znowu zawarczały. Zagwizdałem na nie cichutko i melodyjnie. Przekrzywiły łby, przysłuchując się memu gwizdaniu. Potem jeden z psów zaczął na mnie szczekać. Zerwał się przy tym na nogi i krążył wokół namiotu.

W lesie zagwizdał ktoś rozkazująco. I obydwa psy rzuciły się w las. „A więc był z nimi jednak jakiś człowiek?” - pomyślałem.

Psy zniknęły w lesie bezszelestnie jak duchy. Nastąpiła cisza, można było sądzić, że wszystko to, co zdarzyło się przed chwilą, było przywidzeniem.

Lecz sen mnie odbiegł. Nie miałem odwagi położyć się w namiocie. „Kto wie, czy ów człowiek z psami nie krąży w pobliżu mego obozu? Po co tu przyszedł? Czy zjawił się, aby mnie podpatrywać? Nie, chyba nie o to mu chodziło, skoro wypuścił psy. Być może pragnął mnie tylko nastraszyć. A jeśli tak, to byłżeby to właśnie on?”

Siadłem na trawie i zapaliłem papierosa. Siedziałem tak z godzinę, może nawet dłużej. Ponieważ zrobiło mi się chłodno, przyniosłem z namiotu koc i okryłem się nim.

Noc zdawała się bardzo długa. A las nocą jest chyba bardziej hałaśliwy niż za dnia. W krzakach słychać nieustanny chrobot, w trawach coś ciągle szeleści, czasami rozlegnie się łomot wysoko w gałęziach drzew. Niekiedy słychać jakby głośnie tąpnięcia, piski, uderzenia. I nigdy nie wiadomo - czy ów chrobot sprawiają robaki, czy skrada się ktoś po trawie. Upadła szyszka z drzewa, czy ktoś potknął się o wystający korzeń?

Z początku bardzo uważnie wsłuchiwałem się w te wszystkie odgłosy leśnej nocy. Później stałem się senny, ale nie miałem odwagi położyć się w namiocie. Co jakiś czas budził moją uwagę niespodziewany szelest lub trzask gałęzi. Okryty kocem, siedziałem w kucki na trawie, z przymkniętymi oczami, na pół śpiący.

Być może zasnąłem na krótką chwilę. Zbudził mnie szmer drążący noc. Otworzyłem szeroko oczy i aż przetarłem je ze zdumienia. Byłem przekonany wciąż jeszcze, że śnię.

...Od strony rozstaju z krzyżem jechał dnem wąwozu czarny samochód z wygaszonymi światłami. Była to nowoczesna, czarna limuzyna, silnik jej pracował ledwo dosłyszalnie i gdybym leżał w namiocie, być może w ogóle nie usłyszałbym przejeżdżającego samochodu. Sunął wolno podobny do czarnego, wielkiego ptaka ze związanymi skrzydłami, łagodnie kołysząc się na wybojach leśnej drogi.

Było zbyt ciemno, aby dojrzeć, kto prowadził ów wóz i czy jest w nim więcej niż jedna osoba. Nim zdołałem ochłonąć ze zdumienia, czarny samochód zniknął za zakrętem wąwozu...

Za chwilę zobaczyłem go znowu. Zapewne kierowca nareszcie zorientował się, że droga w wąwozie prowadzi tylko do skraju lasu. Zawrócił i jechał teraz przy pełnych światłach ze znacznie większą szybkością, jakby nadrabiając stracony czas. Cały wąwóz wypełnił się ostrym blaskiem silnych reflektorów, mnie także oślepiło ich światło.

Zniknął tam, skąd przyjechał - w czeluści wąwozu. Jeszcze przez jakiś czas widziałem

migotanłe światel wśród pni drzew leśnych, lecz wkrótce nastala z powrotem ciemność nocna.

„Skąd wziął się tutaj samochód? - zapytywałem siebie. - Dlaczego zapuścił się w bezdroża leśne? Zbłądził czy celowo wjechał właśnie w wąwóz, nad którym obozowałem?”

Spojrzałem na zegarek. Zbliżała się trzecia w nocy. Niedaleki był świt lipcowego dnia.

Wszedłem do namiotu i ułożyłem się do snu. Świadomość, że jeszcze niecała godzina, a zrobi się widno, napełniła mnie odwagą. Zasnąłem natychmiast i obudziłem się dopiero o dziesiątej rano. Zaraz po śniadaniu zwinąłem starannie namiot i zapakowałem go do „sama”.

„Żegnaj, wąwozie, żegnajcie, nocne strachy - pomyślałem sadowiac się za kierownicą mego dziwnego pojazdu. - Następne noce chcę przespać w zupełnym spokoju i bez lęku”.

W południe odwiedziłem w miasteczku sklepik pani Pilarczykowej - bo takie nazwisko widniało na szyldzie nad drzwiami. Poprosiłem o butelkę piwa. Piłem je tak długo, aż zostaliśmy sami w sklepie. Wówczas zapytałem panią Pilarczykową:

- A wyspa, proszę pani, to gdzie się znajduje?

- Która wyspa? - zdziwiła się Pilarczykowa.

- No ta, o której wspominała mi pani, gdy tu byłem poprzednim razem. Wyspa, gdzie zginął Barabasz.

- Hm - zamyśliła się Pilarczykowa i zerknęła na mnie podejrzliwie.

Wyjąłem z kieszeni zgiętą we czworo kartkę papieru z planem okolicy. Mój przyjaciel miał pękny czterokolorowy długopis, więc choć sam szkic wykonany został bardzo nieudolnie, zapewne pani Pilarczykowej wydał się niezwykle tajemniczy, pełen niezrozumiałych dla niej różnokolorowych kresek, kreseczek i krzyżyków.

- Czy to jest ta wyspa? - spytałem kładąc kartkę na kontuarze i pokazując palcem pierwsze lepsze miejsce na planie.

Pani Pilarczykowa bezradnie rozłożyła swoje krótkie rączki.

- A bo ja się znam na takich rzeczach? Nic nie wiem, o niczym nie wiem. Zapłaciłem za piwo.

- Odwiedzi mnie pan jeszcze? Odwiedzi mnie pan, prawda? - dopytywała się odprowadzając mnie do drzwi sklepu.

Wzruszyłem ramionami.

- Po co mam panią odwiedzać, jeśli pani nic nie wie... Pochyliła się do mego ucha.

Wyszeptała:

- Jak mi pan coś powie, to i ja panu także coś powiem.

Skinąłem głową, że oczywiście ją odwiedzę. Opuszczając sklepik byłem już całkowicie pewny, że moja osoba bardzo zaintrygowała panią Pilarczykową. A że należała do kobiet gadatliwych, mogłem przypuszczać, że wieść o mnie i o moim zainteresowaniu Wyspą Złoczyńców dotrze również i do uszu tego, którego odwiedzin spodziewałem się już wczoraj i który - być może - próbował odwiedzić mnie minionej nocy.

Zjadłem obiad w gospodzie ludowej. Uzupełniłem w sklepie zapasy żywności. Następnie pojechałem przez las aż do miejsca, gdzie ongiś przybijał prom rzeczny. Tu wjechałem „samem” w wodę, czyniąc z niego motorówkę. Oczywiście nie potrzebowałem nikogo pytać, gdzie leży Wyspa Złoczyńców, miałem ją zaznaczoną na planie. Była to ta sama wyspa, na której owego pamiętnego wieczoru usłyszałem krzyk sowy, a potem wołanie „Ba-ra-basz”...

Z daleka Wyspa Złoczyńców wydawała się jakby dużą, jednolitą kępą starych topoli i krzaków wikliny. Miała brzegi wysokie, strome, podmyte przez nurt rzeki; tu i ówdzie obsuwały się do wody oberwane kawały ziemi wraz z rosnącymi na nich krzakami. Gałęzie ich tonęły w rzece i tworzyły jakby wiry pokryte białą pianą

Od strony głównego nurtu Wisły wyspa była trudno dostępna, otoczona głębią tak dużą, że statki rzeczne mogły przepływać obok niej w odległości kilkunastu metrów. Natomiast od strony odnogi rzecznej brzeg miała niski, pełen zatoczek i piaszczystych półwyspów. Zatoczki dość głęboko wrzynały się w wyspę, a ponieważ brzegi jej także i tutaj zarastała gęsto wiklina, mogły się stać bezpiecznym schronieniem dla mego „sama”. Wkrótce jednak zrezygnowałem z pozostawienia samochodu na wodzie. Znalazłem miejsce, gdzie mogłem wjechać na ląd, i po wycięciu krzaka wikliny zdołałem wdrzeć się w głąb wyspy.

Kryła ona w sobie dwie duże polany, na których rosła ostra, wydmowa trawa. Polany przecinała wąska ścieżka wijąca się od brzegu odnogi aż do brzegu głównego nurtu rzeki, do miejsca, gdzie stała zbudowana z desek szopa. Obok szopy leżały stare rozbite boje rzeczne, spostrzegłem oparte o ścianę znaki ostrzegawcze i informacyjne dla statków.

Na pierwszej polanie sterczało samotnie kilka starych cienistych topoli, a między topolami był ów grób, o którym wspomnieli harcerze. Na grobie obłożonyin darnią zobaczyłem wianuszek z żółtej macierzanki, a na grubym pniu najbliższej topoli ktoś wyrzył głęboko znak krzyża. Druga polana, znacznie większa od poprzedniej, leżała najbliżej głównego nurtu rzeki. Od wody oddzielał ją tylko wąski pas wikliny. To tutaj, w najbliższym sąsiedztwie wody, postanowiłem rozbić swój nowy obóz. Wybrałem miejsce bardzo dogodne, w rogu polany. Z trzech stron otaczała mnie gęstwa wiklinowych gałęzi. Gdyby ktoś chciał się do mnie tędy dostać w nocy, narobiłby tyle hałasu, że na pewno zdołałbym się w porę

obudzić. Tylko z jednej strony pozostawała otwarta przestrzeń rozległej polany. Miałem stąd widok także i na ścieżkę prowadzącą przez wyspę, widziałem dach szopy i sterczące ponad nim rzeczne znaki ostrzegawcze:

„Jestem naprawdę Tomasz Włóczęga - pomyślałem rozstawiając maszty namiotu. - Trzeci dzień przebywam w tej okolicy i trzeci raz w coraz to innym miejscu buduję swój obóz”.

Do szóstej po południu zagospodarowałem się na dobre. Spieszyłem się, ponieważ niebo zaciągnęło się chmurami i należało spodziewać się deszczu. Powietrze było ciepłe, ale wilgotne. „Po deszczu się ochłodzi” - wróżyłem.

Zająłem się kolacją. Kupiłem w miasteczku pudełeczko z zupą grzybową i makaron, zagotowałem więc wody na spirytusowej maszynie i wsypałem do wrzątku zawartość pudełeczka. Potem starannie mieszałem łyżką w garnku - jak uczył przepis. Tak pochłoneła mnie ta czynność, że nie zauważyłem młodej kobiety nadchodzącej ku mnie ścieżką przez polanę. Zobaczyłem ją dopiero, gdy znalazła się o kilkanaście kroków od namiotu.

Zbliżyła się śmiało, wysoka, w czarnym przeciwdeszczowym płaszczu, z rękami w kieszeniach, z czarnymi, krótkimi włosami, zaczesanymi na bok, „po męsku”. Szła zdecydowanym męskim krokiem, ot, młoda kobieta, strojem i uczesaniem, a zapewne także i zachowaniem, nieudolnie naśladowująca mężczyznę.

Mieszałem dalej łyżką w garnku i nie odwróciłem głowy w jej kierunku nawet wtedy, gdy zatrzymała się o trzy kroki ode mnie i stała w milczeniu przez dłuższą chwilę.

Wreszcie, nie odwracając głowy, spytałem:

- Słucham panią... Powiedziała:

- Kogo i czego pan tutaj szuka?

Odłożyłem łyżkę i odwróciłem się do pytającej. Oczy moje były szeroko otwarte i miały wyrażać szczere zdumienie.

- Nikogo i niczego tutaj nie szukam. Mocniej wsunęła dłoń w kieszenie płaszcza. Do-myślałem się, że zacisnęła je w pięści.

- Po co pan tutaj przyjechał? Po co kręci się pan po tej okolicy?

Głos miała niski, bardzo przyjemny. Ale pytała mnie zbyt napastliwie i poczułem się dotknięty. Postanowiłem okazać jej swoje lekceważenie. Znowu odwróciłem się do kuchenki, sięgnąłem łyżką do garnka i spróbowałem smaku zupy grzybowej.

- Nie przypuszczałem, iż nie wolno się tutaj kręcić - rzekłem. - Bardzo panią przepraszam, ale nie było mi wiadome, że ta okolica jest prywatną własnością.

- Proszę nie udawać głupiego - burknęła. Wzruszyłem ramionami.

- Nie staram się. To tak jakoś samo wychodzi...

- Niech się pan nie zgrywa. Pan dobrze wie, co ja mam na myśli.

- Niestety, właściwość odgadywania cudzych myśli jest mi zupełnie obca.

- To pan nocował wczoraj tam, gdzie była gajówka?

- Owszem - przytaknąłem.

- A teraz przeniósł się pan tutaj...

- Tak jest. Jak pani sama widzi... - uczyniłem łyżką szeroki gest, obejmujący namiot z garażem i całą wyspę. Wreszcie łyżka wylądowała w garnku. Dodałem: - A w ogóle to zamierzam jeszcze tu i ówdzie postawić swój namiot. Nigdzie nie chce mi się dłużej mieszkać.

- To pan pisał list do mojego ojca - stwierdziła. Tym razem naprawdę się zdumiałem.

- Nie, proszę pani. Nie mam przyjemności znać pani tatusia.

- Pan kłamie! - zawołała. - Proszę pamiętać, że to się wszystko może źle skończyć nie tylko dla nas, ale także i dla pana.

Łyżka wypadła mi z palców i zatoneła w gorącej zupie.

- Jezus Maria - jęknąłem. - Nie mam żadnych złych zamiarów względem nikogo na świecie. Za kogo mnie pani bierze? To chyba jakaś omyłka?

Na czworakach wlałem do swego namiotu, wyjąłem z torby widelec i spróbowałem nim wydobyć łyżkę z garnka. Była to czynność wymagająca dużej sprawności. Nie miałem czasu na dalsze wyjaśnienia.

Dziewczyna zmieniła ton głosu. Teraz był on pełen prośby:

- Niech pan stąd wyjedzie. Błagam pana. To wszystko nie ma sensu. Narazi się pan na poważne kłopoty. Kiwnąłem głową.

- Tak jest. Wyjadę. Oczywiście, że wyjadę. Może jutro, może za tydzień. Taką mam naturę, że nigdzie nie mogę zagrzać miejsca. Niech pani sobie wyobrazi, że w swoim bądź co bądź niezbyt długim zychu już ponad sześćset pięćdziesiąt osiem razy zmieniałem miejsce zamieszkania, a ponad trzydzieści razy zmieniałem zawód. Dlatego nazywają mnie Tomaszem Włóczęgą. Choć prawdę mówiąc, to nikt mnie tak nie nazywa. To raczej ja chciałbym, aby mnie tak nazywano.

Kap-kap-kap - krople deszczu poczęły padać na dach namiotu.

- Spotkamy się jeszcze - rzekła groźnie dziewczyna. - Ale wówczas pogadamy inaczej.

Udało mi się wyciągnąć łyżkę z garnka. Dziewczyna odeszła i energicznym krokiem przecinała polanę. Deszcz padał coraz gęstszy.

- Do zobaczenia! - zawołałem w jej stronę.

Nie odwróciła głowy. Tylko przyspieszyła krok

ROZDZIAŁ SIÓDMY

ZNOWU POJAWIAJĄ SIĘ ŁUCZNICZY – LEGENDA I RZECZYWISTOŚĆ –
GDZIE SZUKAĆ PRZYGODY? – HISTORIA BURSZTYNOWEJ KOMNATY –
PODEJRZANE ZACHOWANIE DRA RHODE – ZAGADKOWA ŚMIERĆ STAREGO
NAUKOWCA – LIST DRA RHODE – KTO ZNA MIEJSCE UKRYCIA ZBIORÓW
DZIEDZICA DUNINA

Świat był szary i smutny, zasnuty deszczem. Leżałem w namiocie z twarzą przy oknie, słuchałem deszczu, który szumiał nad moją głową, spoglądałem na rozległą polanę Wyspy Złoczyńców. Zastanawiałem się, czy nie pożegnać już dzisiejszego dnia i nie ułożyć się do snu. Minionej nocy nie wyspałem się należycie, teraz mogłem odrobić te zaległości. Nie spodziewałem się żadnych wizyt i chyba nic nie mogło się dziś zdarzyć ciekawego. „A może jednak znowu usłyszę trzykrotny krzyk sowy, a potem wołanie: Ba--ra-basz?” - pomyślałem.

Od chwili gdy zaczęło padać, narastał we mnie żal, że nie spędzam urlopu w jakimś kurorcie. Tam w niepogodę można iść do kawiarni i czytać świeże gazety. Znacznie przyjemniej jest także mieszkać w większym obozie wśród wielu innych namiotów. Taka mała społeczność obozowa potrafi sobie zorganizować życie i w okresie deszczu. Podczas mego pobytu w obozie ekspedycji archeologicznej przed trzema laty schodziliśmy się w dni deszczowe pod największym namiotem i opowiadaliśmy sobie zabawne historyjki. A tutaj? Tkwiałem samotnie na zamglonej wysepce i jedynym głosem, który dochodził do moich uszu, był szum deszczu, a od czasu do czasu ponury ryk syreny przepływającego statku.

„Jutro przeniosę się do obozu antropologów” - zdecydowałem. I uśmiechnąłem się na wspomnienie chudej Zaliczki z warkoczykami.

Próbowałem także odgadnąć, kim jest dziewczyna, która odwiedziła mnie na wyspie. Skąd dowiedziała się, że zamieszkałem tutaj? - zastanawiałem się. - Z tego, co mi rzekła, wynikało niezbitcie, że brała mnie za kogoś innego. Spodziewała się, że moja obecność na wyspie, a raczej obecność tego, za kogo mnie brała, spowoduje wiele poważnych kłopotów. Ten ktoś pisał list do jej ojca. Kim był jej ojciec i co napisano w tym liście?”

Było nudno, szaro i smutno. Ale przecież właśnie ta wakacyjna przygoda zapowiadała się najbarwniej i najciekawiej. „Cierpliwości, Tomaszu” - bezgłośnie mówiłem do siebie.

Usiadłem na materacu, sięgnąłem po papierosy. Jak mi się wydawało: po ostatniego

papierosa przed snem. Raptem spostrzegłem, że na środku polany coś się porusza. Przetarłem dłonią zamglone szybki w okienku namiotu.

Ścieżką przez polanę szło ostrożnie, gęsiego pięciu chłopców okrytych długimi harcerskimi pelerynami. Poznałem ich natychmiast. To nadchodził zastęp Łuczników na czele z Wilhelmem Tellem. „Czyżby znowu mnie wytropili?” - zdziwiłem się.

Po chwili doszedłem do wniosku, że oni w ogóle nie wiedzieli o moim obozie na wyspie. Przyszli tutaj w jakimś sobie tylko znanym celu, bo gdy nagle zobaczyli mój namiot, przystanęli skonsternowani, zbili się w gromadkę i zrobili krótką naradę.

Dopiero potem zdecydowanym krokiem ruszyli w moim kierunku.

- Hej, hej, Tomaszu Włóczęgo! - zawołał Wilhelm Tell. - Znowu się przeprowadziłeś? Rozsunąłem zamek w drzwiach namiotowych,

- Wejdźcie, proszę - powiedziałem - ale przed namiotem pozostawcie peleryny, żeby mi do środka wody nie naciekło.

Wypełnili namiot, w którym zrobiło się ciasno i wesoło.

- Czy wpadliście już na ślad kłusowników? - zapytałem Tella.

- Nie. To trudna sprawa, bo nie wiadomo, gdzie ich szukać. Gajowy Marczak powiada, że kłusownicy zapewne zamieszkują w którejś z nadwiślańskich wiosek. Szukaj wiatru w polu.

- No tak - zgodziłem się - ale być może mają oni w lesie jakieś swoje miejsce, jakąś kryjówkę, w której się zbierają, i doczekawszy nocy wychodzą na polowanie. Tam trzymają broń, bo chyba nie paradują z nią otwarcie po lesie. Człowiek z dubeltówką od razu rzuciłby się w oczy. Więc zapewne ich system działania polega na tym, że idą do lasu niby to na grzyby, jak inni, schodzą się w swej kryjówce, chwytają broń i korzystając z mroku rozpoczynają polowanie. Powinniście przeszukać las, a przede wszystkim wywiedzieć się o miejsce, które mogłoby służyć za kryjówkę kłusownikom. Mam na myśli jakieś grotty lub jaskinie. Nie ma tu czegoś w tym rodzaju?

- Nie wiemy - wyznał szczerze Wilhelm Tell. - Po prawdzie to nawet nie szukaliśmy.

- Wszystko przez tych antropologów - rzekł Borówka. - Rozpoczęli już wykopaliska. W dwóch miejscach. Nad stawem koło pałacu i nad rzeczką koło mostka. Dziś pomagaliśmy im trochę.

- A pana nie interesują wykopaliska? - zapytał Tell.

- Owszem. Nawet bardzo. Ale na razie wypoczywam.

- To znaczy, przeprowadza się pan z miejsca na miejsce - zaśmiali się chłopcy.

- Proszę pana, a co pan sądzi o sprawie zaginionych zbiorów dziedzica Dunina? Czy

ludzie opowiadają prawdę? - niespodziewanie zagadnął mnie Sokole Oko.

Wyznaję, że zaskoczyło mnie to pytanie. Nie bardzo chciałem na nie odpowiadać.

- A co takiego ludzie opowiadają o zbiorach Dunina? - odrzekłem również pytaniem.

- Mówią, że dziedzic Dunin nie zdołał wywieźć swoich zbiorów, lecz ukrył je gdzieś w tej okolicy przy pomocy gajowego Gabryszczaka. Potem Gabryszczaka porwał Barabasz, dowiedział się o kryjówce, Gabryszczaka zabił, ale zbiorów nie zdołał sobie przywłaszczyć, ponieważ nazajutrz zginął tu na wyspie. I podobno zbiory pozostały ukryte gdzieś w okolicy.

Wilhelm Tell lekceważąco wzruszył ramionami.

- To wszystko jest bujda. Ludzie lubią opowiadać najróżniejsze bajki. Legenda, nowa legenda, nic więcej. Historie o ukrytych skarbach zdarzają się tylko w książkach.

- Tak jest - przyświadczył z goryczą Borówka - tylko w książkach zdarzają się różne ciekawe przygody. W życiu nic takiego nie bywa. Ja, na przykład, nigdy nie przeżyłem prawdziwej przygody, choć przyznaję, że jej szukałem. Ot, mieszkamy w obozie harcerskim, ale, jak dotąd, nic ciekawego się nie zdarzyło. Jedyna przygoda to odnalezienie w lesie zabitej przez kłusowników sarny. Ale czy to można nazwać prawdziwą przygodą?

- O, Boże! - zawołałem.- Poruszyliście dwie bardzo ciekawe sprawy i chcecie, abym od razu dał wam na nie wyczerpujące odpowiedzi?

- Nie od razu. Chcemy, żeby najpierw odpowiedział pan, jak to jest z tymi zbiorami dziedzica Dunina - rzekł Sokole Oko.

Roześmiałem się.

- A dlaczego przypuszczasz, że właśnie ja zdołam ci odpowiedzieć na to pytanie?

- Bo pan jest bardzo tajemniczym człowiekiem. Czyż nie w tajemniczy sposób dostał się pan na wyspę wraz ze swoim samochodem? My musieliśmy przebyć wpraw odnogę. Nie jest tam wprawdzie głęboko, ale samochód przecież nie przejedzie.

- No, dobrze - zgodziłem się - niech już pozostanę tajemniczym człowiekiem. I postaram się dać wam odpowiedź.

Zapałem papierosa. Zastanowiłem się.

- Mówiąc prawdę - zacząłem - trudno mi stwierdzić w sposób zdecydowany, czy historia ukrycia zbiorów dziedzica Dunina jest tylko legendą. O ile się orientuję, w każdym niemal kraju na całym świecie opowiadają sobie ludzie historie o ukrytych gdzieś skarbach, o bogactwie, do którego zaprowadzić może przypadkowo odnaleziony plan lub odczytanie starego szyfru. Wydaje mi się, że historie te nie są tylko czystym wymysłem, ale że opierają się na jakimś rzeczywistym fakcie, który dopiero po pewnym czasie uległ baśniowemu

znieszczeniu. Trzeba pamiętać, że wojny powodowały ogromne zniszczenia. Ludzie majątni w takich burzliwych czasach powierzali swoje bogactwo kryjówkom, które wydawały im się najbezpieczniejsze, to jest zakopywali je w ziemi. Potem zdarzało się, że właściciel ukrytych skarbów albo zginął, albo po prostu zapomniał, gdzie ukrył swe bogactwo, w ten sposób w ziemi pozostało wiele skarbów. Na ogół legendy opowiadają o bogactwach ukrytych w ziemi przed wiekami. Ale przecież i druga wojna światowa dostarcza wiele wspaniałych historii o skarbach. Są one oparte na najprawdziwszych faktach, ba, czasami nawet wiemy, co ukryto, i mniej więcej, gdzie ukryto, a przecież droga do kryjówki okazuje się niezwykle trudna i zawikłana. Być może niekiedy kryjówka znajduje się tuż obok nas, wystarczy do niej sięgnąć ręką, a przecież nie wiemy o tym. W okresie minionej wojny hitlerowcy zrabowali w wielu krajach ogromne i bezcenne bogactwa, zgromadzone w muzeach. Gdy skończyła się wojna, niektóre z tych zbiorów niestety nie powróciły na dawne miejsca, a to dlatego, że ukryto je tak sprytnie, iż odnaleźć ich nikt nie potrafił. Tak jest na przykład z ową słynną „bursztynową komnatą”, która, być może, zapakowana w skrzynie, spoczywa w ukryciu w ruinach jakiegoś dworku w województwie olsztyńskim lub białostockim, bo w tamte strony prowadziły ślady...

- Niech pan nam powie, co to była ta „bursztynowa komnata” - poczęli chórem wołać harcerze. - Niech pan opowie. Kto ją ukrył i kiedy? Wszystko niech pan nam opowie. To jest przecież bardzo ciekawe.

-Historia, bursztynowej komnaty - opowiadałem - sięga 1701 roku. Wtedy to król pruski Fryderyk I kazał z przepięknego bursztynu znajdowanego w Samland zbudować w swym zamku ogromny pokój. Dwaj gdańscy mistrzowie, Turan i Schaft, zaczęli bursztyn rzeźbić, a architekt Schluter i majster Tusso z płyt bursztynowych o powierzchni 55 metrów kwadratowych sporządzili całą komnatę. Na bursztynowych płytach znajdowały się wspaniałe płaskorzeźby, wyobrażające życie rybaków nad morzem, sceny alegoryczne, herby królewskie, pejzaże tak misternie wykonane, że niektóre szczegóły trzeba było oglądać przez lupę. Bursztyn o najróżniejszych odcieniach został przepięknie i harmonijnie skomponowany i mienił się wszystkimi odcieniami ochry. Osiem lat trwała praca nad bursztynową komnatą, aż okazała się ona istnym cudem, niezwykłą wspaniałością, zjawiskiem niespotykanym nigdzie indziej na całym świecie. Słynny jantar, ceniony w starożytnym Rzymie więcej niż złoto, zgromadzony został w tej komnacie w ogromnej ilości, mało tego, uformowany był we wspaniałe dzieło sztuki rzeźbiarskiej. Wyobraźcie sobie, jak cenna była ta komnata.

- Oczywiście - przytaknął Tell. - Była droższa, niżby ją zrobiono ze szczerego złota.

- Król Fryderyk I darował ją w 1716 roku carowi rosyjskiemu, Piotrowi I. Komnata

bursztynowa stała się królewskim upominkiem złożonym w darze Piotrowi I za jego zwycięstwo nad Szwedami pod Połtawą. Prusy bowiem w owym czasie zainteresowane były w dobrych stosunkach z Rosją. Piotr I przyjął hojny podarunek, ale zanim komnatę pokazano jego dworowi, jeszcze sześciu majstrów sprowadzonych z Królewca przez wiele lat pracowało nad jej dalszym upiększeniem.

W 1777 roku na rozkaz carycy Elżbiety siedemdziesięciu sześciu gwardzistów maszerujących przez sześć dni przeniosło ostrożnie wszystkie elementy komnaty bursztynowej z Petersburga do odległej o dwadzieścia jeden kilometrów letniej rezydencji carów w Carskim Siole, gdzie została ostatecznie zmontowana. I była odtąd przedmiotem dumy i zachwytu rosyjskich carów.

Prawie dwieście lat później, w 1942 roku, wojska niemieckie otoczyły Leningrad (dawny Petersburg), a niemieccy „kulturtragerzy” zrabowali i wywieźli słynną bursztynową komnatę. Podobnie zresztą hitlerowcy zrabowali zabytki i wspaniałe zbiory z muzeów kijowskich i z muzeum w Charkowie. Polskie muzea również zostały przez hitlerowców ogołoczone, a zbiory wywieziono w głąb Niemiec.

Bursztynową komnatę - opowiadałem dalej - przywieziono do Królewca. Tutaj zajął się nią dyrektor królewieckiego muzeum dr Rhode, fanatyczny wielbiciel bursztynu. Opowiadano, że dr Rhode zamykał się na całe noce w pokoju, gdzie w skrzyniach spoczywały elementy bursztynowej komnaty, i godzłnaini przypatrywał się z zachwytem fragmentom bursztynowych cacek. Komnatę bowiem zmontowano w Królewcu tylko raz, i to na krótko, rozpoczęły się bowiem naloty alianckich bombowców i dr Rhode lękał się, aby nie uległa uszkodzeniu. Bursztynowa komnata spoczywała więc w skrzyniach, ukryta w podziemiach królewieckiego zamku, a przez cały czas opiekował się nią dr Rhode. Tak było podobno do 5 kwietnia 1945 roku.

- A co stało się z nią potem?

- 6 kwietnia 1945 roku nastąpił szturm wojsk radzieckich na garnizon hitlerowski w Królewcu. W mieście panował straszliwy rozgardiasz i panika, ale w tej panice nie brał udziału dr Rhode. Jakby pod ziemię się zapadł, nikt go w tym czasie nie widział. 9 kwietnia odbyło się podpisanie aktu kapitulacji Królewca, wojska radzieckie wkroczyły do miasta. Następnego dnia w królewieckim muzeum znowu pojawił się dr Rhode, który przez pięć dni ukrywał się w nikomu nie znanym miejscu.

Władze radzieckie, które objęły również królewieckie muzeum, nie zastały w nim już bursztynowej komnaty, zrabowanej z Carskiego Sioła. Dr Rhode - który zresztą natychmiast zgłosił chęć pracowania dalej w muzeum - poinformował radzieckich muzealników, że

bursztynowa komnata, a także i inne zbiory ukradzione z terenów Związku Radzieckiego zostały z Królewca wywiezione w głąb Rzeszy Niemieckiej jeszcze na długo przed wkroczeniem Armii Czerwonej. Muzealnicy radzieccy dali temu wiarę, tym bardziej że dr Rhode pracował bardzo sumiennie i wydawał się im człowiekiem godnym zaufania. Pewne podejrzania nasunęły się dopiero później prof. Barsowowi, który z ramienia władzy radzieckiej przejął opiekę nad zamkiem. Otóż pewnego dnia, podczas wieczornego obchodu zamku, prof. Barsow zauważył jakiegoś osobnika w czarnym płaszczu przemyskającego przez sale zamkowe, który nie zatrzymał się na wezwanie. A po pewnym czasie prof. Barsow zobaczył dym wydobywający się z okna zamkowej baszty. Kiedy tam wbiegł, spostrzegł, że dr Rhode rozpałił na środku pokoju jakby duże ognisko i niszczył w nim jakieś papiery. Z początku prof. Barsow zamierzał aresztować dra Rhode, ale żal mu się zrobiło starego, zdziwaczałego naukowca niemieckiego. Doszedł do wniosku, że dr Rhode palił tylko własną, prywatną korespondencję.

15 grudnia 1945 roku dr Rhode nie przyszedł do pracy. W muzeum myślano, że zachorował, i dopiero po trzech dniach odwiedziono mieszkanie starego naukowca. Tu poinformowano prof. Barsowa, że dr Rhode oraz jego małżonka zmarli na dyzenterię przed dwoma dniami. Dopiero teraz u prof. Barsowa zrodziły się podejrzania. W czasie śledztwa ustalono, że świadectwo zgonu małżeństwa Rhode wystawił lekarz, który tego samego dnia nagle przepadł bez wieści. Nie udało się także wyjaśnić, gdzie spoczęły zwłoki dra Rhode i jego żony. A więc, czy śmierć małżeństwa Rhode nie została przez kogoś spowodowana, aby uniemożliwić trafienie na ślady kryjówki, w której spoczęła bursztynowa komnata? Czy zwłok małżeństwa Rhode nie ukryto właśnie dlatego, aby nie dało się ustalić, że nie zmarli na dyzenterię, ale zostali zamordowani? Gdzież jednak spoczywa bursztynowa komnata? Czy w jakimś bunkrze pod gruzami domów Królewca, zniszczonych podczas działań wojennych?

Jednemu z dziennikarzy radzieckich udało się odnaleźć prywatne listy dra Rhode, w których pisze on, że w związku ze zbliżaniem się Armii Czerwonej nosi się z zamiarem ukrycia pewnej części zbiorów rosyjskich na terenie majątku rodziny pruskich junkrów Szwerinów w Dzikowie, w okolicach Górowa Hławieckiego, to jest na terenie należącym dziś do państwa polskiego. Dr Rhode - jak wynika z listu - nawet specjalnie jeździł do Dzikowa, aby ustalić najlepsze miejsce dla przechowania bezcennych skarbów. Czy zdołał tam jednak ukryć skarby i czy wśród nich znajduje się także „bursztynowa komnata”? Specjalna ekipa przez jakiś czas penetrowała zrujnowany pałac w Dzikowie i okoliczny park, na ślady skarbu jednak nie natrafiono. Dawny Królewec, obecnie nazywany się Kaliningrad, zmienił swe oblicze, na miejscu zburzonych przez wojnę dzielnic powstały nowe osiedla i nowe ulice.

Wprost niemożliwością wydaje się natrafić na miejsce, gdzie znajdowały się bunkry czy podziemia, w których być może spoczęła bursztynowa komnata. Tak więc tajemnica bursztynowej komnaty czeka na swego odkrywcę - zakończyłem opowiadanie.

Na twarzach chłopców widać było ogromne skupienie. Zapytał mnie Sokole Oko:

- Sądzi pan, że podobnie jest ze zbiorami, które młół dziedzic Dunin? Wzruszyłem ramionami.

- Nie wiem. Być może sporo prawdy tkwi w tym, co opowiadają ludzie. Może rzeczywiście gajowy Gabryszczak znał miejsce ukrycia zbiorów i zdradził je tylko Barabaszowi, a ten nie zdołał dostać się do kryjówki, ponieważ zginął na wyspie. Narzekacie, że tylko w książkach młodzi chłopcy przeżywają wspaniałe przygody. Nie szukajcie przygód, bo ich nie znajdziecie, przygoda sama do was przyjdzie. Tylko że ona nie lubi leniwych. Trafia do takich, którzy mają oczy szeroko otwarte i zauważą jej znak. Kto wie, czy i wy nie otrzymaliście już takiego znaku? Może było nim właśnie odnalezienie zabitej sarny? Cóż poczyniliście do tej pory dla przywołującej was przygody? Nawet nie przeszukaliście lasu, aby odnaleźć kryjówkę, w której być może zbierają się kłusownicy.

Chłopcy milczeli, jakby się im wstyd czegoś zrobiło. A ja wygarnąłem im to wszystko nie tylko po to, aby dać odpowiedź na pytanie, które mi postawili na początku naszej rozmowy. Miałem także na względzie i własną korzyść. Pragnąłem! żeby właśnie oni - tacy wszędobylscy i bystroocy, spostrzegawczy i domyślni - przeszukali uważnie cały las, bo przecież ja sam tego uczynić bym nie zdołał. Miałem oczywiście na myśli nie tylko kłusowników. Ja bowiem wiedziałem znacznie więcej od tego, co na temat zaginionych zbiorów dziedzica Dunina opowiadali między sobą ludzie z miasteczka. Wiedziałem napewno, że zbiory znajdują się jeszcze w tej okolicy i że jest człowiek, który zna miejsce ich ukrycia. Ten człowiek żył w miasteczku i strzegł tajemnicy skarbów Dunina, Nie znałem jego nazwiska i jego imienia, ale wiedziałem, że jest. I spodziewałem się, że odwiedzi mnie w najbliższym czasie, zaniepokojony moim pobytem w tej okolicy. Chciałem mu dać do zrozumienia, że zaczynam się domyślać, gdzie są ukryte zbiory, aby zaczął przeciw mnie czynić wrogie kroki. Tylko one bowiem mogły go zdemaskować.

Zapał zmrok wieczorny. Chłopcy powiedzieli „dobranoc” i cichutko wymknęli się z namiotu. Gęsiego ruszyli przez polanę i po chwili zniknęli w ciemności.

Wciąż padał deszcz.

ROZDZIAŁ ÓSMY

NA WYKOPALISKACH U ZALICZKI – DLACZEGO PAN OPALKO MUSI MILCZEĆ – CZY PAN KAROL JEST DETEKTYWEM? – ODNALEZIONA CZASZKA – CZY ROZPOCZNIE SIĘ ŚLEDZTWO? – BUNKRY W LESIE – ZNOWU TA GNIEWNA DZIEWCZYNA – KOŚCI W BUNKRZE – KTO MNIE ŚLEDZI – PUŁAPKA – I CO DALEJ Z DZIEWCZYNA?

Ekspedycja antropologiczna rozpoczęła pracę w dwóch miejscach. W parku nad stawem, gdzie wiosną bieżącego roku podczas kopania przewodów kanalizacyjnych do szkoły rolniczej odkryto kilkanaście starych szkieletów ludzkich, i nad rzeczką koło mostu. Tutaj przed dwoma laty jeden z mieszkańców miasteczka próbował nakopać piasku do budowy domu i również natrafił na kości ludzkie. Ekspedycja antropologiczna przybyła więc do miasteczka, aby dokonać prac badawczych w obydwu miejscach i ustalić, czy nie kryją one starych cmentarzy, interesujących dla nauki.

O tym wszystkim opowiedziała mi pani magister Alina Zaborowska -owa wysoka, w średnim wieku blondynka -gdy po spokojnie przespanej na Wyspie Złoczyńców nocy znowu przeniosłem się ze swym namiotem w pobliże obozu ekspedycji.

Zaliczka bardzo ucieszyła się na mój widok.

-Wszyscy dworowali sobie ze mnie, że wypłoszyłam pana. Lecz pan jednak powrócił do nas.

- I pozostanę tutaj na dłużej - zapewniłem ją. - Muszę przecież spełnić obietnicę i przewieźć panią swym pokracznym autem. Zostanę zresztą tutaj nie tylko dlatego, po prostu znudziła mi się już samotność.

Zaliczka poważnie pokiwała głową na znak, że dobrze mnie rozumie. A ponieważ w rozmowie z panią magister Zaborowską wyraziłem zainteresowanie wykopaliskami, Zaliczka zaprosiła mnie nad rzekę. Bo jakkolwiek Zaliczka była przerażająco chuda i wyglądała bardzo niepoważnie ze swoimi śmiesznymi warkoczykami, okazało się, że jest studentką czwartego roku antropologii, i to podobno bardzo zdolną. Jej to powierzono doglądanie wykopalisk nad rzeczką i przydano do pomocy dwóch młodych studentów spośród tych, co to mnie wypędzili z półwyspu. Reszta ekipy naukowej pod kierunkiem pani magister - kierownika ekspedycji - przeprowadzała wykopaliska w parku koło pałacu dziedzica Dunina.

Zaraz po śniadaniu, aby okazać Zaliczce swą sympatię, poszedłem obejrzeć prowadzone przez nią prace.

Oto piaszczysta droga od lasu do miasteczka przeskakuje mostkiem wąską i krętą rzeczulkę. Tuż za nią po lewej stronie znajduje się niewielki pagórek, na którym rośnie kilka starych dębów, dookoła zaś pagórka rozciągają się pola. Pagórek jest więc jakby zielonkawą wysepką wśród pól. Na pagórku leży kilka dużych głazów, podobno było ich tu kiedyś więcej, ale zabrano je do budowy domów w miasteczku.

Ekspedycja antropologiczna wynajęła kilkunastu robotników do pracy przy wykopach. Trzech robotników przydzielono Zaliczce, a poza tym do pracy zjawily się dwa zastępy z hufca harcerskiego obozującego w lesie. Nie dostrzegłem wśród nich żadnego z mych znajomych Łuczników, zapewne otrzymali jakieś inne zadanie.

Pagórek przecięto dość głębokim i szerokim wykopem, Nie ujawnił on jednak żadnego szkieletu. Stwierdzono natomiast, iż na szczycie wzgórka stało jakieś drewniane stare zabudowanie, które zniszczył pożar.

- Starzy mieszkańcy miasteczka opowiadają - wyjaśniła mi Zaliczka - że piaszczysta droga stanowi stary trakt do dawnego brodu parzez Wisłę. Tutaj zaś nad rzeczką stała stara, bardzo stara, może trzechset-letnia karczma, która spaliła się przed pięćdziesięciu laty. Trudno wyjaśnić, dlaczego właśnie tutaj odkopano kości ludzkie. Być może zdarzyła się tu kiedyś jakaś potyczka, zginęło kilku ludzi i zakopano ich w pobliżu karczmy.

- A w którym miejscu znaleziono kości? — spytałem.

- Po drugiej stronie pagórka. Właśnie dziś rozpoczniemy tam wykop, bo najpierw chciałam zbadać sam pagórek - odrzekła Zaliczka.

Usiadłem pod starym dębem. Mimo że wczoraj po południu i przez całą noc padał deszcz, dzień wstał pogodny, słoneczny i ciepły. Deszcz pozostawił tylko w powietrzu jakby delikatną mgiełkę, słońce było trochę zamglone i rozmazane.

Od strony miasteczka nadszedł tęgi, niski starszy pan w okularach, z grubym szkicownikiem w ręku.

- To jest pan magister Henryk Opałko - przedstawiła mi go Zaliczka. - Pracownik naszego Zakładu Antropologii, plastyk, wybitny znawca anatomii ludzkiej. Specjalizuje się w odtwarzaniu wyglądu człowieka na podstawie czaszki. Píše na ten temat wielką rozprawę naukową.

Przywitałem się bardzo uprzejmie z panem Opałką. Skłonił się i w milczeniu uściśnął moją rękę.

- Niech pan się nie dziwi, jeśli zamiast słownej odpowiedzi na jakieś pytanie, odpisze

panu albo namaluje obrazek - rzekła Zaliczka. - Pan magister Opałko przemawia tylko za pomocą pisma obrazkowego. Jest zobowiązany do zupełnego milczenia.

Uśmiechnąłem się grzecznie, ale nic z tego nie rozumiałem.

Zaliczka poczęła mi więc tłumaczyć:

- Pan magister Opałko słynie na uniwersytecie jako największy gaduła. Traf zdarzył, że w kwietniu wybraliśmy się gromadką do kina. Pan Opałko twierdził, że w kinie „Wolność” grają film pod tytułem „Biały kanion”, a my, że grają tam „Historię żółtej cizemki”, Wywiązała się dyskusja, bo nikt z nas nie miał pod ręką gazety, nikomu też nie chciało się zejść do kiosku, żeby ją kupić. W rezultacie zrobiliśmy zakład na dość dziwnych warunkach. Jeśli my przegramy zakład, kupimy panu Opałce bukiet czerwonych róż, bo takiego bukietu zażądał. Jeśli zaś on przegra - nie odezwie się ani słowem podczas ekspedycji wykopaliskowej. Był tak pewny wygranej, że przystał na te surowe warunki.

- No i przegrał - dokończyłem,

- Przegrał - roześmiała się Zaliczka.

Pan Opałko odciągnął mnie na bok, otworzył swój szkicownik i przy pomocy kilkunastu kresek wyrysował okropnie długą i chudą jak szkielet dziewczynę ze śmiesznie fajtającymi warkoczykami. Twarz tej szkarady uczynił jeszcze szkaradniejszą, potem tej chudej osobie dorysował miotłę i wysłał ją na Łysą Górę. Teraz spojrzał na mnie pytająco.

Kiwnąłem głową, że wiem, o kogo mu chodzi. To była Zaliczka, Zaliczka jako szkaradna wiedźma.

Drogą od strony młasta nadjechała dorożka (kilka takich dorożek miało postój kolo przystanku autobusów PKS w miasteczku). Dorożka zatrzymała się obok pagórka, na którym oglądałem rysunek pana Opałki.

Zeskoczył z niej szczupły, elegancko ubrany brunecik o wąskiej twarzy lisa.

- Chciałbym porozmawiać z panami antropologami - powiedział do mnie. Wskazałem palcem pana Opałkę.

- Pan jest antropolog, tak? - zapytał brunecik. Pan Opałko wskazał palcem Zaliczkę, zaglądnącą do wykopu. Brunecik zachnął się.

- A panowie to co, niemowy? Pan Opałko pokręcił przecząco głową na znak, że umie mówić.

- To czemu się pan nie odezwie? - spytał brunecik.

Wtedy pan Opałko wzruszył ramionami. Brunecik aż zaczerwienił się ze złości.

Powiedziałem:

- Ten pan umie mówić, ale teraz nie chce. Pan wybaczy.

- A ja myślałem, że panowie są antropologami - rzekł brunecik. Skinąłem głową.

- Ten pan - wskazałem znowu Opałkę - należy do obozu antropologów. Natomiast ta panienska...

Ale właśnie zbliżyła się do nas Zaliczka, zaintrygowana osobą, która przyjechała dorożką.

- Karol jestem. Karol W. - przedstawił się jej brunecik, głośno całując ubrudzoną ziemią dłoń Zaliczki. - Rozmawiałem już z panią magister Zaborowską, spotkałem ją w mieście, i zezwoliła mi, abym zamieszkał w waszym obozie nad rzeką. O, mam ze sobą namiocik składany - zastrzegł się. - Przyjechałem tu na wypoczynek, będę łowił ryby. Pani magister obiecała, że umożliwi mi stołowanie się w waszym obozie, i dlatego tak bardzo chciałem z wami zamieszkać,

Zaliczka zlustrowała elegancki strój pana Karola. Zapewne doszła do wniosku, że pan Karol jest nie tylko elegancki, ale i bardzo przystojny, bo uśmiechnęła się mile.

- Ach, wiem - zawołała nagle - pan jest zapewne owym detektywem, który miał do nas przyjechać.

- Detektywem? - zdumiał się pan Karol. Zaliczka zakryła dłonią usta.

- Przepraszam bardzo, tak mi się to wyrwało - tłumaczyła się zawstydzona. - Zapomniałam, że o tym nie wolno nikomu mówić. Ale pan będzie dyskretny, prawda? - zwróciła się do mnie.

- Oczywiście, proszę pani - przyrzekłem. Pan Karol skłonił się uprzejmie.

- Na moją dyskrecję także może pani liczyć - powiedział z powagą.

Zaliczka znowu się uśmiechnęła. Ale tym razem - filuternie.

- O, pan na pewno będzie dyskretny, bo pan właśnie jest owym detektywem, Od razu pana rozpoznałam. Wiem, że pan musi temu zaprzeczać, ale to i tak mnie nie przekona. No dobrze, nie mówmy o tym więcej. Proszę swoje rzeczy zawieźć do naszego obozu nad rzeką. Wprawdzie jest tam bardzo ciasno, ale myślę, że mały namiocik jakoś się wciśnie między nasze ogromne namioty.

- Bardzo pani dziękuję - pan Karol znowu pochylił się ku brudnej dłoni Zaliczki.

Raptem jak spod ziemi wyrosli chłopcy z zastępu Łuczników. Wilhelm Tell oprócz swej kuszy dźwigał pod pachą jakiś przedmiot owinięty w gazetę.

- To dla pani - rzekł wręczając paczkę Zaliczce. Zaciekawiona dziewczyna rozwinęła gazetę. Naszym oczom ukazała się duża biała czaszka ludzka.

- Boże drogi - jęknął pan Karol.

Na Zaliczce oczywiście widok czaszki ludzkiej nie zrobił najmniejszego wrażenia. Miała z nimi ciągle do czynienia.

- Gdzie znaleźliście ją, chłopcy? - spytała.

- W lesie. W starych okopach - wyjaśnił Wilhelm Tell. - Pani nam powiedziała, że badacie czaszki ludzkie, więc przynieśliśmy. Może się wam przyda do waszych badań?

Zaliczka wzruszyła ramionami.

- Widzę, że będę musiała zrobić pogadankę o antropologii. Oczywiście, badamy czaszki ludzkie. Ale interesują nas tylko czaszki wykopane z grobów, nie pierwsze lepsze znalezione w lesie. Ważne jest dla nas, z jakich czasów taka czaszka pochodzi, z jakiej okolicy i tak dalej. Kiedyś wam to dokładnie wytłumaczę.

Odezwałem się:

- Jest czaszka zabitego człowieka i jest detektyw. Więc pewnie zaraz rozpocznie się śledztwo.

- Czy pan to powiedział do mnie? - burknął pan Karol.

- Tak jest, do pana.

- Więc odpowiem panu, że po pierwsze: nie jestem detektywem, a po drugie: skąd pan wie, że to czaszka zabitego człowieka?

- Proszę spojrzeć, widać na niej pęknięcie. Ten człowiek zginął na skutek tak silnego uderzenia w głowę, że mu pękły kości czaszki.

Obejrzelili czerep, stwierdzili, że to prawdopodobne.

- No, to co - znowu burknął pan Karol, - Czaszkę znaleziono w starych okopach. Pewnie to jakiś zabity żołnierz.

- A tak, tak - przyświadczyli chłopcy z zastępu Łuczników. - W starych okopach leżał i szkielet, i ta czaszka.

Pan Opałko zabrał czaszkę z rąk Zaliczki. Zawinał ją w gazetę, wsunął pod pachę i bez słowa powędrował w stronę obozu antropologicznego.

- Pan Opałko zapewne zechce dorobić twarz tej czaszce - wyjaśniła Zaliczka chłopcom. - Do tej pory nie wykopaliśmy jeszcze żadnej, więc panu Opałce się trochę nudzi. Zajmie się waszym znaleziskiem.

Wilhelm Tell mrugnął do mnie okiem. Dał mi do zrozumienia, że chciałby ze mną pogadać gdzieś na boku. Zeszedłem więc z pagórka, a chłopcy poszli za mną.

- Szukaliśmy obozu kłusowników - opowiadał mi Wilhelm Tell. - Można powiedzieć, że zwiedziliśmy cały las od jednego krańca do drugiego. Obozu kłusowników nie znaleźliśmy, ale to nie znaczy, że go tam nie ma. Las przecięty jest dwoma rzędami okopów i

bunkrów z drugiej wojny światowej. W jednym z nich leżał szkielet ludzki, więc, jak widać z tego, ludzie tam nie zagląдают, bo pewnie by zakopali te kości do ziemi. Kto wie, czy w jednym z takich starych bunkrów nie znajduje się kryjówka kłusowników.

Zastanowiłem się chwilę.

- Macie rację, chłopcy. Jesteście na dobrym tropie. Nie zaprzestaniecie chyba poszukiwań?

- O, nie! - zawołał Sokole Oko. Przyklęknął i począł wkoło obwąchiwać swym długim nosem, co miało zapewne znaczyć, że jest jak myśliwski pies, który wpadł na trop zwierzyny.

Zapytałem ich jeszcze, w której stronie lasu znajdują się owe bunkry i którędy należy do nich iść. Opisali mi szczegółowo drogę, powiedzieli, że w miejscu gdzie znaleźli czaszkę, pozostawili znak w postaci krzyżyka z dwóch ułamanych gałęzi.

Teraz chłopcy zwrócili swoją uwagę na wykop. Robotnicy odkryli w ziemi coś w rodzaju prostokąta ułożonego z dużych płaskich kamieni.

- To stara studnia - stwierdziła Zaliczka.

- Jaka to studnia, skoro w niej kości ludzkie leżą! - zawołał jeden z robotników, trzonkiem łopaty wydobywając z ziemi piszczel ludzką.

- Może to grób skrzynkowy? - zastanowiła się Zaliczka. - W okresie kultury pomorskiej chowano szczątki ludzkie do grobów zbudowanych z głazów na podobieństwo dużej skrzyni. Tylko że wtedy panował zwyczaj palenia zwłok i prochy zsypywano do urny...

Zaczęto ostrożnie odgarniać ziemię z kamiennego prostokąta. Odnaleziono kości miednicy, kręgosłupa, a potem czaszkę. Malutkimi szufelkami odsłonięto wreszcie cały szkielet, który w owym prostokącie spoczywał w bardzo nienaturalnej pozycji, skurczony, powyginany, jakby siłą tam został wepchnięty.

Ta praca trwała bardzo długo, aż do południa. Pan Karol zdążył się już zagospodarować w obozie antropologicznym - między wielkie namioty ekspedycji wcisnął swój dwuosobowy czerwony namiocik, co stwierdziliśmy, gdy Zaliczka ogłosiła koniec dnia roboczego i wraz ze swymi pomocnikami ruszyła do domu na obiad. Ja także zająłem się przygotowaniem obiadu, i tak czas zeszedł mi aż do czwartej po południu. Dopiero o tej porze wyruszyłem do lasu, aby obejrzeć odnalezione przez harcerzy bunkry.

„Tak, wpadli na właściwy trop - rozmyślałem wędrując skrajem lasu równoległe do brzegu rzeki, bo tędy właśnie kazali mi iść Łucznicy, - Skoro w lesie znajdują się stare bunkry, to chyba właśnie w takim bunkrze najłatwiej było kłusownikom urządzić sobie kryjówkę. Bunkry budowano chyba dla kilku, a może nawet kilkunastu żołnierzy, są więc zapewne przestronne, można w nich zrobić posłania i przebywać przez dłuższy czas...

Kłusownicy, być może, starannie zamaskowali wejście do bunkra, a ponieważ sam bunkier w ciągu tylu lat zdołał obrosnąć krzakami, odkryć go będzie bardzo trudno...”

Raptem aż przystanąłem tknięty niespodziewaną myślą:

„Jeśli bunkry te pochodzą z 1939 roku, kto wie, czy w którymś z nich dziedzic Dunin i gajowy Gabryszczak nie schowali bezcennych zbiorów”.

Scieżynka doprowadziła mnie do niewielkiej zagrody. Las zbliżał się w tym miejscu aż do brzegu rzeki, zagroda zajmowała niewielką przestrzeń między wodą i lasem. Mały drewniany domek, niewielka niska obórka i maleńkie podwórze otoczone drewnianym płotem, Tuż nad brzegiem rzeki pasła się krowa, pod płotem wały się stare boje rzeczne, na ścianie domku wisiało na gwoździu koło ratunkowe. „To jest mieszkanie człowieka, który zapala światła na bojach rzecznych - pomyślałem. - Tu mieszka ten, który tak rozgniewał się, gdy z Wyspy Złoczyńców usłyszał wołanie: Ba-ra-basz”.

Wydało mi się, że byłoby dla mnie bardzo pożyteczne, gdybym poznał bliżej owego człowieka. Pchnąłem więc furtkę i wszedłem na podwórko. Powitało mnie głośnie ujadanie psów zamkniętych w obórce. Wywabiona psim szczekaniem natychmiast pojawiła się na progu domu młoda dziewczyna. Ta sama, która odwiedziła mnie na Wyspie Złoczyńców i rozkazała mi, abym wyniósł się z niej jak najszybciej.

- Dzień dobry pani - powitałem dziewczynę. Zmierzyła mnie spojrzeniem pełnym złości.

- Czego pan chce? Po co się pan tu kręci? - powiedziała z gniewem. - Niech się pan stąd wynosi, bo spuszczę psy z łańcucha...

- O Boże - jęknąłem. - Nie zdążyłem jeszcze wyjaśnić, co mnie tu sprowadza, a pani już straszy mnie psami, Zobaczyłem pasącą się krowę i przyszedłem spytać, czy nie zechciano by mi tu sprzedać trochę mleka.

- Nic pan nie kupi. Niech się pan stąd wynosl.

- Oczywiście, że się wynoszę. Gdybym wiedział, że pani tu mieszka, przenigdy nie odważyłbym się postąpić kroku na podwórko - to mówiąc odwróciłem się na pięcie i opuściłem zagrodę.

Zatrzasnęła za mną furtkę.

„Dlaczego ona mnie tak nienawidzi?” - medytowałem wędrując przez las.

Spotkanie to, choć niemiłe, przyniosło mi jednak pewną korzyść. Dowiedziałem się, gdzie mieszka dziewczyna, która odwiedziła mnie na Wyspie Złoczyńców. Mogłem przypuszczać, że pozostaje ona w jakimś związku z człowiekiem, który zapalał światła w bojach rzecznych.

„Może to jego córka? - pomyślałem. - Być może, podejrzewa, że to ja właśnie prześladowuję jej ojca wołaniem: Ba-ra-basz, i dlatego pała do mnie taką niechęcią”.

Przekroczyłem piaszczystą drogę, którą jechałem kiedyś „samem”, i znalazłem się w nie znanej mi części lasu. Najpierw był szmat wysokopiennego sosnowego starodrzewia, a później świerkowy zagajnik, przecięty głębokim rowem przeciwczołgowym. Ten właśnie rów zapewne rozpoczynał system umocnień. Rów był głęboki, o stromych brzegach, a ponieważ las w tym miejscu leżał dość nisko, rów wypełniała woda, czarna i śmierdząca od gnijących w niej liści. Rozciągał się on chyba na dość dużej przestrzeni, przeskoczyć go wydawało się niemożliwością. Dopiero po dłuższej wędrówce brzegiem rowu odnalazłem coś w rodzaju kładki - kilka grubych żerdzi przerzuconych nad wodą.

Po drugiej stronie rósł także świerkowy zagajnik, w którym można było dostrzec zarosłe trawą ślady po okopach i gniazdach karabinów maszynowych. Pośród okopów, co kilkadziesiąt metrów, znajdował się bunkier. Najpierw trafiłem na bunkry zbudowane z drewnianych bali, teraz już pogniłych; dachy ich były zapadnięte, wnętrza do połowy zasypane ziemią i zeschniętymi liśćmi. Niektóre bunkry stały się siedliskiem dzikich królików. W jednym z nich zamieszkał lis, przed na pół zawalonym wejściem leżały kości zwierzęce i skrwawione pióra jakiegoś ptaka.

Odkryłem także kilka bunkrów zbudowanych z żelbetonu. Ich potężne konstrukcje zostały starannie osypane piaskiem i obłożone darnią, a potem zasadzono tu krzewy i młode świerki. Stanowiły jakby maleńkie pagórki spoglądające w stronę rzeki pustymi oczodołami, w których zapewne znajdować się miały lufy karabinów maszynowych lub małokali-browych działek. W tylnej części bunkrów dostrzegłem ciężkie, żelazne drzwi, teraz otwarte... Swięcąc zapalką zaglądałem do wnętrza, ale wszędzie stała woda, żaden z nich nie mógł więc służyć jako kryjówka dla kłusowników.

I znowu bunkier drewniany. Na nim dwie skrzyżowane gałęzie. Obok wielki kopiec dużych czerwonych mrówek. To tutaj Łucznicy odnaleźli szkielet ludzki i czaszkę” - pomyślałem.

Wejście do bunkra było niskie. Musiałem przykłęknąć, aby zajrzeć do wnętrza. I natychmiast cofnąłem się z powrotem, bo kilka czerwonych mrówek błyskawicznie wdrapało się na moje nogi i poczęło mnie kąsać w łydki. Mrówki objęły w posiadanie wnętrze bunkra.

Zapaliłem zapalkę i znowu zajrzałem do ciemnego wnętrza. Ta krótka chwila pozwoliła mi zobaczyć bielejące w bunkrze kości ludzkie,

Strząsnąłem mrówki z nóg, wyprostowałem się. I nie wiem dlaczego, ogarnęło mnie bardzo nieprzyjemne uczucie - jakby groziło mi jakieś niebezpieczeństwo, jakby gdzieś za

ścianą młodych świerków czaił się ktoś mi wrogi. Wydało mi się, że las, w którym się znalazłem, jest ponury i pełen grozy. „To zapewne ów szkielet ludzki wywołał we mnie takie uczucia” - pomyślałem. Ale nie potrafiłem pozbyć się wrażenia, że grozi mi niebezpieczeństwo, że gdzieś między gałęziami drzew wypatrują mnie czyjeś oczy.

Powędrowałem kilkanaście kroków w stronę zalanego wodą rowu przeciwczołgowego. Usiadłem na jego krawędzi i zapaliłem papierosa.

„Ten szkielet - rozmyślałem - nie powinien mnie niepokoić. Zapewne kiedyś toczyła się w tych miejscach zacięta bitwa, w której poległo wielu żołnierzy. W jednym z bunkrów, być może zasypałym przez wybuch pocisku, pozostały zwłoki. Potem deszcze spłukały ziemię z bunkra, otwały do niego wejście i ukazały szkielet. Nie, nie ma się co zastanawiać nad tą sprawą...”

Wstałem z ziemi i odwróciłem się twarzą w tę stronę, skąd przed chwilą przyszedłem. Wydało mi się, że jakiś cień zamajaczył między świerkami. Cień ten natychmiast znikł, a potem rozległ się trzask złamanej gałązki.

„Ktoś mnie śledzi” - zorientowałem się.

Zapadł już wieczór, byłem sam w najbardziej oddalonej i bezludnej części lasu. Wyznaję, że przeląknęłam się trochę owego śledzącego mnie człowieka. Szybkim krokiem skierowałem się wzdłuż rowu aż do żerdzi przerzuconych nad wodą.

Przebiegłem po żerdziach na drugą stronę rowu. Tu zatrzymałem się na chwilę. „Poczekaj, już ja cię urządzę” - zaśmiałem się w duchu. Chwyciłem końce żerdzi i przesunąłem je do przodu w ten sposób, że ledwo się trzymały drugiego brzegu. Zapadł już zmrok, ten, który mnie śledził, powinien nie zauważyć, że żerdzie są słabo zamocowane. Jeśli nieostrożnie stąpnie na mostek, żerdzie zsuną się po piasku i ów śledzący mnie osobnik wpadnie w wodę.

Zniknąłem w lesie, zatoczyłem spory łuk i, skradając się, zawróciłem w stronę rowu.

Dzieliło mnie od niego jeszcze kilkanaście metrów, gdy usłyszałem najpierw cichy okrzyk, a potem rozległ się trzask łamiącej się żerdzi i głośny plusk wody. Ktoś wpadł w przygotowaną przeze mnie pułapkę.

Na czworakach, abym nie został zauważony, podkradłem się nad krawędź rowu. Ostrożnie wyjrzałem - i mimo coraz bardziej gęstniejącego mroku zobaczyłem wystającą ponad powierzchnię brudnej wody... głowę dziewczyny. Tej samej, która odwiedziła mnie na Wyspie Złoczyńców, tej samej, która wypędziła mnie z podwórza zagrody nad Wisłą. A więc śledziła mnie od chwili, gdy zatrasnąłem za sobą furtkę domu, w którym mnie tak niezyczliwie przyjęła.

Gdy ochłonęła ze strachu, poczęła, ociekając wodą, wdrapywać się na brzeg. Był on jednak w tym miejscu bardzo stromy i dziewczyna chyba ze trzy razy ześliznęła się w wodę.

Wyszedłem z lasu, przyklęknąłem nad rowem i podałem dziewczynie rękę. Przyjęła moją pomoc, choć przez chwilę widziałem w jej oczach wahanie.

Wygramoliła się na brzeg i tu przykucnęła, chwyciwszy się dłońmi za kostkę lewej nogi.

- Zdaje się, że zwichnęłam nogę - jęknęła.

- Mój Boże - westchnąłem. - Gdybym wiedział, że to pani mnie śledzi, przenigdy nie urządziłbym tej pułapki na rowie.

- Więc to była pułapka? Pan przesunął żerdzie? - krzyknęła z wściekłością. Chciała się zerwać, ale ból w kostce zatrzymał ją na miejscu.

Rozłożyłem ręce gestem mającym wyrażać największą skruchę. Było mi naprawdę żal tej dziewczyny, ubranie miała przemoczone, oblepione mułem i gnijącymi liśćmi.

- Gdybym wiedział, że to pani...

- Pan jest... Pan jest - powtarzała szukając słowa, które najtrafniej miało wyrażać to, co o mnie sądzi. - Pan jest... podły.

Wzruszyłem ramionami.

- Nie rozumiem, dlaczego moja osoba budzi w pani taki gniew? Go ja złego pani zrobiłem? Przecież nie zna mnie pani, nie wie pani, kim jestem, czemu więc odnosi się pani do mnie aż z tak wielką nlechęcią, dlaczego uważa pani, że jestem podły?

- Pan jest... Pan jest... - znowu szukała jakiegoś mocnego słowa. - Pan jest... wstrętny.

- To prawda, że przeze mnie wpadła pani do wody i upadając skręciła nogę w kostce. Ale po pierwsze: nie wiedziałem, że to pani mnie śledzi. A po drugie: dlaczego mnie pani śledziła?

Zacisnęła dłonie w pięści, jakby zamierzała rzucić się na mnie.

- Miech pan sobie stąd idzie. Nie dość, że przez pana skręciłam nogę i zmoczyłam się w rowie, to jeszcze drwi sobie pan ze mnie, naigrawa się pan, wiedząc, że jestem bezradna i bezbronna...

I, oczywiście, rozplakała się. „Ładna historia” - pomyślałem zmartwiony, bo nie lubię włdoku płaczących dziewcząt.

- Niech się pan wynosi... Niech pan stąd idzie - wołała histerycznie.

Poczekalem, aż się trochę uspokoi, i rzekłem:

- Po pierwsze: nie mogę stąd odejść, ponieważ pani skręciła nogę w kostce i nie zdoła pani bez mojej pomocy dostać się do domu. Po drugie: zapadła już noc, robi się coraz

chłodniej, a pani ma przemoczone ubranie. Zaziębi się pani.

- Po pierwsze... Po drugie... Po trzecie - przedrzeźniała mnie. - Po pierwsze: nie potrzebuję pana łaski. Po drugie: nie potrzebuję pana łaski. Po trzecie: niech się pan wynosi...

Spróbowała wstać i postąpić krok. Syknęła z bólu i natychmiast z powrotem usiadła nad rowem.

- No, widzi pani - rzekłem. - Zostanie pani sama i wilki panią zjedzą.

- Tu nie ma wilków.

- Ludzi tu także nie ma. Całą noc w lesie, w mokrym ubranlu, brr... — aż wstrząsnąłem się na samą myśl o podobnej sytuacji.

- Nie potrzebuję od pana żadnej łaski - powiedziała. Ale już bez przekonania.

Nie dziwiłem się temu. Rzeczywiście, w lesie już zapadła noc, zrobiło się chłodno.

- Na pani miejscu - odezwałem się - przyjąłbym pomoc nawet od najgorszego wroga.

A ja naprawdę nie uważam się za pani wroga. Nie znam pani, nic o pani nie wiem.

Nie odezwała się.

- No, chodźmy - powiedziałem zachęcająco. Zastanawiała się jeszcze przez długą chwilę.

- Jak pan sobie wyobraża naszą wędrowkę? Przecież sama nie zdołam iść, a pan nie wydaje mi się aż tak mocny, żeby mnie wziąć na plecy.

- Hm - chrząknąłem urażony, bo powiedziała to z ironią. Zawsze bolalem nad tym, że nie odzniczam się dużą siłą fizyczną. Co tu dużo gadać: jestem słabeusz, chuchrak.

- Proszę pani - rzekłem - nie zamierzam nieść pani przez cały las, bo do tego trzeba by siłacza.

- No, taka znowu ciężka to ja nie jestem.

- Wydaje mi się, że mógłbym „na barana” ponieść panią kilkadziesiąt metrów. Oczywiście, z przystankami - zaznaczyłem. - Pani zna ten las, proszę powiedzieć, gdzie tu jest najbliższa droga lub przesieka. Doniosę tam panią i pozostawię. Pobiegnę po swoje auto i przyjadę po panią. Zgoda?

- Dobra - powiedziała, ostrożnie podnosząc się z ziemi.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

NOCNA WĘDRÓWKA Z RANNA DZIEWCZYNA – W STAREJ SZOPIE – KOGO LĘKA SIĘ DZIEWCZYNA? – OSZUSTWO – KTO JEST PODEJRZANY? – GDZIE SZUKAĆ CZARNEJ LIMUZYNY? – PODSŁUCHANA ROZMOWA – PLAN UKRYTYCH SKARBÓW – GDZIE PRZENIESIONO DROGOCENNE ZBIORY – KARTKA OD HANKI

Nie uszliśmy daleko. Dziewczyna była jednak cięższa, niż przypuszczałem, a może to ja okazałem się słabszy. Co kilka kroków musiałem odpoczywać, zziąłem się, zmęczyłem, a do drogi, po której mógłbym przejechać „samem” było ciągle daleko. Ciemności utrudniały wędrówkę, raz po raz potykałem się na wystających korzeniach drzew i wpadałem w krzaki. Wkrótce zaczął padać deszcz, co jeszcze pogłębiło nocny mrok.

Wreszcie dziewczyna zdecydowała, że należy zmienić plan.

- Tu w pobliżu - przypomniała sobie - jest stara, na wpół rozwalona szopa. Gromadzi się w niej siano, które gajowy zbiera na polanach leśnych, a potem w zimie karmi nim leśną zwierzynę. Tam będziemy mogli schronić się przed deszczem.

Szopę znaleźliśmy bez trudu. Leżało w niej trochę starych gratów, części wozu, drabinki, w które kładziono zwierzętom siano podczas surowej zimy. Była także drabina, prowadząca na strych wypełniony sianem.

- Ciemno tutaj jak w grobie - powiedziała dziewczyna - ale przyhajmniej ciepło i deszcz nie pada.

Mimo bólu w nodze zdołała wdrapać się na strych, a ja poszedłem za nią.

- Proszę mi teraz podać swój płaszcz - komenderowała - a ja zrzucę z siebie mokrą odzież. Wyschnie przez noc, a ja w pańskim płaszczu zakopię się w sianie i chyba nie zmarznę do rana.

- Nie ma sensu siedzieć tu przez całą noc - rzekłem. - Do szopy zapewne prowadzi jakaś droga, więc zdołam dojechać samochodem.

- O, nie - pisnęła z kąta szopy, gdzie się przebierała. - Nie zostanę tu sama.

- Dlaczego? - spytałem.

- Po prostu, boję się.

- Wilków nie ma w tym lesie - zauważyłem. - Zresztą, może pani wciągnąć drabinę do

góry i nikt się do pani nie dostanie.

- Nie zostanę tu sama - powtórzyła stanowczo.

- A mnie się pani nie boi? - zdziwiłem się. - Wypędziła mnie pani ze swego podwórka, śledziła mnie pani, a to chyba oznacza, że uważa mnie pani za kogoś bardzo podejrzanego. Czyżby zmieniła pani zdanie?

- Być może uważam pana za kogoś podejrzanego, ale to wcale nie znaczy, że również uważam pana za człowieka groźnego. Przeciwnie: nie jest pan groźny.

- Bardzo mi przyjemnie... - skłoniłem sę w jej stronę, choć ona tego nie mogła zobaczyć z powodu panujących ciemności. - A czy może mi pani także powiedzieć, kogo i czego się pani obawia do tego stopnia, że nie chce pani pozostać tu sama przez godzinę?

Nie od razu odpowiedziała na moje pytanie. Przebrała się i dopiero wtedy usiadła obok mnie na sianie.

- Brr, jaki zimny ten pański płaszcz - wstrząsnęła nią dreszcz.

- Może pożyczyć pani jeszcze marynarkę? - zaofiarowałem się,

- Owszem - zgodziła się.

Zdjąłem z siebie marynarkę i podałem dziewczynie.

- A teraz - zdecydowała - niech pan jeszcze zejdzie na dół i rozejrzy się wokół szopy, czy nie grozi nam jakieś niebezpieczeństwo.

- Pani jest rzeczywiście bardzo bojaźliwa - mruknąłem.

Lecz zląłem na dół po drabinie i nawet dwukrotnie okrążyłem rozwaloną szopę. Gdy wróciłem, drabnia była wciągnięta do góry, a dziewczyna na strychu świeciła sobie zapalkami, wyjętymi z kieszeni mojego płaszcza.

- Halo, proszę pani! Co pani wyprawia? - zawołałem. - Chce pani podpalić tę budę? I dlaczego pani wciągnęła drabinę? Czyżby znowu zmieniła pani zdanie? Czy znowu jestem niebezpieczny?

Odkrzyknęła mi z góry:

- Niech pan chwilę poczeka. Zaraz panu podam drabinę. Właśnie przeglądam pańskie dokumenty, które były w marynarce, a ponieważ przypuszczałam, że pan mi w tym zechce przeszkodzić, więc wciągnęłam drabinę.

Jeszcze przez jakiś czas rozbłyskiwało na górze światło zapalanych zapalek.

- Proszę pani - krzyknąłem - chyba nie jest pani aż tak źle wychowana, aby czytać wszystkie papiery, które znajdują się w moich kieszeniach. Czy dowód osobisty pani nie wystarczy?

- Wystarczył - odkrzyknęła. I po chwili opuściła drabinę. Wlaziłem na górę gniewny i

milczący - obraził mnie bowłem jej postępek.

Przecież gdyby mnie zapytała, kim jestem, na pewno powiedziałbym jej. Nie musiała się uciekać aż do takiego wybiegu.

Odebrałem od dziewczyny marynarkę i zagrzebałem się w sianie. Deszcz szemrał na słomianym dachu starej szopy. Dziewczyna znowu wciągnęła drabinę, ale nie kładła się spać.

- Gniewa się pan na mnie, prawda? - zapytała.

- Owszem - przytaknąłem - nie mam żadnego powodu, aby ukrywać, kim jestem, ani nie widzę powodu wstydić się swego imienia, nazwiska i zawodu. Ale nie może mi się podobać, jeśli ktoś nadużywa mego zaufania po to, aby grzebać w mych kieszeniach i w mym portfelu.

- A ja wiem już teraz, że nie jest pan tym, za kogo pana uważałam — powiedziała.

- Bardzo się z tego cieszę. I może otrzymam wyjaśnienie, dlaczego odnosiła się pani do mnie tak niegrzecznie, czemu śledziła mnie pan w lesie, co w skutkach okazało się dla pani bardzo opłakane.

Zaśmiała się cichutko.

- Nic panu nie powiem. Chyba, że...

- Chyba, że... podchwyciłem.

- ...Że powie mi pan, ale szczerze, po co pan tu przyjechał.

- Na odpoczynek. Mam urlop. Znowu się zaśmiała.

- Tutaj? Na odpoczynek? Tu nikt nigdy nie przyjeżdża na wypoczynek. W pobliżu jest piękne i słynne na całą Polskę uzdrowisko, więc co za sens odpoczywać tutaj, gdzie nie ma nawet ładnej plaży nad rzeką.

- A jednak nie tylko ja wpadłem na pomysł, żeby tu spędzić urlop. Dziś przyjechał, na przykład, niejaki pan Karol, który rozbił swój namiot w obozie antropologów.

- Pan Karol? Cóż to za facet? - zaniepokoiła się.

- Detektyw - stwierdziłem.

- Co pan wygaduje? Jaki detektyw?

- Tego to ja już nie wiem. Ale gdy się przedstawiał, panna Zaliczka, ta szczupła pani-antropolog z warkoczykami, zawołała: „Już wiem, pan pewnie jest detektywem, na którego czekamy”. Pan Karol wprawdzie temu zaprzeczył, ale zapewne po prostu nle chce się zdradzić.

- A więc to tak wszystko wygląda? - mruknęła dziewczyna. - Ci antropologowie to nie są wcale takie niewiniątka, jak mi się wydawało. Detektywa wezwali. Po co?

- Nie mam pojęcia - rzekłem. - Pani jest tutejsza, pani powinna lepiej ode mnie

wiedzieć, czy zdarzyło się tu coś takiego, co wymaga przyjazdu detektywa.

Nie odpowiedziała. Dodałem jeszcze:

- Nie dziwię się, że przyjechał detektyw. Jestem tutaj kilka dni, a przecież tyle już napotkałem podejrzanych spraw, że dla ich rozwikłania trzeba by całej armii detektywów.

- A cóż pan tak podejrzanego zauważył? — spytała mnie ironicznie.

- Wyliczę pani. Przede wszystkim kłusownicy. Ktoś tutaj poluje na sarny w okresie ochronnym. Zabiłą sarnę odnalazłem wraz z harcerzami w krzakach na cmentarzyku wojskowym.

- Zgoda. Kłusownicy. Rzeczywiście ktoś z tej okolicy poluje w niedozwolonym czasie. Milicja robiła już dwie obławy na kłusowników. Nikogo jednak nie schwytano. I jeśli chce pan wiedzieć, dlaczego nie zgodziłam się, aby pan poszedł po samochód pozostawiając mnie samą, to teraz wyznaję panu, że bałam się właśnie kłusowników. Od pewnego czasu po lesie kręcą się nieustannie jakieś podejrzane typy. Pana brałam właśnie za jednego z nich.

- Omyliła się pani. Ale wyliczam dalej: pewnego wieczoru, gdy płynąłem po Wiśle i na chwilę zatrzymałem się obok wyspy, zauważyłem człowieka, który zapalał czerwone i zielone światła w bojach rzecznych.

- To mój ojciec - powiedziała.

- W, pewnym momencie na wyspie rozległ się okrzyk: „Ba-ra-basz”, i wtedy pani ojciec chwycił siekierę, którą miał w łódce, dopłynął do wyspy i pobiegł w głąb z taką wściekłością, jakby zamierzał kogoś zabić.

Westchnęła.

- Ojciec skarżył mi się, że co wieczór ktoś go prześladowa wołaniem: „Ba-ra-basz”, Jego to doprowadza do wściekłości, bo uważa, że ktoś w ten sposób drwi sobie z niego. Jak wiadomo, na tej wyspie zginął Barabasza, dowódca działającej tu kiedyś bandy. Ktoś udaje ducha Barabasza i ojciec z tego powodu się złości. Dwa razy zaczął się na wyspie, żeby zobaczyć, kto urządza te kawały, ale nikogo nie schwytalam. A tej nocy, gdy pan był na wyspie, właśnie wołania nie było...

- Może to moja osoba wystraszyła dowcipnisia? Bo chyba mnie pani nie posądza o podobne żarciki?

- Nie. Ktoś wołał na wyspie wtedy, kiedy pan nocował w miejscu, gdzie była leśniczówka Gabryszczaka. Nie mógł pan być jednocześnie na wyspie i na wzgórzu w lesie.

- A więc i tam mnie pani wysledziła? Wówczas zresztą także kilka podejrzanych rzeczy zwróciło moją uwagę. Najpierw otoczyły mój namiot dwa wściekłe psy.

- Nie wściekłe, wypraszam sobie takie epitety - rzekła. - To były moje dwa wilczury.

Gdy nocą włóczę się po lesie, zawsze mi towarzyszą. Wtedy się nikogo nie boję. Przyszłam z nimi aż do wąwozu, bo byłam ciekawa, co to za facet zbudował sobie obóz właśnie w tym miejscu.

- Ach, to pani wtedy gwizdnęła na psy...

- Nie chciałam, żeby pana pogryzły.

- W jakiś czas później po drodze leśnej przejechała dwukrotnie wielka czarna limuzyna. Najpierw miała pogaszone światła, potem jechała z zapalonymi reflektorami,

- Widziałam w lesie światła. Ale myślałam, że to pan swoim pokracznym samochodziem buszuje po leśnej drodze. Jak tamten samochód wyglądał?

- Ogromny, czarny, podobny do wielkiej ryby albo ptaka. Amerykański „krążownik szos”.

- Taki sam wóz widziałam wczoraj w Ciechocinku. Stał na parkingu tuż koło fontanny podobnej do wielkiego grzyba - rzekła dziewczyna.

- Jeśli to jest ten sam wóz - powiedziałem - i rzeczywiście parkuje w Ciechocinku, to chyba nie ma w tym fakcie nic podejznanego. Po prostu jakiś turysta wypoczywa w Ciechocinku i urządza sobie wycieczki po okolicy. Pewnej nocy zgubił drogę w lesie i stąd jego obecność w wąwozie.

- A dlaczego jechał ze zgaaszonymi światłami, skoro, jak pan twierdzi, zgubił drogę i zabląkał się w lesie? Jeśli ktoś w lesie decyduje się nocą wyłączyć w aucie światła reflektorów, to chyba najlepszy znak, że doskonale orientuje się w okolicy. Ba, to znaczy, że mógłby tu jeździć niemal z zamkniętymi oczami.

Nic nie odpowiedziałem. Oczywiście, miała rację. „Jutro pojadę do Ciechocinka - postanowiłem. - Może stoi tam jeszcze ów czarny krążownik i będę się mógł dowiedzieć, do kogo należy?”

Głośno zaś powiedziałem:

- A najbardziej podejrzana jest tu pewna dziewczyna. Nie wiadomo, dlaczego napastuje spokojnych turystów, obserwuje ich, śledzi, grozi im, każe im się wynosić z tej okolicy. Nawet nie chce powiedzieć, jak ma na imię...

- Hanka... - usłyszałem jej szept. - Studiuje w Warszawie medycynę. Skończyła pierwszy rok i przebywa w domu na wakacjach.

Umilkła. Poprzez, niezbyt zresztą głośny, szum deszczu bijącego o dach szopy usłyszeliśmy odgłosy rozmowy.

Ktoś zbliżał się w naszym kierunku. Byli to najpewniej mężczyźni, bo głosy wydawały nam się niskie, grube, trochę ochryple.

Hanka przysunęła się do mnie i poczęła szeptać mi do ucha:

- Na litość boską, niech się pan zachowuje jak najciszej. Choćby zechcieli wejść do tej szopy i siedzieć tu nie wiadomo jak długo, nie możemy dać poznać, że tu jesteśmy.

- Może to gajowy? - szepnąłem Hance. - Dopomógłby pani dostać się do domu.

- Cicho - syknęła. - Cichooooo...

Rozmawiający byli już bardzo blisko szopy. Miną ją i pójda dalej czy też właśnie do niej skierują swoje kroki?

- Stary usłyszał od kogoś, że on ma jakiś plan, a na nim całą okolicę wyrysowaną dokładnie kolorowymi ołówkami - mówił Głos I.

Głos II:

- Może wejdziemy pod szopę i zapalimy papierosa?

Głos I:

- Trzeba się śpieszyć. Stary czeka nad rzeką, spóźnimy się i będzie awantura.

Głos II:

- A po co temu gościowi taki plan? Myślisz, że to ktoś z dawnych ludzi Barabasza?

Głos I:

- Za młody, żeby był od Barabasza. Ale mógł mu ktoś z ludzi Barabasza wyrysować plan i sprzedać.

Głos II:

- Przecież nikt żywy nie wydostał się wtedy z wyspy?

Głos I:

- Dwóch wojsko schwytało żywcem. Przecież sądzili ich potem w Warszawie.

Głos II:

- Skazali ich na karę śmierci, więc można powędzić, że nikt żywy z wyspy nie wyszedł. Chyba tam w więzieniu komuś taki plan wyrysowali

Głos I:

- Głupi jesteście. Skazano ich na karę śmierci, ale wyroku nie wykonano. Zwrócili się o łaskę do najwyższych władz i karę śmierci zamienili im na dożywocie... Potem jeszcze skrócono do piętnastu lat, bo była amnestia. Rozumiesz, bracie? I w ten sposób obydwaj są już dawno na wolności. Stary się o tym dowiedział niedawno i dlatego z początku pewnie myślał, że ten gość z planem to jeden z ludzi Barabasza.

Głos II:

- Za młody...

Szum deszczu zagłuszył dalsze słowa, bo obydwaj rozmawiający dość daleko odeszli od szopy.

- To o panu mówili ci dwaj ludzie - odezwała się Hanka. - Pan ma w kieszeni plan wyrysowany kolorowymi ołówkami. Widziałam go, gdy szukałam pańskiego dowodu osobistego. Ciekawa jestem, jakim cudem dowiedzieli się o tym?

- A ja wiem, skąd się dowiedzieli - zaśmiałem się. - Od pani Pilarczykowej, właścicielki sklepiku. Pokazałem jej ten plan. Tylko jej, nikomu więcej.

- O Boże, jaki pan nieostrożny - zawołała.

- Celowo tak zrobiłem. Chciałem, aby rozpoviedziała o tym planie i żeby to doszło do właściwych uszu.

- Po co? Dlaczego pan tak postąpił?

- Chciałem tego kogoś, który mnie interesuje, najpierw zaniepokoić, a później zmusić do działania przeciwko mnie. Chciałem, żeby spróbował mnie unieszkodliwić. A ponieważ spodziewałem się tego, starałem się być czujny i z pewnością potrafiłbym się obronić. Jednocześnie dowiedziałbym się, kto to jest, On jednak nie dał się sprowokować, nie poczuł się zaniepokojony faktem, że posiadam plan. To bardzo dziwne i zupełnie dla mnie niezrozumiałe.

- A ja rozumiem, dlaczego tak się stało - zaśmiała się dziewczyna. - Wiem nie tylko, kim pan jest, ale także, po co pan tu przyjechał. Domyśliłam się również, dlaczego pan nie zdołał sprowokować tamtego faceta.

- Co za jasnowidząca panienska - ironizowałem.

- Niech pan nie kpi. Gdy panu powiem to wszystko, czego się domyślam, przekona się pan, że nie trzeba być jasnowłdzem, aby pana rozszyfrować. Otóż, proszę pana, pan jest dziennikarzem, który jakimś cudem dostał do rąk plan naszej okolicy z zaznaczonym na planie miejscem, gdzie dziedzic Dunin ukrył swoje drogocenne zbiory. Ale na tym pańskim planie to miejsce nie jest wskazane dokładnie...

- Skąd pani wie, że nie jest dokładnie wskazane?

- Bo gdyby było, toby pan nikogo nie prowokował, tylko cichutko poszedł w to miejsce i te rzeczy zabrał. Więc pan chce sprowokować faceta, co tych rzeczy pilnuje. Ale pan go nie sprowokuje, ponieważ ten facet przed dwoma miesiącami, o czym pan może jeszcze nie wie, rzeczy te przeniósł do innej kryjówki. I dlatego on śmieje się z pańskiego planu.

Zerwałem się na równe nogi, schwyciłem dziewczynę za ramiona, szarpiąc ją w zdenerwowaniu.

- Skąd pani wie, że on je przeniósł do innej kryjówki? - niecierpliwłem się.

- O Boże, niech mnie pan puści - krzyknęła. - Wszystko panu powiem. Cała okolica mówiła głośno o tej sprawie, więc nie ma potrzeby robić z tego tajemnicy. Przed dwoma miesiącami znaleziono rankiem w lesie kilka przedmiotów, prawdopodobnie zgubionych przez kogoś, kto je niósł w nocy. Podobno był to stary kindżał wysadzany drogimi kamieniami, jakaś sprzączka pozłacana, stara srebrna łyżka. Nietrudno się chyba domyślić, że były to rzeczy ze zbiorów dziedzica Dunina. Ktoś je zabrał z kryjówki i przenosił nocą. Ot i cała prawda. A więc rzeczy tych nie ma w dawnej kryjówce, może je wywieziono gdzieś bardzo daleko, a może przeniesiono do innego schowka. W każdym razie pański plan jest już do niczego nie przydatny.

- A gdzie leżały te zguby?

- Tuż koło kładki, gdzie miałam przyjemność wpaść do wody i skrócić nogę.

- No, tak - mruknąłem - oczywiście kryjówka była w jednym z bunkrów.

- Prawdopodobnie. Ale tych wszystkich drogocенności Dunina już tam nie ma, a gdzie są, nie wiadomo, szukaj wiatru w polu. Więc najlepiej pan zrobi, jeśli zabierze się pan stąd do swego domu.

- Znowu mnie ,pani wypędza - zauważyłem.

- Bo skoro pana plan jest już nic niewart, ów facet nie dał się sprowokować, to przecież nie ma żadnej nadziei, żeby pan natrafił na rzeczy dziedzica.

- Mam tyle samo nadziei, co i przedtem. Ten plan, proszę pani, to zwykła kartka, na której w kawiarni jeden z moich przyjaciół narysował te okolice, żebym nie musiał ciągle o wszystko pytać. Na planie nie ma zaznaczonego schowka rzeczy Dunina. Nie ma go z tej prostej przyczyny, że mój przyjaciel nie miał pojęcia, gdzie tego schowka szukać. Proszę bardzo, wręczam pani ów plan, może się pani o tym sama przekonać - to mówiąc sięgnąłem do kieszeni marynarki i podałem dziewczynie kartkę.

- Przyjechałem tutaj i dalej pozostanę - dodałem - choć pani chciałaby mnie wygnać z tej okolicy. W decyzji pozostania utwierdza mnie właśnie fakt, że pani tak bardzo zależy, abym wyjechał. Gzy ma pani nieczyste sumienie? Boi się pani, że przypadkiem mógłbym trafić tu na ślad czegoś takiego, co powinno zostać ukryte?

- Tere fere ku-ku - gwizdnęła dziewczyna. - Mam w nosie pańskie decyzje.

Postanowiłem dać jej ostrą odpowiedź, lecz najpierw jeszcze o jedno zapytałem:

- Czy któryś z głosów tych mężczyzn, którzy przechodził koło szopy, nie wydał się pani znajomy?

- Nie - burknęła.

- Dziękuję za informację - powiedziałem ironicznie. - Jest pani szalenie miła i uprzejma. Jest pani tak miła i uprzejma, że aż żal mi, iż skrzyła sobie pani tylko nogę, a nie na przykład język...

Od tej chwili nie powiedzieliśmy sobie ani słowa więcej. Zgarnąłem na siebie trochę siana i spróbowałem zasnąć. Dziewczyna leżała tuż koło mnie, na policzku czułem łaskotanie jej oddechu. Przypuszczałem, że w moim cienkim płaszczyku jest jej zimno, ale ani przez myśl mi nie przeszło pożyczyć jej marynarki.

Spałem twardo. Obudziłem się o dziewiątej rano. Dziewczyny obok mnie już nie dostrzegłem, drabina była opuszczona na dół. Na moich nogach leżała kartka planu, który wczoraj dałem Hance. Na odwrocie kartki dziewczyna napisała:

„Jest pan głupi i naiwny. Nogi nie skrzyła, chciałem się tylko dowiedzieć, kim pan jest i po co pan tu przyjechał. Dowiedziałam się wszystkiego, żegnam. Płaszcz zwrócę w najbliższym czasie”.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

RYBAK O NAZWISKU SKAŁBANA – SZCZUPAK – ZAPROSZENIE DO SKAŁBANY – STUDNIA SZKIELETÓW – BIAŁE PLAMY NA MAPIE – RASY I RAŚISCI – DRYOPITHECUS, CZYLI PRAMAŁPA CZŁEKOKSZTAŁTNA – CZY HANKA JEST PODEJRZANA? – W POSZUKIWANIU CZARNEJ LIMUZYNY – WYZNANIA HANKI – ŁZY

- Co się z panem działo, panie Tomaszu? — powitała mnie Zaliczka, gdy rankiem pokazałem się nad Wisłą koło swego namiotu. - Strasznie się o pana martwiłam. Nie było pana przez całą noc.

Smutnie zwiesiłem głowę.

- Zabłądziłem w lesie. Nocowałem w jakiejś starej, rozwalonej szopie.

- O Boże drogi - lamentowała Zaliczka. - Przecież to bardzo niebezpieczne.

Lament Zaliczki zwrócił na mnie uwagę całej ekspedycji, szykującej się do wymarszu na wykopaliska. Młodzi antropologowie popatrzyli na mnie ironicznie, wymieniając, zdaje się, na mój temat jakieś szydercze uwagi. Tylko pan Karol, wywabiony ze swego namiociku żalonymi okrzykami Zaliczki, dziwnie poważnie potraktował fakt mojego zabłąkania się w lesie.

- I nocował pan w jakiejś starej szopie? W któryra miejscu jest ta szopa? - dopytywał się niecierpliwie.

Trochę dziwna wydała mi się ta indagacja. Postanowiłem zachować ostrożność.

- Ba, gdybym choć pamiętał, gdzie była owa szopa - powiedziałem. - Straciłem orientację do tego stopnia, że nawet nie bardzo zdaję sobie sprawę, którądy tu wróciłem.

Spojrzał na mnie podejrzliwie. Chciał mnie pytać jeszcze dalej, ale uwagę naszą zwróciła łódka dobijająca do cypla, na którym znajdował się obóz antropologów.

- Ryby. Świeże ryby sprzedają - z łódki zawołał rybak.

Pan Karol wzruszył ramionami i zaszył się w swoim namiocie. Zaliczka zaś pobiegła obejrzeć ryby i dokonać zakupów do obozowej kuchni.

W jakiś czas później rybak podszedł do mnie, niosąc za ogon dość sporego szczupaka.

- Powiedziała mi ta chuda pani, że prowadzi pan oddzielną kuchnię - rzekł. - Może więc kupi pan ode mnie szczupaczka? Skałbana się nazywam – dodał, jakby to miało znaczyć,

że powinienem stanowczo kupić szczupaka.

- Skałbana się nazywam - powtórzył. Przełożył szczupaka z prawej ręki do lewej i podał mi na przywitanie dłoń wilgotną i śliską od rybiej łuski.

- Tomasz - mruknąłem w odpowiedzi.

- Szczupak waży półtora kilograma, dziś w nocy złowiony, dużo za niego nie chcę - dodał. Bezradnie rozłożyłem ręce.

- Zjeść, to bym chętnie zjadł szczupaka. Ale nie potrafię go wypatroszyć. Żaden kucharz ze mnie - zaśmiałem się.

- Pomogę panu - ofiarował się. Wyjął z kieszeni duży składany scyzoryk, przykucnął na trawie i począł zdzierać ostrzem łuski ze szczupaka.

Niezręcznie było mi protestować. A on oskrobał rybę, wypatroszył ją i podał mi gotową do smażenia.

Przez cały czas przyglądałem mu się uważnie, Wydał mi się sympatyczny. To przecież nie zdarza się tak często, aby sprzedawca ryb zaofiarował się także przygotować rybę do smażenia.

Skałbana był wysoki, barczysty, mógł mieć około sześćdziesięciu lat. Szeroka, wyrazista twarz, wystające kości policzkowe, nos mały jak guziczek. Siwe skronie i skóra na twarzy prawie czarna od słońca i wiatru hulającego po rzece. Nad oczami, osadzonymi głęboko, duże zwisające brwi, siwe i nastroszone.

Po chwili dowiedziałem się o przyczynie tak niezwyklej uprzejmości rybaka. Gdy zapłaciłem mu za rybę - godziwą zresztą cenę - oświadczył mi na pożegnanie:

- Dziś rano Hanka, córka starego Kondrasa, no ta, co na lekarza uczy się w Warszawie - wyjaśnił - powiedziała mi, że pan jest z gazety. Więc gdyby pana interesowało to i owo, a szczególnie historia Barabasza, to ja niejedno mógłbym panu powiedzieć. Bo ja, panie, mieszkam po tamtej stronie rzeki, mały domek kryty czerwoną dachówką, i niejedno tu widziałem.

- Skorzystam z zaproszenia - ucieszyłem się. - I na pewno w najbliższym czasie zjawię się u pana. Rzeczywiście historia Barabasza i jego bandy trochę mnie zainteresowała.

- No, to do zobaczenia - i znowu wyciągnął do mnie dłoń mokrą i śliską od rybiej łuski.

Poszedł w kierunku rzeki i przycumowanej do cypla łódeczki. Odbił od brzegu i odpłynął dość szybko, porwany przez nurt Wisły. Znajdował się nie dalej niż dwadzieścia metrów od brzegu, gdy zauważyłem, że pan Karol wychylił się ostrożnie ze swego namiociku. Skrył się za dużym namiotem ekspedycji antropologicznej i przyłożył do oczu

lornetkę. Oglądał przez nią płynącą łódkę Skałbany, dopóki tamten nie dobił do drugiego brzegu i nie zniknął w krzakach wikliny.

Nikt tego oprócz mnie chyba nie zauważył, bo antropologowie wywędrowali już na wykopaliska. Tylko jeden ze studentów odbywających wakacyjną praktykę krzątał się w namiocie gospodarczym, a na środku obozu pan Opałko modelował czaszkę znaną w bunkrze. Był jednak tak zajęty swoją pracą, że chyba nie spostrzegł dziwnego zachowania się pana Karola. Zresztą pan Karol zaraz potem znowu zniknął w swym namiocie i po chwili wyszedł z niego dźwigając pokrowiec z wędkami. „Sherlock Holmes” - pomyślałem ironicznie.

Zabrałem się do smażenia szczupaka. Gdy skończyłem tę pracę i zjadłem chyba połowę usmażonej ryby - było już południe. Teraz powędrowałem za rzeczka, gdzie pracami wykopaliskowymi kierowała Zaliczka. Ciekawiło mnie bardzo, czy oprócz owego szkieletu, odnalezionego wczoraj w prostokącie z ułożonych kamieni, nie odkryto czegoś nowego.

Oprócz Zaliczki, dwóch studentów i kilku robotników na wykopie kręcili się Łucznicy.

- Postanowiliśmy pomagać antropologom - powiedział mi Wilhelm Tell. - To ciekawsze niż poszukiwanie kłusowników. Tych zbójców na pewno nie uda nam się schwytać, a przy naukowcach można się czegoś nauczyć i potem dobre wypracowanie w szkole napisać.

Przyznałem mu rację. Tym bardziej że Zaliczka obiecała chłopcom opowiedzieć o antropologii. To właśnie mogło się im przydać w szkole. Zresztą i sama praca na wykopie okazała się niezwykle ciekawa.

- Widzi pan, to jednak była chyba kiedyś studnia. - Zaliczka zaprowadziła mnie na miejsce, gdzie rozkopana ziemia ukazywała zrobione z kamieni jakby ocembrowanie dość głębokiej studni, zasypanej ziemią i piaskiem.

Na razie antropologom udało się odrzebać studnię na głębokości półtora metra, musieli to robić bardzo ostrożnie, małymi szpadelkami, bo ziemia i piasek w studni zawierały najróżniejsze przedmioty, które tam wrzucono, jak to zazwyczaj, do starej studni. A więc połamane wiadra, dziurawą miskę żeliwną i potłuczone gliniane naczynia. Pod warstwą tych rupieci znowu odkryto szkielet ludzki.

- Brr, to zaczyna być makabryczne - zawołałem. - Do tej studni oprócz starych garnków wrzucano, zdaje się, także i ludzi?...

Kości ludzkie trzeba było starannie odkryć, delikatnie usunąć z nich piasek, tak aby żadna z nich nie zmieniła swego dawnego położenia. Potem obfotografowano szkielet,

wyrysowano jego położenie na planie.

- Pierwszy szkielet, ten znaleziony w wierzchniej warstwie - stwierdziła Zaliczka - należał do mężczyzny, i to starszego wiekiem, a ten drugi - to szkielet kobiety.

- Czy studnia jest bardzo stara? - spytałem Zaliczkę.

- Wydaje się stara. W tej chwili jednak trudno powiedzieć, kiedy ją zbudowano, bo nie dokopaliśmy się do samego dna. Natomiast bardzo interesujące byłoby ustalić, z jakiego czasu pochodzą szkielety.

- Więc one nie są współczesne? - zdumiał się Wilhelm Tell.

- Pewnie, że nie. Tymczasem trudno ustalić wiek pierwszego szkieletu. Z drugim będzie łatwiej. Leżał pod warstwą potłuczonych garnków, jest więc im współczesny lub starszy od nich, nigdy zaś młodszy, to chyba proste, prawda? Wiek naczyń glinianych uda się określić po ich kształcie, po sposobie wypalania gliny. Pani magister Alina Zaborowska, która kieruje naszą ekspedycją, zna się na tym o wiele lepiej ode mnie i na pewno będziemy wiedzieli, jak stare są te szkielety.

O czternastej skończył się dzień pracy na wyko paliskach, pomaszzerowaliśmy wszyscy do obozu antropologicznego. Ułożyłem się w swym namiociku na popołudniową drzemkę, a gdy się obudziłem i wyszedłem na dwór, zobaczyłem Zaliczkę w gronie Łuczników. Siedzieli gromadką na skraju lasu. Zaliczka opowiadała chłopcom o antropologii.

- Bardzo często zdarza mi się słyszeć od mojego młodszego brata: - mówiła Zaliczka - „Jaka to szkoda, że nie ma już białych plam na mapie, że wszystko na świecie zostało odkryte. Bo ja chciałbym być podróżnikiem i odkrywcą”. To prawda, że w dzisiejszym świecie mało jest miejsc nie odkrytych, w których nie stanęła noga podróżnika. Ale jednocześnie istnieją ogromne dziedziny, które wciąż czekają na swoich odkrywców, które posiadają jeszcze „białe plamy” - obszary nie zbadane. Do tych dziedzin należą niektóre gałęzie nauki. Także i antropologia. Zawiera ona wiele białych plam, które czekają na swego odkrywcę-badacza, na tego, który swymi śmiałymi poszukiwaniami zdoła odpowiedzieć na trapiące nas pytania, opowie nam o nas samych. Bo antropologia to nauka o człowieku. O człowieku dawnym, pierwotnym i człowieku współczesnym, dzisiejszym. Antropologia stara się odpowiedzieć na pytanie, jaki jest rodowód człowieka, to znaczy, jak w ciągu tysiącleci wykształciła się na ziemi istota zwana człowiekiem, czyli, po łacinie, *homo sapiens*. Antropologia stara się także odpowiedzieć na pytanie, jak to się dzieje, że ludzie są tak różni, posiadają nie tylko różny kolor skóry, ale i różny kolor włosów, oczu, różny kształt głowy, różną budowę ciała. Antropologia usiłuje odpowiedzieć na setki podobnych pytań, a pytań jest mnóstwo, bo dużo chcemy wiedzieć o nas samych. Jednak wiedza o człowieku wśród

szerokich rzesz społeczeństwa jest prawie żadna. Założę się, chłopcy, że każdy z was potrafi wymienić wiele typów i marek motocykli kursujących w Polsce, ale czy potraficie odpowiedzieć na pytanie: ile jest ras ludzkich na świecie albo jakie typy sami reprezentujecie?

- Należymy do rasy białej - powiedział Wilhelm Tell.

- No tak. Ale to tylko ogólne pojęcie. Gdy przyjrzą się ludziom białym, zauważą, że jedni to blondyni, inni bruneci, jedni mają cerę bardzo jasną, a inni ciemną, śniadą, jedni mają głowy podługowate, a jeszcze inni krótkie. A więc i w ramach rasy białej istnieje jakby wiele grup ludzkich poważnie różniących się między sobą. Podobne różnice zauważyć można u rasy czarnej - inaczej przecież wygląda Murzyn z Sudanu, a inaczej Murzyn z Rodezji czy Pigmej. Tak samo jest wśród przedstawicieli rasy żółtej. Znajomość tych różnic i podobieństw - ciągnęła Zaliczka - znajomość ras i typów ludzkich nie jest wcale tak błaha i niepotrzebna zwykłemu człowiekowi, jakby się to z pozoru wydawało. Z tej niewiedzy korzystało bardzo wielu szarlatanów, którzy doprowadzili do strasznych zbrodni i krwawych rzezi, wmawiając jednemu, że są lepsi od drugich, bo mają taki a nie inny kolor włosów, oczu, taki a nie inny kształt czaszki. O zbrodniarzach hitlerowskich mówimy, że byli rasistami. Co to znaczy? Czy należy przez to rozumieć, że każdy człowiek, który dostrzega na świecie różnice w wyglądzie ludzi, dostrzega rasy ludzkie na świecie - jest rasistą? Oczywiście, że nie. Rasista to taki człowiek, który uważa, że jedna rasa jest lepsza i mądrzejsza od drugiej, że stworzona została do panowania, że inna rasa, jego zdaniem, gorsza, powinna tamtej służyć. Hitlerowcy na przykład głosili, że długogłowi blondyni, czyli nordycy, są „rasą panów”, stworzoną do rządzenia wszystkimi innymi ludźmi na świecie; by ustanowić władzę „rasy panów”, mordowali całe narody. Rasiści we współczesnej Ameryce głoszą, że biały człowiek nie powinien przebywać w towarzystwie człowieka czarnego, bo ten jest od niego „gorszy”. Prawdziwa nauka, antropologia, nie ma z takimi poglądami nic wspólnego. Przeciwnie, właśnie nauka o człowieku obala zbrodnicze poglądy. Nauka rozróżniła rasy ludzkie, ale nie stwierdziła, aby jedna rasa była lepsza od drugiej. Ludzie mogą się różnić kolorem skóry, oczu, włosów, ale należą do jednego gatunku — *homo sapiens*, są istotami myślącymi. Zresztą, pamiętać trzeba, że ludzkość przeszła długą drogę rozwoju, ludzie żyją na kuli ziemskiej wiele tysięcy lat i w ciągu tego czasu wchodzili z sobą w bliskie związki, przedstawiciele różnych ras zakładali wspólne rodziny, ich dzieci były już mieszane, a ci z kolei także wchodzili w związki z przedstawicielami innych ras, różniącymi się od nich kolorem skóry, oczu czy włosów. Stąd śmiało można powiedzieć, że mało jest na świecie czystych przedstawicieli poszczególnych ras, Prawie wszyscy jesteśmy mieszane, a tylko pewne główne cechy (w jednym człowieku takie, a w innym inne)

doszły do głosu, wybiły się na plan pierwszy i zdecydowały o tym, że staliśmy się długogłowymi blondynami lub krótkogłowymi brunetami, czy odwrotnie: krótkogłowymi blondynami lub długogłowymi brunetami i tak dalej, i tak dalej. Polacy mogliby tu posłużyć za najlepszy przykład. Przecież przez nasz kraj w ciągu wielu tysięcy lat przewędrowały, i czasowo osiedlały się na naszych ziemiach, setki najróżniejszych ludów - białych i żółtych. W rezultacie spotkać można w Polsce osobników należących do najróżniejszych ras, a raczej mieszaińców wszystkich tych ludów i ras. Badaniem związków między poszczególnymi grupami ludzkimi w przeszłości i w teraźniejszości zajmuje się właśnie nauka, która nazywa się antropologią. Jedni antropolodzy, tak jak my tutaj, rozkopują stare groby, aby prze-konać się, jak wyglądali ludzie żyjący na naszych ziemiach przed wiekami, inni dokonują pomiarów i badań ludzi żyjących dzisiaj, jeszcze inni zawzięcie szukają szczątków tych istot, które poprzedziły czoło wieka na ziemi, a więc praczłowieka.

- Człowiek pochodzi od małpy - stwierdził Borówka.

I zaraz zaczął biegać na czworakach wokół siedzącej groniadki, a Sokole Oko wspiął się na drzewo i spróbował udawać małpę, huśtając się na gałęzi.

- Nieprawda - odrzekła Zaliczka - człowiek i małpa człekokształtna mieli, zdaniem antropologów, tylko wspólnego przodka, a to przecież nie to samo,

- A jak się nazywał ten praojciec człowieka i małpy - spytał Wilhelm Tell.

- Naukowcy nazywają go *dryopithecus*, czyli pra-małpa człekokształtna.

- Proszę pani, a jak to było dawno? Kiedy żył ów *dryo...* *dryo...* *dryo...* - zająknął się Tell.

- *Dryopithecus* - odpowiedziała Zaliczka.

- Tak. Właśnie ten *dryopithecus*.

- Nasza planeta istnieje kilka milionów lat i w ciągu tego okresu przechodziła najróżniejsze przeobrażenia. Geologowie, którzy zajmują się badaniem ziemi, dzielą wiek naszej planety na pięć okresów, na tak zwane przez nich ery. Każda z tych er trwała po kilkaset milionów lat. Ostatnią erą, która rozpoczęła się mniej więcej 70—80 milionów lat temu i trwa do dzisiaj - jest era kenozoiczna, która także dzieli się jeszcze na dwa okresy, tak zwany trzeciorzędowy i czwartorzędowy. W okresie trzeciorzędowym, jak wiemy z najróżniejszych wykopalisk, z całą pewnością żyły już pramałpy człekokształtne, owe *dryopithecusy*, a także *australopithecusy*, czyli małpy południowe. Nie ma jednak żadnych danych, aby sądzić, że już w owym czasie istniał także człowiek. Antropologowie są zdania, że człowiek pojawił się dopiero w okresie czwartorzędowym, a choć to kawał czasu, przecież w porównaniu z wiekiem ziemi i z innymi żyjącymi na świecie istotami, jak na przykład

plązy czy gady, człowiek jest na ziemi stworem stosunkowo młodym.

Nie słuchałem dalej wywodów Zaliczki. Oto bowiem na skraju lasu pojawiła się Hania i kiwnęła na mnie ręką. Przyniosła mi płaszcz.

- Jest uprasowany, bo bardzo go wygniotłam - powiedziała. - Przepraszam pana także, że dziś rano odeszłam bez pożegnania.

Wzruszyłem ramionami. W milczeniu przyjąłem od niej płaszcz. W karteczce, którą mi odchodząc pozostawiła, nazwała mnie naiwnym głupcem. Nie wydawało mi się słuszne kontynuowanie znajomości z tą panią, która uważała się za najsprytniejszą osobę na świecie.

Bardzo mnie jednak korciło, żeby jej czymś dokuczyć.

- Uważa mnie pani za głupca, ponieważ okazałem pomoc komuś, kto, jak mi się wydawało, mojej pomocy potrzebował. I choć zostałem oszukany, pani wybaczy, ale nie wyciągnę wniosków z tej przykrej dla mnie lekcji. Będę dalej okazywał pomoc każdemu, kto tej pomocy będzie potrzebował, choć, być może, ten i ów nazwie mnie dlatego człowiekiem głupim i naiwnym. Co do pani zaś, sądzę, że spryt i przebiegłość mają krótkie nogi, i jestem przekonany, że kiedyś wyjdą one pani na złe. Zaczzerwieniła się.

- Ależ ja nie to miałam na myśli... Ja nie dlatego napisałam, że pan jest głupi i naiwny... - zaczęła się płatać. Widać było, że nie umie, a może nie znajduje w tej chwili żadnego usprawiedliwienia dla swego postępu.

- A poza tym - dorzuciłem - ma pani jeszcze jedną brzydką cechę: gadulstwo. Dlaczego powiedziała pani rybakowi Skałbanie, że jestem dziennikarzem?

- Bo... Bo słyszałam, jak on opowiadał memu ojcu, że tu po okolicy kręci się jakiś podejrzany typ, i właśnie pana opisał. Wówczas wyjaśniłam, że jest pan dziennikarzem i spędza pan urlop w naszej okolicy. Skałbana nie cieszy się w naszej okolicy najlepszą sławą, po prostu bałam się, że jeśli uzna pana za kogoś podejrzanego, może się panu przytrafić jakaś przykra przygoda.

Znowu wzruszyłem ramionami.

- Co pani na tym zależy? Zdołałem wywnioskować z pani dotychczasowego postępowania, że życzy mi pani jak najgorzej.

Aż nogą tupnęła.

- To nieprawda. Nie życzę panu niczego złego. Po prostu wzięłam pana za kogoś innego i dlatego byłam nieuprzejma.

Zrobiłem kilka kroków w stronę swojego namiotu. Poszła za mną, chciała mi coś

powiedzieć, ale nie bardzo wiedziała, od czego zacząć. A ja. nie zamierzałem jej tego ułatwić, W końcu rzekła po prostu:

- Czy nie sądzi pan, że moglibyśmy pojechać do Ciechocinka?

- Po co?

- Jak to: po co? Trzeba stwierdzić, czy na parkingu stoi jeszcze ów wielki czarny wóz.

A jeśli tam jeszcze jest, warto się dowiedzieć, do kogo należy i w jakim celu ten człowiek jeździł po lesie nocą z pogaszonymi światłami?

Lekceważąco machnąłem ręką.

- A cóż mnie ta sprawa obchodzi?

- W rozmowie ze mną sam pan wspomniał o tym samochodzie i powiedział, że jego podróż po lesie wydała się panu podejrzana,,,

- Owszem, ale czy to znaczy, że powinienem jechać do Ciechocinka? Pani zachowanie jest daleko bardziej podejrzane niż owego kierowcy, a przecież nie przeprowadzam w pani sprawie żadnego śledztwa.

Potrząsnęła głową.

- Dobrze. Powiem panu, dlaczego moje zachowanie mogło panu wydawać się takie dziwne. Ale jedźmy do Ciechocinka. Szkoda czasu na gadanie, wyznania moje mogą nastąpić po drodze.

Kłamałem twierdząc, że nie zamierzam jechać do Ciechocinka i nic mnie nie obchodzi właściciel czarnego samochodu. Teraz, gdy obiecała, że powie mi coś, co mogło mnie zainteresować, udałem, że tylko na jej prośbę decyduję się na wyjazd.

Wyprowadziłem „sama” z płóciennego garażu. Zaprosiłem dziewczynę do auta. Pojechaliśmy.

- No, słucham panią - odezwałem się po kilkunastu minutach jazdy. Ulice miasteczka wyprowadziły nas właśnie na szosę do Ciechocinka.

- Wszystko przedstawia się bardzo prosto - rzekła, - W naszej okolicy ukryta została cała fura różnego rodzaju cennych przedmiotów dziedzica Dunina, I jest na pewno sporo chętnych, którzy usłyszawszy o ukrytym bogactwie, chcą je odnaleźć dla siebie. Do tych ludzi należą: ja, pan, zapewne właściciel czarnego auta, a być może także jeszcze ktoś, o kim nic nie wiemy. Chodzi więc o to, żeby nie tylko samemu szukać, ale i konkurencji patrzeć na palce. Każdy chciałby się wzbogacić, no nie?

- Nie - mruknąłem. - Nie każdy chciałby się wzbogacić takim kosztem. Co do mnie, proszę pani, to gdybym nawet odnalazł rzeczy dziedzica Dunina, nie przywłaszczyłbym ich sobie. Nie wierzy mi pani?

Zatrzymałem samochód na brzegu szosy, sięgnąłem do portfela i wyjąłem z niego arkusik papieru.

- Proszę sobie przeczytać. Jest to pismo z Muzeum Narodowego, stwierdzające, że zlecono mi poszukiwania zaginionych zbiorów starożytności dziedzica Dunina. W tym pisemku jest prośba do miejscowych władz, a przede wszystkim milicji, aby okazano mi pomoc w tych poszukiwaniach. Rzeczy dziedzica Dunina stanowią własność narodową. Człowiek, który je odnajdzie i nie zwróci władzom, powinien być traktowany jako zwykły złodziej. Dodać muszę, że tych poszukiwań podjąłem się bezinteresownie, na prośbę jednego z moich przyjaciół, kustosa muzeuin. Przeznaczyłem na nie swój urlop, bo znęciła mnie przygoda. Szukam więc, choć oprócz ciekawego przeżycia nie otrzymam żadnej nagrody. Wiem, że pani nie rozumie takiego postępowania, zapewne tym bardziej wydam się pani głupi i naiwny.

- Nieprawda. Ja pana dobrze rozumiem - zawołała.

A było w jej głosie coś takiego, co kazało mi spojrzeć na nią uważniej. „Nie, tej dziewczynie nie chodzi o wzbogacenie się rzeczami dziedzica Dunina - pomyślałem. - Ona nie wyznała mi prawdy”.

Schowałem pisemko do portfela i ruszyliśmy w dalszą drogę. Hanka milczała, ja także nie odzywałem się. Obserwowałem drogę i próbowałem rozwiązać zagadkę, którą kryła w sobie dziewczyna.

- Proszę pani - zagadnąłem ją nagle - czy może mi pani powiedzieć, dlaczego pani ojciec tak bardzo denerwował się, gdy na wyspie ktoś wołał „Ba--ra-basz”? Z największym gniewem wbiegł na brzeg wyspy i wymachując siekierą szukał tego, kto wołał. Pani poprzednie wyjaśnienie tego dziwnego faktu zupełnie mnie nie przekonało.

Dopiero po dłuższej chwili usłyszałem jej szept:

- Niech mnie pan o to nie pyta. Nie chcę kłamać, a nie mogę powiedzieć prawdy. Przysięgam jednak, że ta sprawa nie ma nic wspólnego z tym, co pana do nas sprowadziło...

Zerknąłem na Hanke. Dziewczyna miała łzy w oczach.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

UROKI CIECHOCINKA – PAN Z CZARNĄ BRÓDKA – ZNOWU SPOTYKAM
AUTOSTOPOWICZKĘ – W POŚCIGU ZA CZARNĄ LIMUZYNĄ – DOKĄD JEDZIE
PAN HERTEL – ZNIKNIĘCIE CZARNEJ LIMUZYNY – W LESIE –TRZEJ LUDZIE Z
ŻELASTWEM – KŁUSOWNICY – WILHELM TELL I JEGO ZASTĘP – TELL STRZELA
ZE SWEJ KUSZY – NAUCZKA DANA KŁUSOWNIKOM

Ciechocinek jest bardzo ładną, choć ostatnio nie nazbyt modną miejscowością wypoczynkową. Dość daleko jest stamtąd do lasu, nie ma w pobliżu wzgórz, nawet do Wisły trzeba iść spory kawałek drogi - około dwóch kilometrów. Otaczają Ciechocinek łąki i pola uprawne, rozciągające się w dawnym korycie Wisły. Jedyne spore wzgórze - to Raciażek ze sterczącym i z daleka widocznym kościółkiem. Dla młodzieży więc Ciechocinek nie stanowi żadnej atrakcji - młodzież woli miejscowości nad morzem lub w górach, nad jeziorami lub na brzegu rzeki, tam gdzie jest plaża z kajakami lub gdzie można odbywać długie, ciekawe spacer. Dlatego w Ciechocinku mało widać młodzieży.

Za to pełno tu ludzi starszych, statecznych kuracjuszy, którzy przyjeżdżają, aby wypoczywać i leczyć nadwątłone zdrowie. To dla nich przede wszystkim są sanatoria i łazienki z kąpielami solankowymi i borowinowymi. To przede wszystkim dla nich zbudowano słynne ciechocińskie tężnie, po których spływa solanka, nasycając powietrze zdrowotnym jodem. Kuracjom wystarcza pękny park zdrojowy ze stawem, po którym pływają łabędzie, z pawiami dostojnie kroczącymi po trawnikach, wystarcza im zapach róż rozkwitających na kwietnikach, kawiarnia w parku, spacer po zadrzewionych asfaltowych uliczkach, podziwianie pięknych fontann i wodotrysków.

W samym centrum Ciechocinka, tuż obok wielkiej fontanny w kształcie grzyba, jest parking strzeżony. Czarna limuzyna stała na nim pośród kilkunastu innych samochodów. Gdy zobaczyłem ów czarny wóz, podjechałem swym wehikułem pod budkę dozorcę parkingu.

- Zaparkować go chciałbym - wskazałem swojego „sama”.

- Proszę ustawić na samym końcu ten pański... samochód - dodał zawaławszy się, czy wehikuł mój zasługuje na podobną nazwę.

Udałem, że nagle dostrzegam czarną limuzynę.

- Boże, jaki piękny wóz! - krzyknąłem z zachwytem.

- A pewnie, że ładny - przytaknął dozorca. Spojrzał na mój wehikuł, potem popatrzył na czarny samochód. Różnica była tak wyraźna i tak rażąca, że nie zdziwił go zupełnie mój zachwyt.

- To chyba jakiegoś cudzoziemca? - rzekłem, Dozorca pogardliwie wzruszył ramionami.

- Nie widzisz pan, że rejestracja jest warszawska? Z Warszawy facet przyjechał na wypoczynek.

- Ciekawe, ile kosztował ten samochód - powiedziałem. Dozorca znowu popatrzył na mojego „sama”.

- Na pański wóz na pewno się nie zamieni. Zresztą zapytaj go pan - roześmiał się. Wydało mu się, że powiedział doskonały dowcip. - Tak, tak, zaproponuj mu pan zamianę. Ten pan poszedł teraz do „Zdrojowej”. Ma czarną malutką bródkę, Na pewno zmieni się z panem na samochody.

Udałem obrażonego, i to tak bardzo, że zamiast na parking pozostawiłem „sama” przy krawężniku za fontanną.

Przed wejściem do „Zdrojowej” Hanka zatrzymała się.

- Niech pan idzie sam - rzekła. - To podobno dość wytworny lokal, a ja jestem źle ubrana. Niech pan spojrzy na moją sukienkę, czy w czymś takim można się tam pokazać?

- Niech pani nie gada głupstw - burknąłem. - Ja także jestem daleki od elegancji.

Był wieczór, „Zdrojowa” dopiero wypełniała się gośćmi. Orkiestra już grała i na parkiecie kręciło się kilka par, ale wiele stolików w ogromnej sali było jeszcze pustych. Zajęliśmy mały stoliczek przy drzwiach, by obserwować stąd całą salę, a jednocześnie mieć baczenie na wychodzących i wchodzących do lokalu.

Na sali był tylko jeden mężczyzna z niewielką czarną bródką. Siedział w pobliżu parkietu, a towarzyszyła mu starsza tęga blondynka i młodziutka ruda dziewczyna, Tę dziewczynę skądś chyba znałem. „Aha, to Teresa, autostopowiczka, którą podwoziłem do Ciechocinka - przypomniałem sobie. - A ta pani to zapowne ciotka, do której dziewczyna jechała”. Pan z bródką mógł mieć najwyżej czterdzieści lat, był przystojny i elegancki.

Kończyli właśnie kolację, bo pan z bródką rozglądał się za kelnerem.

- Co państwo sobie życzą? - przy naszym stoliku stanął kelner.

Należało się spodziewać, że pan z czarną bródką zaraz zapłaci i zdecyduje się opuścić „Zdrojową”.

W tej sytuacji nie wydawało mi się celowe zamawianie kosztownych dań.

- Dwie duże kawy i dwa kawałki tortu - powiedziałem.

Kelner skrzywił się niechętnie.

- O tej porze, proszę państwa, konsumpcja jest u nas obowiązkowa. Wynosi najmniej trzydzieści złotych od osoby.

- To poproszę o dwa brizole - rzuciłem trochę nieprzytomnie, gdyż do pana z bródką podszedł kelner.

- Ja nie mam przy sobie ani grosika - szepnęła mi Hanka.

- To nic. Ja jestem trochę zamożniejszy - powiedziałem.

Okazało się, że pan z bródką przywołał kelnera, aby jeszcze coś zamówić. Orkiestra właśnie zaczęła grać i pan z bródką poprosił do tańca Teresę. Na twarzy jej ciotki uwidoczniło się zadowolenie. Pan z bródką, jako posiadacz pięknego samochodu, zapewne wydawał się ciotce odpowiednią „partią” dla siostrzenicy. O, znam trochę te starsze panie, które, nim jeszcze dziewczyna podrośnie, już upatrują, za kogo by ją wydać za męża.

- Zatańczymy? - spytałem Hankę.

- Co takiego? W takiej sukience? - zawołała z oburzeniem.

- Musimy przyjrzeć się z bliska temu panu - rzekłem i podniosłem się od stolika.

Ukloniłem się Hance i poprowadziłem ją na parkiet.

Ruda dziewczyna natychmiast mnie poznała. Mrugnęła do mnie dyskretnie, tak że nie zauważył tego ani pan z bródką, ani ciotka, która pilnie ją obserwowała.

- Świetnie pan tańczy - powiedziała Hanka.

- Tak? - zdziwiłem się, choć wiedziałem, że tańczę bardzo, dobrze.

- I w ogóle przy bliższym poznaniu bardzo pan zyskuje - mówiła dalej Hanka. - Bo zazwyczaj młodzi ludzie przy bliższym poznaniu raczej tracą w moich oczach.

- To pewnie dlatego, że ja już nie jestem taki młody...

- Teraz żałuję, że z początku tak niegrzecznie zachowywałam się w stosunku do pana. Ach, gdyby jeszcze miał pan ładniejszy samochód, moglibyśmy zrobić wycieczkę na przykład do Torunia. Bo pańskim gruchotem to aż wstyd jeździć.

- Nie podoba się pani moje auto? - spytałem. I od razu zrobiłem się gniewny. Ilekroć ktoś zaczął wydziwiać na temat mojego „sama”, zaraz mnie to bardzo złościło. Mój samochód nie zasługiwał na złośliwości, których mu nie szczędzono.

- No, piękny to on nie jest - rzekła Hanka.

- Oświadczam pani, że także zyskuje przy bliższym poznaniu.

Ruda dziewczyna znowu do mnie porozumiewawczo mrugnęła. Tym razem jednak dostrzegła to Hanka.

- Cóż to za bezczelna smarkuła, zaczepia ludzi na parkiecie - powiedziała Hanka.

- To moja znajoma - wyjaśniłem. - Jadąc w te strony podwoziłem ją samochodem aż do Ciechocinka. Z początku także kpiła z mojego wozu, ale potem przestała.

- A więc to była dłuższa znajomość?

- Nie. Nawet bardzo krótka. Około 70 kilometrów.

-- I na tak krótkiej trasie ta panienska zdążyła p-znać walory i pana, i pańskiego auta - kpiła Hanka.

- Miałem na myśli tylko moje auto. Mądry człowiek pozna się na nim już po dwóch kilometrach jazdy,

- Innymi słowy: ja jestem głupia?

Rozpoczęła się między nami sprzeczka, która uniemożliwiła mi obserwacje pana z bródką. Zdołałem tylko stwierdzić, że jego elegancja była pozorna, mógł się wydawać eleganckim jedynie z daleka. Z bliska dostrzegłem plamy na jego jasnym garniturze, koszulę miał nie pierwszej czystości, a krawat oceniłem jako niegustowny. Czarną bródkę miał nierówno przyciętą, włosy na głowie mocno przerzedzone, a twarz bardzo bladą, anemiczną, która nieprzyjemnie kontrastowała z czernią zarostu.

Orkiestra umilkła. Wróciliśmy z Hanką do stolika. Kelner znowu przystąpił do pana z bródką, przyniósł czarną kawę, ciastka i lody.

- Im się zanosi na dłuższą zabawę - zauważyła Hanka.

Ale i nam podano brizole. Zabraliśmy się do jedzenia, a ponieważ, prawdę mówiąc, od dnia, w którym zacząłem biwakować, nie miałem w ustach nic porządnie przyrządzonego, jedzenie pochłonęło mnie całkowicie. Dopiero gdy z talerza zniknął ostatni kawałek mięsa i ostatnia fritka, powiedziałem do Hanki:

- To bardzo dobry przypadek, że ów pan z bródką jest w towarzystwie dziewczyny, którą podwoziłem autem. Przez nią będę mógł się o nim czegoś dowiedzieć.

Hanka uśmiechnęła się drwiąco.

- Niech pan powie od razu, że chciałby pan poflirtować z tą smarkulą. A ponieważ, być może, panu przeszkadzam, więc sobie pójdę.

Nie musiałem odpowiadać. Ruda dziewczyna właśnie podeszła do naszego stolika.

- Dzień dobry panu - powiedziała. - Ciocia kazała mi panu podziękować, że podwoził mnie pan do Ciechocinka. A to jest pańska żona? - spytała obcesowo, spoglądając na Hankę.

- Nie. To pani, którą do Ciechocinka podwoziłem swoim autem,

- Ach, autostopowiczka - uśmiechnęła się Teresa.

- Nie - z przekąsem stwierdziła Hanka,

- Pan ma szczęście do podwożenia ładnych dziewcząt - zaśmiała się Teresa. - Ale pan

na to zasługuje. Ma pan najkławsze auto na świecie. To чудо, a nie samochód.

- Ta pani - wskazałem Hankę – drwi sobie z mojego auta.

Ruda dziewczyna pogardliwie wydeła wargi.

- Nie zna się na rzeczy. Pani jest pewnie z prowincji.

- Owszem. I co z tego? - niegrzecznie odpowiedziała jej Hanka.

Ciotka przy stoliku kiwnęła ręką na Teresę, dając jej do zrozumienia, aby wróciła, Pośpieszyłem więc z pytaniem:

- Cóż to za pan z bródką siedzi przy pani stoliku? Narzeczony? Wujek?

- Ma najpiękniejsze auto - rzekła ruda dziewczyna, jakby to miało tłumaczyć tę znajomość. - Gdy zobaczyłam jego wóz na parkingu, nie mogłam się powstrzymać aby się nim nie przejechać. No i oczywiście poznałam właściciela.

- Któż to jest? Cudzoziemiec?

- Nie. Polak, ale auto kupił od cudzoziemca. On sam, zdaje się, pracuje w dyplomacji. Do Ciechocinka przyjechał na wypoczynek. Nazywa się Hertel, Mieszka w pensjonacie Orbisu. A z panem co się dzieje? Gdzie pan mieszka? - zaskoczyła mnie pytaniem.

Obozuję nad Wisłą, koło miejscowości Antoninów.

Ciocia niecierpliwiła się coraz bardziej i coraz gwałtowniejsze dawała dziewczynie znaki, aby wróciła do stolika. Pan z bródką pewnie poczuł się obrażony, bo przywołał kelnera i zdecydował się zapłacić rachunek. Dziewczyna kiwnęła nam głową, co miało oznaczać pożegnanie, i znowu zasiadła przy panu z bródką,

Zabraliśmy się do pałaszowania dwóch kawałków tortu, które w międzyczasie podał kelner.

- Zdaje mi się, że facet próbuje się wymknąć - zauważyła Hanka.

Orkiestra zaczęła grać jakiś rzewny „kawałek”, ale pan z bródką nie zamierzał już tańczyć. Pocałował ciocię w rękę, skinął głową rudej dziewczynie i podniósł się od stolika.

- Chciałbym uiścić rachunek - przywołałem kelnera.

Przygotowanie rachunku trwało strasznie długo. Pan z bródką zdążył już opuścić „Zdrojową”. Na szczęście nie uszedł daleko. Skierował się na parking do swego samochodu, gdzie przez krótką chwilę rozmawiał z dozorcą. Gdy wsiadł do swego czarnego auta, ja i Hanka także siedzieliśmy w „samie”.

- Czyżby zamierzał go pan śledzić? - rzekła szyderczo Hanka. - Jego wóz wyciąga co najmniej sto pięćdziesiąt kilometrów na godzinę, a pański ledwo dyszy przy sześćdziesięciu. Jedyna nadzieja, że on pojedzie do pensjonatu.

Nie sprawdziły się te przewidywania. Pan Hertel ruszył szosą do Torunia. Potem

skręcił na drogę do Antoninowa.

Zapadł zmierzch. Czarna limuzyna miała wspaniałe światła, Hertel mógł więc rozwinąć znaczną prędkość, tym bardziej że szosa nie była tu ruchliwa. Rosła szybkość, ale odległość czerwonych światełek czarnego wozu nie zwiększała się ani na metr od mojego „sama”. Wtedy Hanka z coraz większym zdziwieniem poczęła obserwować strzałkę na szybkościomierzu, a potem pełna zdumienia spoglądała to na mnie, to na maskę mojego wehikułu.

- Sto dwadzieścia... sto trzydzieści... - mruzczała pod nosem. A potakiwał jej malutki diabełek przy kierownicy, kiwnięciami swojej główki dając znak, abym zachował ostrożność.

W pobliżu miasteczka Hertel zmniejszył szybkość, a ja natychmiast zmieniałem światła długie na krótkie. Nie chciałem, aby zwrócił uwagę, że ktoś go ściga od Ciechocinka.

Minęliśmy Antoninów.

- Myślałam, że on jedzie do naszego lasu - rzekła Hanka.

Za miastem czarny wóz począł przyspieszać bieg. Pozwoliłem mu się oddalić na dość znaczną odległość i dopiero wówczas zacząłem go doganiać.

- Sto trzydzieści... sto czterdzieści - szeptała Hanka.

Raptem zwolniłem, pozostawiając tylko światła po stojowe. Pragnąłem, aby Hertel nabral przekonania, że samochód, który za nim jechał, nie wytrzymał takiego tempa i wlecze się daleko w tyle. Lecz wóz Hertla nagle skręcił w drogę-żwirówkę.

- Już wiem - pisnęła Hanka - tędy także można dojechać do lasu. Tylko że od drugiej strony.

Minęliśmy wioskę, potem przesunęły się obok nas budynki cukrowni. Wkrótce zaczął się las - wysoko-pienny, gęsty, rozległy.

Był to ten sam las, który zbliżał się do Wisły i do miejsca, gdzie obozem rozłożyła się ekspedycja antropologiczna.

Droga przez las obfitowała w liczne i ostre zakręty. Czerwone światełka, umieszczone z tyłu samochodu Hertla, raz po raz znikaly mi z oczu, nie mogłem bowiem jechać za nim zbyt blisko, aby nie odniósł wrażenia, że jest śledzony. W pewnej chwili znowu przestałem je widzieć - odtąd nie zobaczyłem ich więcej. Jechałem i jechałem - a czerwone światełka nie pojawiły się przed nami.

- Umknął. Słowo honoru, umknął - rozpaczła Hanka,

- Zapewne zjechał w boczną dróżkę i wygasił wszystkie światła. Minęliśmy go, nie zauważywszy.

- Czy on to zrobił specjalnie?

- Nie wiem. Myślę, że przez cały czas w lusterku wstecznym dostrzegał nasze światła, w końcu zapewne domyślił się, że go śledzimy. W każdym bądź razie ten postępek świadczy, że Hertel ma nieczyste sumienie. Innego by nie obchodziło, że jedzie za nim auto, prawda?

Przebyliśmy jeszcze kilkadziesiąt metrów i oto ukazała mi się dobrze znajoma okolica. Żwirówka skończyła się, dalej był piasek i łagodny zjazd do Wisły.

Skreśliłem w las i zatrzymałem wóz na krawędzi drogi. Wygasilem silnik i wszystkie światła. Wyszliśmy z samochodu,

- Wystrychnął nas na dudków - wzdychała Hanka.

Lecz ja zupełnie nie przejmowałem się kawałem, który nam urządził pan z bródką. Wiedzieliśmy przecież, jak się nazywa i że mieszka w Ciechocinku w pensjonacie Orbisu.

- Proszę, niech pani usiądzie - zaprosiłem Hankę do zajęcia miejsca na małym wzgórku, porośniętym trawą. Usiadłem obok niej i zapaliłem papierosa.

Była już dziesiąta wieczór. W lesie panowała cisza. Wydawało się czymś niezwykle przyjemnym siedzieć tak i słuchać leśnej ciszy, która naprawdę to nie jest zupełną ciszą, ale właśnie dlatego przyjemnie jest jej słuchać.

Ubiegłej nocy padał deszcz, dzień, który minął, był upalny, wilgoć parowała i zapelniała las lekką mgiełką. Ona pogłębiała ciemność, choć nad wierzchołkami drzew wisiało pogodne niebo.

Wszedł księżyc i wówczas w lesie pojaśniało, a raczej pobiełało od mgły. Łudziliśmy się, że może jednak czarna limuzyna pojawi się wreszcie na drodze. Skoro wydawało się nam, że właśnie w tym kierunku Hertel zamierzał jechać. Ale na drodze nie pokazało się światło żadnego pojazdu i przez długi czas las w ogóle wydawał się bezludny. W pewnej chwili usłyszeliśmy kroki - drogą przeszło trzech ludzi obarczonych jakimiś żelastwami, które pobrzękiwały cichutko. Idący minęli nas w odległości najwyżej dwudziestu kroków, nie widzieli nas jednak, ponieważ siedzieliśmy obok „sama”, na bocznej drodze prowadzącej do miasteczka.

Trzech ludzi z żelastwami zeszło nad Wisłę, ale nie w tym miejscu, gdzie piaszczysta droga stykała się z rzeką i gdzie kiedyś przybijał prom, lecz nieco dalej. Rosły tam krzaki, usłyszeliśmy ich szelest i potem stuk wiosła o burtę łódki. Ten dźwięk jest bardzo charakterystyczny, bo pudło łodzi rezonuje i woda niesie odgłos bardzo daleko.

I raptem otoczyła nas gromadka chłopców.

- Łucznicy...

Wilhelm Tell położył mi palec na ustach.

- To są kłusownicy - szepnął mi do ucha. - Niosą potrzaski na zwierzynę. Te potrzaski były rozstawione w lesie i schwyтали w nie trochę zwierzyny. Teraz to wszystko zabierają na drugą stronę rzeki. Mają łódkę i mały gumowy ponton.

Zerwałem się z miejsca.

- Trzeba ich zatrzymać - szepnąłem Tellowi - trzeba uniemożliwić im odjazd. Albo może... - pomyślałem, że przecież mógłbym ścigać kłusowników swoim „samem”.

Wilhelm Tell przecząco pokręcił głową.

- Oni są uzbrojeni. Obserwowaliśmy ich. Mają fuzje.

Zrozumiałem Tella. Gdyby kłusownicy spostrzegli, że chcemy ich schwytać albo śledzić, być może zdecydowaliby się strzelać. Nie wolno było narazić się aż na takie niebezpieczeństwo.

- Pozostawili w lesie jeszcze trzy żelazne potrzaski. Zapewne jutro lub pojutrze wrócą, aby zobaczyć, czy nie wpadła w nie zwierzyna - informował mnie Tell. - Zaczaimy się na nich i wtedy cały obóz harcerski zdoła ich schwytać.

To był rzeczywiście dobry pomysł. Lecz z przykrością słuchałem, jak brzęczały żelaza, które kłusownicy rzucili na ponton. Potem zapiszczwały dulki łódki i plusnęła woda rozgarnięta wiosłami. Kłusownicy odpływali od brzegu.

Na kolanaeh, aby nas nie dostrzegli, podsunęliśmy się na brzeg rzeki. Tak, widzieliśmy ich wyraźnie, trzech ludzi siedziało w łódce, która na długim sznurze holowała za sobą mały gumowy ponton.

- Po co im ten ponton? - dziwił się Sokole Oko. Dla mnie to było jasne.

- Na pontonie mają broń, potrzaski i upolowaną zwierzynę. Gdyby na przykład teraz właśnie przejechała tędy motorówka mlicyjnej służby wodnej, natychmiast odcięliby ponton od łódki i pozwoliliby mu spłynąć swobodnie. I gdyby nawet milicja dostrzegła ów ponton i zobaczyła jego zawartość, nikt nie byłby w stanie udowodnić kłusownikom, że to oni go holowali. Mogliby twierdzić, że ponton płynie rzeką gdzieś z bardzo daleka.

- Nie wytrzymam, naprawdę nie wytrzymam - powtarzał Wilhelm Tell, ze zdenerwowania podskakując na jednej nodze.

I błyskawicznym ruchem zdjął z ramienia swoją kuszę. Nim zdołałem go powstrzymać, na cięciwie kuszy leżała strzała. Usłyszeliśmy cichutki jęk cięciwy i sirzała poszybowała w stronę oddalającej się łódki z kłusownikami.

- Coś ty zrobił, Tellu? - powiedziałem zdumiony, nie wiedząc, czy aprobować, czy też

potępić ten czyn. Tell jednak ani myślał mnie słuchać. Założył nową strzałę i znowu wypuścił ją w stronę kłusowników. Przytailiśmy oddechy w piersiach, czekając, czy na nie rozlegnie się jakiś okrzyk. Ale wciąż trwała cisza tylko pojękiwały dulki wioseł. Łódka z kłusownikami powoli rozplywała się w ciemnościach zalegających rzekę.

- Nie trafiłeś - stwierdził Sokole Oko, Wilhelm Tell zachichotał złośliwie.

- A właśnie, że trafiłem. Bo ja nie strzelałem do kłusowników. Celowałem w gumowy ponton. I na pewno go trafiłem. Teraz z pontonu wychodzi powietrze, on zatoni, zanim zdążą to zauważyć.

Czekaliśmy.

Nie było już widać ani łódki, ani pontonu. Nagle usłyszeliśmy gniewne głosy rozlegające się gdzieś na środku rzeki. Ustał jękliwy zgrzyt dulek, ktoś coś wołał głośno, ktoś kogoś łajał.

- Zatonął ponton. Zatonął - Wilhelm Tell tańczył na brzegu Wisły. Również i pozostali chłopcy poczęli radośnie podskakiwać, wymachując rękami.

- Zatonęła im broń... Zatonęły im potrzaski... - powtarzali harcerze, upajając się świadomością szkody, jaką wyrządzili kłusownikom.

Jeszcze jakiś czas z ciemności zalegającej rzekę dochodziły do nas głośne przekleństwa. Potem nastąpiła cisza....

ROZDZIAŁ DWUNASTY

PODEJRZENIA ZALICZKI – ANONIMOWY LIST – CZY PAN JEST NAPRAWDĘ DETEKTYWEM? – RYBY PANA KAROLA – RODOWÓD CZŁOWIEKA – PRACZŁOWIEK, CZYLI PITHECANTHROPUS – OBÓZ HARCERZY I PUŁAPKA NA KŁUSOWNIKOW – WYPRAWA DO SKAŁBANY – GDZIE ZNIKNAŁ RYBAK? – CZASZKA ZE STARYCH BUNKRÓW – TRWOGA PANI PILARCZYKOWEJ

Nazajutrz była niedziela i na wykopach antropologicznych przerwano prace. A ponieważ pogoda zapowiadała się słoneczna, studenci powyciągali z namiotów gumowe materace do spania, rozłożyli je na bzegu Wisły i zaczęli się opalać. Tylko pan Opałko w milczeniu pracował od wczesnego rana modelując na drewnianym postumencie czaszkę przyniesioną z lasu przez harcerzy.

Przygotowując śniadanie przed namiotem, miałem przed oczami cały obóz ekspedycji. Zauważyłem, że namiocik pana Karola ciągle jest zamknięty, co było chyba znakiem, że jego gospodarz jeszcze zażywa snu. Obok namiotu pana Karola kręciła się Zaliczka - ubrana odświętnie, ze starannie uplecionymi warkoczykami. Wydawać się mogło, że Zaliczkę niecierpliwi tak długi sen pana Karola, ale zapewne nie śmiała mu przerywać.

Nastawiłem radio w „samie” i gotując wodę na herbatę słuchałem porannego koncertu. Muzyka przywabiła Zaliczkę.

- Przyszłam posłuchać muzyki - wyjaśniła, siadając na trawie przed namiotem - choć wcale nie jestem pewna, czy jest to roztropny postępek.

- O Boże - westchnąłem - czymże się pani naraziłem?

- Pominę fakt, że obiecał mnie pan przewieźć swym dziwnym autem i że nie dotrzymał pan przyrzeczenia.

- Możemy przejechać się natychmiast...

- Ach, nie zależy mi już na tym - wzruszyła ramionami. - W międzyczasie porobił pan tutaj dziwaczne znajomości i przestał mi się pan wydawać romantycznym.

Te „dziwaczne znajomości” to była oczywiście Hania. Ale Zaliczka nie dopuściła do żadnych wyjaśnień z mej strony.

- Pańskie zachowanie jest niezwykle podejrzane - palnęła prosto z mostu. - Aż zastanawiające, że dotąd sama nie zwróciłam na to uwagi.

- Innymi słowy, dopiero ktoś zwrócił pani uwagę, że moje zachowanie jest podejrzanе. Czy mógłbym wiedzieć, któż to taki otworzył pani oczy?

- Pan Karol. O, mam do niego pełne zaufanie - dodała szybko. - On jest detektywem.

- Powiedział pani, że jest detektywem?

- Nie. Ale dał mi to do zrozumienia.

- Detektywem? - z niedowierzaniem pokręciłem głową. - A po co by miał tu przyjeżdżać detektyw?

- To pan nic nie wie, nic pan nie słyszał? - zdumiała się Zaliczka. - Nie słyszał pan nigdy o ukrytych zbiorach dziedzica Dunina, o gajowym Gabryszczaku, o bandzie Barabasa?

- Słyszałem. Ale jakoś mi się nie chciało wierzyć, aby zbiory dziedzica Dunina spoczywały tu jeszcze w ukryciu. Uważam, że to tylko legenda.

- Nie, to nie legenda. Na wiosnę, gdy odkryto szkielety podczas budowy kanalizacji do dawnego pałacu Dunina, miejscowe władze zawiadomiły o znalezisku Zakład Antropologii. I przyjechał tu nasz profesor, żeby zbadać sprawę na miejscu. Profesor roz-mawiał tu w miasteczku z wieloma ludźmi, próbując ustalić, gdzie przed laty znajdowały się w tej okolicy stare cmentarze. W trzy dni po jego powrocie do zakładu, przyszedł do profesora list pisany przy pomocy liter wyciętych z gazety, a w liście tym ktoś anonimowy, ale pochodzący z Antoninowa, pytał profesora, czy nie zechciałby kupić kilkudziesięciu sztuk starej broni oraz innych starych rzeczy. W tym liście szczegółowo wymieniono listą tych przedmiotów i wprawdzie nieudolnie i niefachowo, ale próbowano je opisać. Przekazaliśmy ów list do muzeum w naszym mieście. Kustosz muzeum natychmiast wyruszył do miasteczka i wówczas dowiedział się o ukrytych zbiorach dziedzica Dunina. Ale zapewne to jego dowiadywanie się nie było dość dyskretne, skoro ten ktoś, kto chciał sprzedać owe zbiory, nie zgłosił się powtórnie do naszego profesora i nie napisał więcej innego listu, choć w pierwszym zapowiadał, że to zrobi i poda swój adres. Innymi słowy: spłoszono ptaszka. Wtedy kustosz postanowił przekazać tę sprawę w ręce pewnego dziennikarza, który ma żyłkę cdetektywistyczną.

- I ów detektyw przyjechał - powiedziałem. - Jest nim pan Karol.

- A właśnie - tryumfująco uśmiechnęła się Zaliczka.- Teraz już pan wie, po co jest tu potrzebny

- Owszem, ale nie wiem, dlaczego tę sprawę opowiedziała pani właśnie mnie, człdwiękowi, bądź co podejrzanemu?

- Ach, Boże - przeraziła się Zaliczka. - Rzeczywiście postąpiłam bardzo nieroztropnie. Nigdy sobie tego nie wybaczę.

Po chwili spojrzała na mnie błagalnie.

- A czy pan naprawdę jest podejrzany? „O naiwna, okropnie naiwna Zaliczko” - pomyślałem. Głośno zaś rzekłem:

- Pan Karol chyba dość wyraźnie mówił pani o tym.

- On tylko zwrócił moją uwagę, że pana zachowanie jest podejrzane, bo nie wiadomo, w jakim celu kręci się pan po tej okolicy. Nie łowi pan ryb ani nie kąpie się pan w rzece. Jednym słowem, wcale nie przyjechał pan tu na wypoczynek, lecz w jakichś podejrzanych celach.

- Tylko tyle? - zaśmiałem się ironicznie. - A czy nic pani nie mówi fakt, że najpierw zbudowałem swój obóz w miejscu, gdzie kiedyś stała gajówka Gabryszczaka zabitego przez bandę? A czy wiadomo pani, że potem przenieśliśmy swój namiot na Wyspę Złoczyńców, gdzie zginęła banda Barabasa? Nie powiedziano pani, iż posiadam bardzo tajemniczy plan tej okolicy?

- Więc... pan naprawdę jest podejrzany?

Lekceważąco machnąłem ręką.

- Czy opowiadałbym to pani, gdybym rzeczywiście był wmieszany w jakąś podejrzaną historię? Kręcę się po tej okolicy. No tak. Ale zamiast „kręci się” wystarczy użyć słowa „spaceruje”, a moje zachowanie zaraz będzie wyglądało inaczej. Jestem na urlopie i odbywam spacer po lesie i okolicy. Pani by chyba tak samo czyniła, będąc tu na wypoczynku? Oświadczam, że pan Karol jest stokroć bardziej podejrzany ode mnie. Niby to chodzi ciągle na ryby a czy złowił choć jedną?

- On tylko udaje, że łowi, bo jest detektywem. Udajc, że łowi, a naprawdę to on przez lornetkę obserwuje okolicę.

- Ach, tak?...

- Nie było go prawie przez całą noc. Zapewne kogoś śledził. Może już wpadł na trop człowieka, który naszemu profesorowi proponował sprzedaż zbiorów dziedzica Dunina?

- Może - przytaknąłem.

Nie zamierzałem Zaliczki wtajemniczać w swoje sprawy ani przekonywać jej, że pan Karol jest w rzeczywistości stokroć bardziej podejrzany ode mnie. Zaliczka była naiwna jak dziecko. Nie przeszkadzało to wcale, że w dziedzinie jej najbliższej, to znaczy: antropologii, można ją było uważać za bardzo „uczoną białogłową”. Nie tylko wiele wiedziała, ale także umiała ładnie przekazywać swoje wiadomości.

Tego dnia znowu mogłem się o tym przekonać, gdy nadszedł Wilhelm Tell i Borówka.

- Zorganizowaliśmy zasadzkę na kłusowników - wyjaśnił Tell - Sokole Oko i reszta naszego zastępu zaczęli się w lesie i obserwują sidła zastawione przez kłusowników. Wieczorem ja i Borówka ich złuzujemy. Teraz, w południe, nie ma chyba nadziei, żeby zjawili się kłusownicy, ale wieczorem może być gorąco, prawda? Powiedzieliśmy naszemu drużynowemu o wczorajszym spotkaniu z kłusownikami, musieliśmy przecież wytłumaczyć się z tak późnego powrotu do obozu. I gdy ktoś z nas da znać, że kłusownicy są w pobliżu, w obozie ogłoszą alarm. Jeśli pan usłyszy ostry alarmujący głos trąbki, proszę biec nam na pomoc. Spróbujemy schwycić kłusowników. Teraz, gdy utopiliśmy im broń, nie są chyba niebezpieczni.

- Mam nadzieję - powiedziałem - że wasz drużynowy zawiadomił milicję o siódmach rozstawionych w lesie. Mimo wszystko jesteście przecież tylko młodymi chłopcami i wcale mi słu nie wydaje słuszne, abyście narażali się na jakiegokolwiek niebezpieczeństwo. Ci kłusownicy to, zdaje się, ludzie zdecydowani na najgorsze.

- Owszem. Milicja jest powiadomiona - kiwnął głową Wilhelm Tell.

Ale moje słowa zapewne uraziły ich dumę, bo zaprzestali ze mną rozmowy. Poprosili Zaliczkę, żeby wyrysowała im „drzewo rodowe” człowieka, o którym im wczoraj opowiadała. Okazało się bowiem, że gdy wrócili do obozu i chcieli innym chłopcom wytłumaczyć, jak wygląda sprawa pochodzenia człowieka, zamiast „drzewa rodowego” wyrysowali „grzyb rodo wy”, jak osądzili, nie bez złośliwości, koledzy.

Zaliczka wzięła do ręki cienki patyczek i poczęła kreślić na piasku coś w rodzaju grubego pnia drzewa.

- Ten pień - rozpoczęła - to *dryopithecus*, czyli pramałpa człekokształtna. Był to dziwny stwór, trochę przypominający małpę, a trochę człowieka. Żył on na dużych połaciach ziemi i chyba w dość odmiennych warunkach, skoro te właśnie odmiennie warunki bytowania spowodowały w ciągu tysięcy lat, że *dryopithecus* począł się różnicować. Tak więc na przykład *dryopitheki* żyjące w chłodniejszym klimacie stawały się inne niż te, które żyły w cieplejszym. Prawdopodobnie najwcześniej od tego wspólnego pnia oddzieliły się gibbony, bardzo śmiesznie wyglądające małpki. Rysuję oto gałązkę wystrzelającą z prawej strony grubego pnia... Potem, równocześnie, wyrastają z prawej strony pnia dwie nowe gałązki - to małpy człekokształtne: goryl, szympan, orangutang. Ale i z lewej strony pnia wyrasta gruba gałąź - to *australopithecus*, czyli przedczłowiek, pierwsze ogniwo w łańcuchu ewolucji człowieka.

- Jak wyglądał przedczłowiek? - dopytywał się Tell.

- Najprawdopodobniej wzrost jego sięgał około 130 centymetrów. Miał budowę ciała

zbliżoną do człowieka, był istotą ruchliwą i zwinną, która chodziła i biegała wyłącznie na dwóch nogach. Jego pożywienie stanowiły kraby, jaszczurki, pawiany, a nawet zwierzęta kopytne. *Australopithecus* miał mózg chyba znacznie większy niż współczesne nam małpy człekokształtne. Z czasem *australopithecus* przekształcił się w istotę zwaną *pithecanthropus*, czyli pracłowiek. Na podstawie wykopanych szczątków kostnych można się domyślać, że była to istota mająca wzrostu około 170 cm, lekka, wysmukła, z czaszką o niskim, wybitnie pochylonym ku tyłowi czole. Po raz pierwszy szczątki *pithecanthropusa* odkryto na Jawie. Potem nastąpiły inne znaleziska. Pracłowiek żył więc w Europie, jego szczątki odkryto w Heidelbergu, zamieszkiwał wschodnią i południowo-wschodnią Azję i Afrykę. Pracłowiek potrafił już wyrabiać - choć bardzo prymitywne — narzędzia i używał ognia.

Jako trzecie stadium rozwoju człowieka występuje człowiek pierwotny, czyli *homo neandertalensis* albo jeszcze inaczej: neandertalczyk. Był to osobnik małego wzrostu, ale o bardzo masywnej budowie. Głowę miał dużą o kształcie wydłużonym, twarz długą z silnie rozwiniętą zuchwą. Nie był więc piękny w naszym pojęciu, prawda? Miał za to znacznie lepiej rozwinięte cechy specyficznie ludzkie - na przykład: duży rozwój mózgu - i znacznie lepiej obrabiał swoje kamienne narzędzia niż *pithecanthropus*.

A oto człowiek rozumny, czyli *homo sapiens*. Za pierwszego przedstawiciela tego gatunku uważa się tak zwanego „kromanionczyka”, czyli człowieka z jaskini Cró-Magnon we Francji, gdzie po raz pierwszy odnaleziono jego szczątki kostne. Był ten nasz protoplasta bardzo do nas podobny. Nawet wśród współczesnych ludzi spotyka się przedstawicieli rasy kromanionoidalnej. Miał wzrostu około 180 cm, budowa ciała mówiła o jego dużej sile. Głowę miał długą, sklepienie czaszki wyniosłe, twarz szeroką, nos dość długi i niezbyt szeroki.

W ten sposób dobrnęliśmy do nas samych przedstawicieli ludzi współczesnych. Lecz spójrzcie, jak bardzo każdy z nas się różni.

- Niech pani opowie o nas samych - prosił Borówka.

Ale Zaliczka miała dość wykładu. A miała dość dlatego, że, jak zauważyłem, pan Karol właśnie wyszedł ze swego namiotu. Podbiegła do niego i zalotnie przechylając główkę z warkoczykami spytała:

- A więc wyspał się pan, śpiochu? Teraz pewnie pan coś przekąsi i wybierzemy się razem na spacer do miasteczka. Odwiedzimy kawiarnię, pokażę panu kościół, rynek...

- Nie - nieuprzejmie burknął pan Karol. - Idę na ryby. Oczywiście rad bym coś przekąsić. Jeśli zostały w kuchni resztki śniadania, chętnie z nich skorzystam. Gdybym jeszcze mógł dostać z pół bochenka chleba i trochę masła, to zabrałbym z sobą, bo nad rzeką

bardzo się chce jeść.

- Znowu na ryby? - załamała ręce Zaliczka. - Całą noc pan je łowił.

- Trudno - wzruszył ramionami pan Karol. - Taka jest moja dola. Najgorsze jednak, że ryby nie chcą brać.

- To może ja z panem pójdę na ryby - zaofiarowała się Zaliczka. - Jestem pewna, że przyniosę panu szczęście.

- O nie! Co to, to nie - prędko odpowiedział pmi Karol. - Rozmowa przeszkadza w łowieniu, odstrasza ryby. A w pani towarzystwie nie potrafiłbym milczeć. Poza tym lubię łowić ryby samotnie.

Zaliczka była bardzo zmartwiona. Pomyślałem, że teraz zapewne na mnie skieruje swoje zainteresowanie, skoro pan Karol obszedł się z nią tak niezyczliwie. Ja zaś nie chciałem, aby Zaliczka obdarowała mnie swym towarzystwem tylko dlatego, że ktoś inny nim wzgardził. Pośpiesznie więc zapuściłem motor „sama”.

- My z panem! My z panem! - zawołali Wilhelm Tell i Borówka. I obydwaj usadowili się w moim wozie.

- Podwożę was do obozu — powiedziałem.

Skierowałem „sama” na leśną drogę. Wjeżdżając do lasu rzuciłem spojrzenie na obóz antropologów. Samotna Zaliczka smutnie spoglądała to w stronę pana Karola, przygotowującego wędkę, to na nas, znikających w lesie.

Odstawiłem chłopców aż pod zbudowaną z brzozowych żerdzi wysoką bramę obozu harcerskiego. Był on dość rozległy, rozłożony w pobliżu Wisły, na polanie leśnej - dwadzieścia wielkich harcerskich namiotów. Cały obóz ogradzało coś w rodzaju płotka z gałęzi i chrustu, a przed bramą stało na warcie dwóch harcerzy uzbrojonych w drewniane tyczki. Na środku obozu spostrzegłem kwadratowy plac do zbiórek, tam także sterczał w górę wysoki maszt, na który była wciągnięta chorągiew.

Oboz był pusty. Jak wyjaśnił mi Tell - harcerze znajdowali się na plaży nad rzeką. Pod okiem instruktorów wolno im było się kąpać w małej odnodze rzecznej w pobliżu Wyspy Złoczyńców.

- Czy na długo pan wyjeżdża? — spytał mnie Tell.

- Nie. Jadę tylko na drugą stronę rzeki. Do rybaka nazwiskiem Skałbana.

- Jeśli usłyszysz pan ostry, gwałtowny głos trąbki sygnalizacyjnej w naszym obozie - przypomniał mi Tell - proszę biec do lasu aż za bunkry. Tam właśnie kłusownicy rozstawili żelazne pułapki na zwierzynę. Tam także zaczęli się na kłusowników nasi wywiadowcy.

Kiwnąłem głową, że zachowam się właśnie tak, jak mi radził. I pojechałem - najpierw

do zakrętu z pochyłym krzyżem, a potem w stronę rzeki, gdzie wczoraj wieczorem Wilhelm Tell przestrzelił ponton kłusowników.

Po drodze spotkałem Hanę.

- Właśnie szłam do pana - oświadczyła mi, gdy zatrzymałem samochód. - Myślałam, że, być może, zdecyduje się pan na ponowną podróż do Ciechocinka?

- Dziś wybieram się do obywatela Skałbany.

- O Boże, cóż to za interesy łączą pana z tym zbrojcem? Przecież Skałbana wyrażał się o panu: „podejrzany osobnik, który kręci się tu nie wiadomo dlaczego”. A teraz przyjaźń między wami?

- Skałbana sprzedał mi szczupaka. Był tak uprzejmy, że nawet oskrobał go i wypatroszył. Przypuszcza, że mnie bardzo interesuje historia bandy Barabasza. Zaproponował więc, abym go odwiedził, to mi ją opowie.

- To nie do wiary - powiedziała Hanka. - Znam Skałbanę od bardzo dawna, pamiętam go jeszcze z czasów mego dzieciństwa. Zawsze był uważany za człowieka nieżyczliwego, niemiłego, gburowatego. Dzieci bały się go, ponieważ ciągle je straszył, że wrzuci je do wody i utopi. Ojciec opowiadał mi, że Skałbana jest synem znanego w tej okolicy przemysłowika

I ma „żyłkę” do ciemnych interesów. Po pijanemu niejedną zrobił tu awanturę i niejednego człowieka pobił. Ostatnio mało pije i nie robi awantur. Ale w ogóle to człowiek ponury i niechętny jakimkolwiek rozmowom. A tu masz, szczupaka panu sprzedał i jeszcze oczyścił...

- I zaprosił mnie na pogawędkę o Barabaszu - dorzuciłem.

- Zdziwiałe - kręciła głową Hanka. - Gdybym dowiedziała się, że to właśnie Skałbana poluje w lesie na zwierzynę, nie zdziwiłabym się. Ale że zaprosił pana na rozmowę... No, no, no... Zaskarbił pan sobie jego łaski - dodała ironicznie.

- Podejrzewa pani, że to jakaś pułapka.

- Nie wiem, ale radzę być ostrożnym. O Barabaszu może on rzeczywiście sporo wiedzieć, bo choć sam nie był w bandzie, to przecież mieszka po drugiej stronie rzeki, jest rybakiem i niejedno prawdopodobnie zaobserwował. To dziwne jednak, że ten ponury i skryty człowiek nagle chce na ten temat mówić z dziennikarzem, ba, zaprasza dziennikarza na rozmowę...

- A może zechce mi pani towarzyszyć? - zaproponowałem.

- Dobrze - odrzekła. - Podjedziemy pod mój dom, zostawi pan auto na podwórzu, a ja przewiozę pana łódką na drugą stronę rzeki.

- Łódką? Ja zamierzam jechać do Skałbany swoim samochodem.

Nic się nie odezwała. Myślała, że żartuję. A ja ruszyłem autem wprost do miejsca, gdzie piaszczysta droga stykała się z brzegiem Wisły. Gdy przednimi kołami wjechałem w wodę, dziewczyna rzekła:

- Pan jest wariatem. Najlepiej będzie, jeśli wysiądę póki czas, bo potem może być za późno.

- Jak pani uważa - wzruszyłem ramionami.

Hanka popatrzyła na rzekę, w tym miejscu rozlewającą się bardzo szeroko, potem spojrzała na mnie, zerknęła ku drugiemu brzegowi. Woda w Wiśle była mętna, aż brązowa od niesionego przez nią mułu. Na wierzchu tu i ówdzie widać było płyty białej piany.

- Wisła wzbiera - ostrzegła mnie Hanka. - W górach od trzech tygodni padają ulewne deszcze. W radiu rano podawali, że pierwsza wysoka fala dojdzie dziś do Ciechocinka.

Powiedziawszy to miała zapewne nadzieję, że zmienię swój wariacki zamysł przejechania autem Wisły. Lecz ja puściłem w ruch skrzydełka turbiny. „Sam” wolniutko osiadał na powierzchni wody.

- Och - pisnęła Hanka, gdy przód wozu nieco głębiej zanurzył się w rzece. W tej chwili zdecydowana była wyskoczyć z auta i nawet chwyciła za klamkę. Lecz „sam” znajdował się już o kilka metrów od brzegu i śmiesznie warcząc: „par-par-par-par” walczył z nurtem rzeki, który chciał go porwać. Pozwoliłem, aby woda nieco poniosła samochód ku środkowi rzeki. Teraz gwałtownie skręciłem sterem i ustawiłem „sama” przodem do nurtu. Zwiększyłem obroty silnika i oto mój wehikuł z łatwością pokonywał silny prąd Wisły.

- On jest wspaniały - powiedziała Hanka o samochodzie wuja Gromiły.

Łaskawie skinąłem głową na znak, że zgadzam się z tym sądem. Komplement Hanki uznałem za oczywisty.

Powoli zbliżyliśmy się do drugiego brzegu. Zarastała go szeroka połać wikliny, za którą był nasyp przeciwpowodziowy.

- Gdzie mieszka Skalbana? - spytałem.

- Za nasypem. O, widzi pan ten czerwony dach? To właśnie tam. Proszę wyjechać autem na tę odrobinę piasku. Pozostawimy w tym miejscu pański samochód, a sami przespacerujemy się przez wał, aż do zagrody Skalbany.

Tak zrobiliśmy. „Sam” osiadł na nabrzeżnym piasku, a ja i Hanka wdrapaliśmy się na wał przeciwpowodziowy. Za wałem biegła droga wysadzana wierzbami, a po drugiej stronie drogi rozciągała się wioska. Zagroda Skalbany znajdowała się na samym początku wsi. Był to mały dom o dwóch oknach, złożony zapewne z kuchni i pokoju. Małe podwórko oddzielało go od obórki, obok stała buda. Na grubym łańcuchu wściekle szarpał się i ujadał duży kundel.

Drzwi od domu zastaliśmy zamknięte, na skoblu wisiała kłódka.

- Nie ma go - stwierdziła Hanka.

Pies ciągle szarpał się na łańcuchu i głośno ujadł. Jego szczekanie przywołało do nas jakąś kobietę. Wyszła z opłotków sąsiedniej zagrody i szybkim krokiem podeszła do nas.

- Skałbany nie ma w domu - rzekła, obrzuciwszy nas badawczym spojrzeniem. - Od wczoraj go nie ma. Jego pies tak wył z głodu, że dziś rano zlitowałam się i przyniosłam mu jedzenie.

- Czy Skałbana nie mówił, dokąd wychodzi i kiedy wróci? - zapytałem.

- Nic nie mówił. Przecież, gdyby mi powiedział, że wyjeżdża, tobym sama wiedziała, że psa trzeba nakarmić. Zawsze mi mówił o swym wyjeździe i prosił, abym pamiętała o psie.

- Nie widziałam jego łódki na brzegu - wtrąciła Hanka.

- Właśnie łódką gdzieś popłynął. Tylko dziwne, że nie powiedział mi o tym...

Wróciliśmy na brzeg rzeki do „sama”, przeprawiliśmy się na drugą stronę wody. Tu pożegnałem Hankę i pojechałem do obozu.

Na półwyspie zajęty przez antropologów był tylko pan Opałko, który kończył dorabianie twarzy czaszce znalezionej przez Łuczników. Zainteresowała mnie ta robota, więc na chwilę zeszedłem na dół między namioty antropologów i przysiadłem na piasku. Głowa była już gotowa - bardzo blada, bo na wierzchu powleczona gipsem. Twarz płaska, trochę mongolska, szeroki nos i oczy osadzone głęboko w oczodołach, jak u Skałbany. Pan Opałko mrugnął do mnie porozumiewawczo, uśmiechnął się, przyniósł ze swego namiotu farby, domalował twarzy niebieskie oczy, zaróżowił usta i policzki, a bladość gipsu złagodził żółcią. Potem uśmiechnął się do mnie filuternie i przyniósł z namiotu swoją czapkę cyklistówkę. Nałożył ją na wyrzeźbioną głowę. Teraz robiła ona trochę makabryczne wrażenie - jakby głowę żywego człowieka ktoś osadził na drewnianym postumencie.

Od strony miasteczka przyczłapała pani Pilarczykowa.

- Ja do pana - powiedziała zwróciwszy się do mnie. - Niedziela dzisiaj, sklepik mam zamknięty, powiedziałam sobie: przejdę się na spacer w stronę lasu i przy sposobności zobaczę, jak się też panu wiedzie w naszych stronach. Dawno pan do mnie nie zaglądał. A piwo mam świeże, z nowego transportu.

Pan Opałko wyniósł z namiotu aparat fotograficzny i korzystając z południowego słońca począł robić zdjęcia swojej rzeźby. Pani Pilarczykowa zerknęła na twarz gipsowej twarzy i powiedziała:

- A tego cudaka to ja znam. Jesienią był w moim sklepie i niby to kupował piwo, ale

naprawdę to rozpytywał o wszystko, tak jak i pan, dobrodzieju.

Wzruszyłem ramionami.

- Co też pani wygaduje, pani Pilarczykowa. To jest tylko czaszka, której dorobiono twarz, rozumie pani?

Kiwnęła głową.

- Rozumieć, to ja wszystko rozumiem. Głupia nie jestem. Ale tego cudaka widziałam. Piwo pił u mnie i o różności mnie wypytywał. Mam dobrą pamięć, a jak ktoś mnie rozpytuje, to tym bardziej zapamięłam jego gębę.

- Głupstwa pani gada - rozzłościłem się. - To jest czaszka znaleziona w lesie, rozumie pani?

- Rozumiem. Tylko że, znaczy się, ja znam tę czaszkę.

- Co takiego? Zna pani tę czaszkę? Ależ tłumaczę pani, że w lesie, w starych bunkrach znaleziono szkielet ludzki, kości ludzkie, rozumie pani? I czaszkę tutaj przyniesiono, a ten pan dorobił tej czaszce twarz.

Pani Pilarczykowa wreszcie zrozumiała, o co mi chodzi. Aż ręce załamała pełna trwogi.

- To tego człowieka zabili w lesie? Boże drogi, to go zabili?

- Jakiego znowu człowieka?

- No tego, co pił u mnie piwo i rozpytywał o różne różności.

- Przecież wyjaśniam pani, że to nie może chodzić o tego samego człowieka. Ta czaszka należała chyba do jakiegoś żołnierza, który zginął w okopach podczas wojny.

- Tego człowieka to ja znam, z całą pewnością go pamiętam, był u mnie, pił piwo.

- Tak się tylko pani wydaje...

- Nie wydaje mi się, ale wiem na pewno. Zresztą, niech pan innych ludzi zapyta. On golił się u fryzjera w rynku, wiem o tym, bo później zgadałam się z fryzjerem. Dowiedziałam się, że u fryzjera też o różne różności rozpytywał.

Wzruszyłem ramionami.

- No dobra. Skończmy z tą historią. Pani, zdaje się, ma do mnie jakąś sprawę?

- Ja, jakąś sprawę? - zdumiała się pani Pilarczykowa. - Tak tylko przyszłam, żeby zobaczyć, jak pan sobie tutaj radzi, i o świeżym piwie chciałain panu powiedzieć.

- Aha - nagle jakby sobie przypomniała coś ważnego. Pochyliła się do mojego ucha: - A jeśli pan coś wie, to i ja coś wiem, moglibyśmy sobie powiedzieć z obopólną korzyścią.

- Co pani ma na myśli?

- No to, co pan wie. O tych rzeczach dziedzica Dunina.

- Eee, bajki - machnąłem ręką.

- Wcale nie bajki - rzekła i chwyciła mnie za rękę. - Te rzeczy leżały tu ukryte w jakiejś dziurze, ale zjawił się ktoś i przeniósł je nocą w inne miejsce. Kilka rzeczy po drodze zgubił.

- O tym to ja już wiem.

- Wie pan? A ja myślałam, że nowinę panu przekażę i że się czegoś w zamian za to od pana dowiem - rozczarowała się pani Pilarczykowa.

- Owszem, może mi pani powiedzieć coś bardzo ważnego - rzekłem ostrożnie. - Bardzo mi zależy na informacji, komu pani powiedziała o tym, że ja mam plan tej okolicy wyrysowany kolorowymi ołówkami.

- Nikomu nie powiedziałam. Jak Boga kocham, nikomu nie powiedziałam - przysięgała Pilarczykowa. - Mnie wszystko można powiedzieć, a ja nikomu nie zdradzę. Tyle tylko, że Skałbanie coś o pańskim planie napomknęłam.

Skałbanie? Ta informacja jakoś nie pasowała do moich podejrzeń. Nie uwierzyłem Pilarczykowej. Im bardziej gorąco przysięgała, tym mniej jej wierzyłem. Wreszcie tak ją to dotknęło, że burknęła mi „do widzenia” i pomaszerowała do domu.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

„ZA SIĘDMOMA PIECZĘCIAMI" – BANDYTA URGANOW – REWELACJA UCZONEGO TARASOWA – CZY MOŻNA ODTWORZYĆ TWARZ ZMARŁEGO? – UCZONY I DETEKTYWI – ANTROPOLOGIA W SŁUŻBIE MILICJI – CZYJĄ CZASZKĘ ZNALEZIONO W BUNKRZE? – ŁÓDKA SKAŁBANY – STRASZNA NOC – ZNOWU RUDA DZIEWCZYNA

Zaprosiłem pana Opałkę do swego namiotu, poczęstowałem go czekoladą i papierosami. A gdy na dobre rozgościł się, zapytałem go:

- Czy słyszał pan, co powiedziała pani Pilarczykowa, gdy zobaczyła wyrzeźbioną przez pana twarz?

Pan Opałko kiwnął głową, co miało znaczyć, że słyszał słowa pani Pilarczykowej.

- Czy nie sądzi pan, że to niezwykle zdarzenie? Pilarczykowa rozpoznała w odtworzonej przez pana twarzy kogoś, kto był jesienią w jej sklepiku.

Opałko pokręcił głową. Nie wiedziałem, co ma znaczyć to przeczenie: czy pan Opałko nic nie sądził o tej sprawie, czy też nie uważał tego faktu za niezwykle? Pytałem więc dalej:

- A może odtworzył pan rzeczywistą twarz znalezionej w lesie czaszki? Innymi słowy: może zrekonstruowana głowa jest podobna do prawdziwej?

Pan Opałko w milczeniu przytaknął. Raz, potem drugi raz i wreszcie kiwnął głową po raz trzeci, a miało to chyba znaczyć: pan Opałko jest bardzo głęboko przekonany, że odtworzył rzeczywistą twarz człowieka, którego czaszkę znalezione w lesie w starym bunkrze,

Popatrzyłem na niego z niedowierzaniem. Pojął moje spojrzenie. Opuścił namiot, lecz po chwili wrócił do mnie, niosąc otwartą książkę. Wręczył mi ją, co miało zapewne znaczyć, że chciał, abym ją przeczytał.

Była to rosyjska książka pod tytułem „Za siedmioma pieczęciami”. Zawierała zbiór reportaży archeologicznych i antropologicznych. Rozdział, który pan Opałko polecił mi przeczytać, był zatytułowany: „Człowiok i czaszka”.

Zostatem sam na sam z książką. Zabrałem się do czytania. A to, co przeczytałem, przytaczam w dużych skrótach:

... *W swoim czasie dużym powodzeniem cieszyła się powłóść drukowana w radzieckim*

czasopiśmie „Ogoniok”. Była to powieść o kryminalnej fabule i zawierała historię milicyjnych poszukiwań groźnego przestępcy nazwiskiem Urganow. Nagle przyszła wiadomość; bandyta Urganow zginął, zamarzł w tundrze. Milicjanci mieli jednak wątpliwości, czy wiadomość ta nie jest fałszywa albo czy nie stanowi ona jeszcze jednego zręcznego wybiegu chytrego zbrodniarza. Na północ, w kraj tundry, wyjechał więc kryminolog i przywiózł ze sobą czaszkę, będącą rzekomo czaszką ściganego przestępcy. Milicja, która była w posiadaniu zdjęć Urganowa, po wielu żmudnych dociekaniach doszła do wniosku, że nie jest to czaszka groźnego bandyty. Dla upewnienia się jednak w tym sądzie czaszkę posłano do uczonego Tarasowa, aby ten na jej podstawie wyrzeźbił portret zmarłego. I oto w miarę posuwania się pracy Tarasowa coraz dobitniej ujawniała się prawda — odnaleziony w tundrze zmarły nie był poszukiwanym bandytą Urganowem...

Sensacyjna powieść drukowana w popularnym tygodniku nie może być oczywiście źródłem dla naukowych wniosków. Wyobraźnia pisarzy jest bowiem niewyczerpana. Ale przecież nasuwa się przekonanie, że dla wielu uczonych, a szczególnie dla archeologów i antropologów, umiejętność, jaką posiadał uczony Tarasow, okazałaby się niezwykle przydatna, mogłaby oddać nauce nieocenione usługi. Wszak paleontolodzy od dawna już potrafią rekonstruować postacie zwierząt według odnajdywanych w ziemi szczątków kostnych. Słynny Curvier stwierdził, że wystarczy mu jeden ząb, aby mógł sobie wyobrazić i odtworzyć całą postać stworzenia, do którego ten ząb należał.

Wydawać by się mogło, że wobec tego nie ma nic prostszego, jak odtworzyć także wygląd człowieka. A jednak to jest niezwykle trudne. Przy rekonstrukcji wyglądu zwierzęcia zadowalamy się bowiem ogólnym, „typowym” podobieństwem, wystarczy, że uczony ulepi podobiznę krowy, nikomu nie przyjdzie na myśl żądać jeszcze od niego, aby była to konkretna „krasula” czy „siwula”. Co zaś tyczy podobizny człowieka, to ogromne znaczenie ma także odtworzenie rasy, ba, nawet rodzinnego podobieństwa. Gdyby bowiem profesor Tarasow zrekonstruował na podstawie danej mu czaszki człowieka jako takiego, to jego praca nie miałaby dla kryminologów żadnego znaczenia. Musiał on ulepić (i, zdaniem autorów, ulepił) podobiznę konkretnego człowieka, którego zidentyfikowanie potwierdziło domysły organów śledczych.

A jednak w „Ogonioku” (nr 21 z 1956 roku) znaleźć można informację o interesującym osiągnięciu adiunkta Wojskowej Akademii Medycznej W. P. Pietrowa, który odtworzył „model” twarzy zabitego (trup znajdował się w pełnym rozkładzie) tak wiernie, że umożliwiło to rozpoznanie ofiary przez matkę. Wynika więc z tego, że historia opowiedziana przez autorów powieści sensacyjnej nie była zmyślona. Co prawda W. P. Pietrow miał do

czynienia z całą głową - chociaż zniekształconą przez rozkład - a nie z samą czaszką, jak prof. Tarasow, lecz przecież dokonał tego, co najważniejsze: odtworzył rodzinne podobieństwo zmarłego.

Są podstawy, aby przypuszczać, że autorzy powieści sensacyjnej drukowanej w „Ogonioku” mieli jednak na myśli konkretnego uczonego i jego osiągnięcia naukowe, a mianowicie antropologa i rzeźbiarza Michaiła Gierasimowa. W obszerniej pracy, zatytułowanej „Rekonstrukcja twarzy według czaszki”, uczonego wyłożył podstawy swej teorii. Książka ta, licząca 600 stron, w 90 procentach składa się z tablic, wykresów i liczb, udowadniających, że na podstawie samej tylko czaszki można w sposób naukowy odtworzyć rzeczywisty portret zmarłego.

Ta ciekawa książka wzbudziła gwałtowne dyskusje. Trzeba bowiem zdawać sobie sprawę, że dotąd uczeni w ogóle nie ryzykowali podjęcia prób odtwarzania portretów ludzi według odnajdywanych szczątków kostnych. Jedyne próby, jakich dokonywano, i to z dobrym na ogół rezultatem, to identyfikowanie czaszki na podstawie istniejącego portretu człowieka.

W początkach ubiegłego wieku, w dwadzieścia jeden lat po śmieci Schillera, odkryto kryptę, gdzie był on pochowany. Znalaziono tam jednak aż dwadzieścia trzy szkielety. Który z nich należał do wielkiego niemieckiego poety? Jedną z czaszek porównano z pośmiertnym odlewem gipsowym twarzy Schillera, ale zdania uczonych w tej kwestii były podzielone. Spór trwał cztery lata. Dopiero po powtórnym otwarciu krypty grobowej odnaleziono czaszkę, której wymiary dokładnie zgadzały się z gipsową pośmiertną maską poety.

W podobny zresztą sposób rozpoznano szczątki wielu wybitnych osobistości, jak na przykład: Haydna, Bacha, Dantego, Goethego, Kanta i Cromwella.

Ale wszystkie te fakty nie mają wiele wspólnego z archeologią. Przed archeologami staje bowiem zawsze odwrotne zadanie: znajdują oni czaszkę w starym grobie i chcieliby odtworzyć portret zmarłego. Jak tego dokonać?

Już w XIX wieku usiłowano rozwiązać to trudne zadanie. Ówczesna antropologia rozróżniała różne typy czaszek. Stwierdzono na przykład, że czaszki Murzynów, Mongołów i Europejczyków bardzo różnią się od siebie, innymi słowy - anatomia głowy człowieka pozwala wnioskować, iż między układem kostnym czaszki a wyglądem twarzy człowieka na pewno istnieje jakaś prawidłowa współzależność.

Niektóre rysy twarzy rozpoznać można bardzo łatwo przy pierwszym rzucie oka na czaszkę. Oczywiście jest przecież, że wydłużonej czaszce odpowiadała wydłużona głowa. Czaszka Sokratesa nie mogła należeć do człowieka z niskim czołem, bo właśnie jej budowa wskazuje, że Sokrates miał czoło wysokie. Jeśli za życia dany osobnik miał wysunięte ku

przodowi zęby, to jasne jest, że i jego czaszka zachowa ten sam zgryz. Czyż można jednak według samych kości czaszki odtworzyć rysy twarzy zbudowane z tkanek miękkich i chrząstek? Car Paweł I miał niezwykle zadarty nos, wielu Habsburgów wyróżniało się okazałymi, mięsistymi nosami. Czy z tego powodu ich czaszki tak bardzo różnią się między sobą? A usta? Burboni słynęli ze swej mięsistej dolnej wargi, stanowiła ona bezsprzecznie cechę charakterystyczną całego ich rodu. Czy wynika z tego, iż na widok czaszki Burbona czy Habsburga każdy z nas od razu określi i wskaże, że ludzi tych cechowała mięsista dolna warga lub gruby, okazały nos ?

Problem był o tyle skomplikowany, że większość anatomów XIX i XX wieku zupełnie nie zajmowała się kwestią współzależności między budową czaszki a wyglądem twarzy człowieka. Niektórzy z anatomów w ogóle zaprzeczali możliwości istnienia podobnej współzależności. Dlatego najpierw musiano przeprowadzić ogromną pracę badawczą, aby obalić to przekonanie. I dopiero po wielu doświadczeniach można było stwierdzić, że określona budowa czaszki odpowłada określonej twarzy. Na przykład u człowieka z zadartym nosem występuje swoista kość nosowa, inna niż u człowieka z orlim nosem. Ale takie stwierdzenie jeszcze nie wystarczyło uczonym. Należało znaleźć współzależność między budową czaszki a układem mięśni i tkanek twarzy, trzeba było odkryć stały stosunek liczbowy między układem kości czaszki a budową i kształtem nosa, policzków, ust itd.

Dopóki nie rozwiązano tych problemów, wszelkie próby odtworzenia wyglądu człowieka według jego czaszki były zależne od przypadku. Jeśli nawet założymy, że podstawowe współzależności są nam znane, to pozostaje jednak konieczność znalezienia praktycznych rozwiązań - metody opracowania podobizny człowieka niegdyś żyjącego na podstawie budowy jego czaszki.

Dziś już można powiedzieć, że taka metoda istnieje. Wystarczy zapoznać się z książką Gierasimowa, pilnie śledzić jego doświadczenia. Ale ciekawsza wydaje się inna droga: wpierw poznajmy wyniki tych doświadczeń, a potem cofnijmy się, aby - jeśli uznamy to za konieczne - zobaczyć, jakim sposobem doszedł do nich uczony.

Jest także zjawiskiem bardzo interesującym, że podobne wyniki osiągnięte zostały w dwóch tak różnych przecież dziedzinach nauki - w archeologii i kryminologii. Cel pracy naukowców tych dziedzin jest tak różny, ale rezultat okazał się jednakowy. Sięgnijmy więc do archiwów organów śledczych i do archiwów instytutów naukowych.

... Był rok 1940. Katedra Medycyny Sądowej w Moskwie przeprowadziła ciekawy eksperyment. W prosektorium instytutu dokonano sekcji nieboszczyków przysłanych z kostnicy; zmarli ci to ludzie, którzy zginęli w bliżej nie wyjaśnionych okolicznościach,

samotni, nierozpoznani. I dlatego też każdy z nieboszczyków najpierw został sfotografowany przed sekcją, dokładna bowiem sekcja zwłok najczęściej zniekształca trupa. We wspomnianym wypadku zachowano czaszki nieboszczyków, na których dokonano sekcji, i czaszki te wysłano do Leningradu, do pracowni uczonego Gierasimowa, któremu zaproponowano odtworzenie twarzy tych nieżyjących ludzi. Oczywiście jest, że fotografie i opisy zmarłych pozostały w Moskwie, zamknięte w kasie pancemej.

Gierasimow dokonał pracy odtworzenia twarzy. Na trzech konferencjach naukowych rzeźbiarz-antropolog zademonstrował ulepione przez siebie głowy i we wszystkich dwunastu wypadkach sędziowie musieli stwierdzić, że uczonemu udało się odtworzyć twarze ludzi, których czaszki mu przysłano. Gierasimow nie wiedząc zupełnie, do kogo należą przysłane mu szczątki, odtworzył Chińczyka według czaszki Chińczyka, twarz kobiety według czaszki kobiety itd., itd. Czyż należy się dziwić, że uczeni antropologowie, etnografowie i archeologowie odnieśli się do badań Gierasimowa z wielkim zainieresowaniem?

Kilka następnych prac Gierasimowa udowodniło niezbicie, że rekonstrukcja twarzy według czaszki jest możliwa. Ale czy metody stosowane przy odtwarzaniu twarzy ludzi współczesnych okażą się tak samo przydatne, na przykład, przy odtwarzaniu twarzy ludzi sprzed wieków? Czyż zależność między budową czaszki a tkankami miękkimi jest czymś niezmiennym? A może każda rasa, ba, każda epoka posiada swoje niepowtarzalne prawidłowości?

Należało więc udowodnić uniwersalność teorii o rekonstrukcji twarzy. I przysłano Gierasimowowi czaszkę z Muzeum Antropologicznego w Moskwie, przy czym nie załączono żadnych danych, żadnych, choćby najbardziej skąpych, informacji. Poproszono tylko o rekonstrukcję twarzy.

W miarę posuwania się prac uczonego, który zastosował swoje poprzednie wzory i obliczenia, wyłoniła się twarz o grubych, wywiniętych wargach, o nisko osadzonych łukach brwiowych. Czyżby Abisyńczyk? Wreszcie praca została zakończona i wtedy uczonego bez trudu rozpoznał w wykonanej przez siebie rzeźbie - twarz Papuasa. Odtworzone zostały indywidualne, rasowe i etnograficzne rysy twarzy Papuasa. A więc jednak znaleziono prawa i proporcje, które uznać można za uniwersalne. A więc można już posługiwać się tą metodą przy pracy nad czaszkami współczesnymi i historycznymi.

Gierasimow odtworzył potem na podstawie przysłanych mu czaszek twarze wielu wybitnych postaci historycznych, jak na przykład Jarosława Mądrego, Titnura Tamerlana, odtworzył także twarze protoplastów człowieka współczesnego, a więc neandertalczyka, pitekanthropusa, człowieka z Cró-Magnon...

Skończyłem czytanie rozdziału w książce „Za siedmioma pieczęciami”. Był już wieczór, z obozu antropologów dochodził gwar głosów, to zapewne Zaliczka i jej koledzy powrócili z miasteczka albo ze spaceru po lesie.

Zapaliłem papierosa i leżąc w namiocie zastanawiałem się:

„Pan Opałko zrekonstruował twarz czaszki ludzkiej, odnalezionej przez harcerzy w starym bunkrze. Jest więc bardzo prawdopodobne, że udało mu się odtworzyć indywidualne rysy zmarłego człowieka, innymi słowy, twarz zrekonstruowana przez pana Opałkę jest bardzo podobna, a może nawet identyczna z rzeczywistą twarzą nieboszczyka”.

I dalej wnioskowałem:

„Pilarczykowa rozpoznała w rekonstrukcji dokonanej przez pana Opałkę twarz człowieka, który był w jej sklepie ubiegłej jesieni. Pani Pilarczykowa jest głęboko przekonana, że twarz odtworzona przez pana Opałkę jest twarzą człowieka, z którym wtedy rozmawiała. Czyż więc nie wydaje się prawdopodobne, że czaszka znaleziona w starym bunkrze jest czaszką człowieka, który jesienią ubiegłego roku spacerował po miasteczku?”

Wyznaję, że aż gorąco mi się zrobiło. Uświadomiłem sobie, że przecież nasze przekonanie, iż czaszka ta pochodzi z czasów wojny i należy do zabitego żołnierza, wzięło się po prostu z faktu odnalezienia czaszki w starym bunkrze. Przypomniałem sobie ów bunkier, leżące w nim kości ludzkie i... mrówki, wielkie czerwone mrówki, które się tam na mnie rzuciły.

Przeszedł mnie dreszcz grozy i strachu. Pomyślałem: wystarczy, aby przez kilka miesięcy zwłoki leżały w sąsiedztwie ogromnego mrowiska, a mrówki tak je spreparują, że pozostanie szkielet, który będzie wyglądał tak, jakby znajdował się tam co najmniej kilkanaście lat.

Po tych rozmyślaniach uczyniło mi się duszno. Wyszedłem z namiotu, odetchnąłem chłodnym powietrzem wieczoru. Potem pomaszerowałem do obozu antropologów i zajrzałem do namiotu zajmowanego przez pana Opałkę. Poprosiłem rzeźbiarza-antropologa, aby na jutro zrobił kilkanaście odbitek zdjęcia zrekonstruowanej twarzy. Pan Opałko, zdaje się, domyślił się, o co mi chodzi. Mrugnął do mnie porozumiewawczo i kilkakrotnie kiwnął głową na znak, że odbitki będą na jutro gotowe.

W obozie antropologów przygotowywano się do kolacji. Przez uchylone płótno namiotu, który służył za jadalnię, widziałem młodych naukowców siedzących przy długim drewnianym stole. Oczekując na wieczerzę, pobrzękiwali łyżkami o blaszane talerze i rozmawiali głośno. Stwierdziłem, że na kolacji brakowało pana Karola.

Obok swego namiociku zastałem Hankę.

- Panie Tomaszu - powiedziała - na brzegu rzeki, w krzakach, znalazłam łódkę Skalbany.

- Czy to tam, gdzie wczoraj znajdowała się łódka kłusowników?

- Tak, to właśnie tam. Łódka jest wyciągnięta na brzeg, ma zupełnie suche dno, a więc znajduje się tam chyba od wczoraj. W łódce leżą wiosła.

- Chodźmy do niej - zdecydowałem.

Zagłębiliśmy się w las. Było w nim bardzo ciemno, znacznie mroczniej niż na otwartej przestrzeni, gdzie jeszcze pozostały resztki dnia.

Hanka prowadziła mnie wąską ścieżką, biegnącą wzdłuż rzeki.

- Pani Haniu - spytałem dziewczynę - kto i kiedy zbudował w lesie bunkry?

- Mogę panu powiedzieć dokładną datę. To było na wiosnę 1944 roku. Niemcy zaczęli je budować wtedy gdy Armia Czerwona wkroczyła zwycięsko na tereny Polski.

- Niemcy jednak, zdaje się, nie wykorzystali tych umocnień dla obrony?

- Nie zdążyli. Armia Radziecka przystąpiła do ofensywy bardzo gwałtownie i od razu w kilku miejscach. Niemcy bali się, że broniąc się tutaj, zostaną otoczeni. Dlatego opuścili ten teren bez jednego wystrzału. Wiem to od swego ojca, bo sama miałam wówczas dopiero trzy lata.

- Czy jest ktoś w okolicy, kto zna dokładnie wszystkie te umocnienia? — spytałem.

- Właśnie Skalbana - odrzekła Hanka. - Przy budowie budynków Niemcy posługiwali się jeńcami, ponieważ prawdopodobnie chcieli, aby system umocnień pozostał tajemnicą. Tych jeńców podobno potem rozstrzelali. Skalbana pomagał przy budowie, miał wówczas konia i wóz, dowoził cement ze stacji kolejowej. Opowiadają, że najlepiej w systemie bunkrów orientował się Barabasz, bo także, podobnie jak Skalbana, pomagał przy budowie. Potem tę swoją znajomość systemu umocnień potrafił wykorzystać dla ukrywania swej bandy. Ludzie mówią, że gdyby nie znalazł się z bandą na wyspie rzecznej, przenigdy nie zdołano by go osaczyć. Podobno bunkry mają po kilka pięter, ale trudno powiedzieć, ile w tym prawdy, a ile fantazji. Wielu było takich, co chciało zbadać tajemnicę bunkrów i odkryć ich podziemne piwnice, a przecież chyba nikomu się to nie udało.

- Nie wiadomo - powiedziałem. - Jeśli ktoś odkrył tajemnicę, to przypuszczam, że się tym nie chwalił.

„Jedno jest pewne - pomyślałem. - Skoro bunkry budowali hitlerowcy, dziedzic Dunin z całą pewnością nie ukrył w nich swych zbiorów. Miał prawo przypuszczać, że Niemcy będą się tu bronić, a tym samym bunkry narażone będą na ostrzał artylerii. Nie mogły więc stanowić kryjówek dla zbiorów”.

I rozmyślałem dalej:

„Na ścieżce do bunkrów odnaleziono niedawno zgubione przez kogoś rzeczy ze zbiorów dziedzica Dunina. Ludzie w miasteczku podejrzewają, że ktoś wyniósł cichaczem zbiory schowane w bunkrach, a ponieważ robił to sam i nocą, zgubił trochę cennych przedmiotów. Jeśli jednak założy się, że zbiory te nie znajdowały się w bunkrach, oczywistym się staje, że właśnie teraz się tam znajdują. Innymi słowy: nie jest prawdą, że ktoś je stamtąd wyniósł i wówczas zgubił kilka przedmiotów, ale że zgubił te przedmioty, gdy zbiory Dunina n i ó s ł do bunkrów”.

- O czym pan rozmyśla? - zagadnęła mnie Hanka.

- Zastanawiam się nad bardzo dziwną historią, której byłem dziś świadkiem - powiedziałem. - Harcerze znaleźli szkielet ludzki w jednym z bunkrów w lesie i przynieśli antropologom czaszkę. Pan Opałko, rzeźbiarz-antropolog, odtworzył twarz czaszki. Niech pani sobie wyobrazi, Pilarczykowa rozpoznała w niej twarz człowieka, który był jesienią w jej sklepie.

- To nieprawdopodobne - szepnęła Hanka.

- A jednak jakieś przeczucie mówi mi, że Pilarczykowa się nie omyliła. Czy nic pani nie wiadomo o jakimś człowieku, który w tej okolicy kręcił się jesienią ubiegłego roku i nagle zniknął? Został on zabity, a jego ciało spoczęło w starym bunkrze na pastwę mrówek.

Oczekiwałem, że Hanka zainteresuje się tą sprawą, a przynajmniej usłyszę od niej odpowiedź na moje pytanie. Ale ona milczała. Szła obok mnie ścieżką w lesie, jakby nie dosłyszała pytania.

- Dlaczego pani milczy?

Odpowiedź Hanki była gwałtowna i gniewna.

- Skąd mogę wiedzieć coś o człowieku, który kręcił się tu jesienią? Przecież nie ma mnie tutaj od października aż do czerwca. Studiuję w Warszawie, mówiłam panu o tym.

Zastanawiająca była gwałtowność, z jaką zareagowała na moje powtórne pytanie. Udałem jednak, że nie zwróciłem na to uwagi. Zresztą, znaleźliśmy się właśnie nad brzegiem rzeki, w tym samym miejscu, gdzie wczoraj Wilhelm Tell strzałą z kuszy przedziurawił ponton kłusowników.

Hanka poprowadziła mnie w krzaki wikliny aż nad samą wodę. Zaświeciłem latarkę elektryczną i zobaczyłem łódkę wyciągniętą na brzeg i pochyloną na lewy bok. W łódce leżały wiosła.

- Proszę spojrzeć tu na tabliczkę. To jest łódka Skałbany - wskazała mi dziewczyna.

Skierowałem strumień światła latarki najpierw na łódkę, potem ku rzece.

Po wodzie płynęły płaty piany, wirowały, rzeka szumiała groźnie.

- Wisła gwałtownie przybiera - stwierdziła Hanka. - Ojciec mówił mi, że dziś od godzin południowych woda podniosła się o pół metra.

- Może więc wciągniemy łódkę nieco wyżej? - zaproponowałem.

Zgodziła się. Poczuliśmy podciągać łódkę na dość stromy brzeg, narobiliśmy przy tym chyba sporo hałasu. Nagle koło nas pojawili się Sokole Oko i Borówka.

- Tkwimy tutaj w krzakach na brzegu jako czujka - wyjaśnił Sokole Oko. - Czekamy na przyjazd kłusowników, ale zapewne dziś już nie przyplyną, bo rzeka bardzo wezbrała.

Pomogli nam podciągnąć łódkę Skałbany na skraj lasu. Hanka poszła do domu, a ja jeszcze trochę posiedziałem z harcerzami, oczekując przyjazdu kłusowników. Wreszcie nadszedł drużynowy i kazał chłopcom wrócić do obozu. Na tę noc w zasadzce przy potrzaskach zasiedli gajowi z sąsiedniego lasu i dwaj funkcjonariusze milicji. Pożegnałem harcerzy i ruszyłem w powrotną drogę do swego namiotu.

Byłem jeszcze dość daleko, gdy doszła mych uszu głośna wrzawa podniesionych głosów. Wybiegłem z lasu i zobaczyłem scenę, która z początku wydała mi się bardzo komiczna. Oto do obozu antropologów wdarła się woda, Powoli i bezszelestnie wpłynęła do namiotów, wreszcie liznęła kogoś ze śpiących, Obudzony zerwał się z krzykiem, a wtedy obudzili się inni. Poczeli wyskakiwać ze śpiworów i oczywiście chlupnęli w wodę. Gdy nadszedłem, wszyscy obozowicze nawołując się wzajemnie biegali w pidżamach po całym obozie, wyciągali z namiotów przemoczone koce, materace, cały sprzęt obozowy i przenosili je na wzgórze. Ciemność nocna utrudniała tę akcję, raz po raz ktoś przewracał się o linki namiotowe i z pluskiem i wrzaskiem wpadał w wodę. Biedna Zaliczka chyba kilkakrotnie zażyła takiej kąpieli. W przemoczonej pidżamie i z rozwianym włosom, piszcząc cienko, biegała w kółko po całym obozie.

Na razie wszystko to było dość komiczne, bo woda w rzece nie podniosła się jeszcze zbyt wysoko. To, co znajdowało się w namiotach, można było uratować, a namioty przenieść na wyżej położone miejsce. Należało się jednak spodziewać, że za godzinę lub dwie Wisła stanie się bardziej groźna, jej nurt zdolny będzie porwać z sobą nie tylko sprzęt, ale i namioty. Zapaliłem reflektory „sama” i na pławiące się w wodzie namioty puściłem mocne światła. Zaraz się tam zrobiło widniej, a tym samym antropologowie przestali na siebie wpadać i przewracać się. Pan Opałko „odzyskał” mowę i zaczął komenderować studentami. Najpierw rozkazał systematycznie opróżnić namioty, a potem rozbierać je i przenieść na wzgórze obok mego obozu. Trwało to dokładnie do drugiej w nocy. Zaliczka i pani magister Alina przyrządziły herbaty na mojej maszynie spłrytusowej. Zebraliśmy się wszyscy pod

plóciennym dachem mojego namiotowego garażu.

- Wypędziliście mnie z półwyspu i oto zostaliście za to ukarani - nie mogłem się powstrzymać, aby nie dokuczyć studentom.

Zjawił się pan Karol, dźwigający wędkę w pokrowcu.

- Boże drogi, tu się działo coś strasznego - zawołał, - A ja najspokojniej w świecie łowiłem ryby.

- I nie zauważył pan, że woda przybiera? - zdziwił się pan Opałko. Ale Zaliczka, która bardzo lubiła Karola, natychmiast zgromiła rzeźbiarza.

— Miał pan prawo odzyskać głos w tragicznej dla nas sytuacji. Ale teraz w dalszym ciągu obowiązuje pana milczenie.

Tymczasem pan Karol począł biegać wokół namiotów i rzeczy obozowych, zgromadzonych na wzgórzu w jedną wielką, bezładną stertę. Rozpacział:

-- O Boże, pewnie mi wszystkie moje rzeczy poginęły. Pewnie się wszystkie moje rzeczy pomieszały z innymi...

Pani magister Alina ujęła się za rzeźbiarzem Opałką. Powiedziała, że, jej zdaniem, powinien odzyskać mowę, zakład był zbyt okrutny. Poza tym można uznać, że Opałko zapłacił już za przegraną wystarczająco długim milczeniem.

Zdecydowano głosować przez podniesienie ręki. Kto jest za tym, żeby pan Opałko odzyskał głos - miał podnieść rękę do góry. Zaświecono latarki elektryczne by obliczyć ilość podniesionych rąk, i wtedy okazało się, że oprócz antropologów i pana Karola ktoś jeszcze siedzi wśród nas pod dachem mego garażu.

- A pani kim jest? I co pani tu robi? – usłyszałem zdumiony głos Zaliczki.

- Jestem znajomą pana Tomasza - padła odpowiedź. Głos wydał mi się znajomy. To była Teresa, autostopowiczka, którą przedwczoraj spotkaliśmy w Ciechocinku u boku jej ciotki i pana z bródką.

- No jeśli tak, to prosimy panią bliżej maszynki ironicznie rzekła Zaliczka. — Dostanie pani kubek najgorętszej herbaty.

Zdumiała mnie ta niespodziewana wizyta rudej dziewczyny. Potem ogarnęła mnie złość. Jej postępowanie było co najmniej niestosowne. Spotkałem ją, gdy włączyła się po szosie ze zgrają chłopaków, którzy komuś ukradli kury. A teraz zapewne uciekła swej ciotce i nagle pojawiła się u mnie, u człowieka, którego dwa razy w życiu widziała.

Przecisnąłem się do niej przez gromadkę studentów i syknąłem dziewczynie do ucha:

- Jestem oburzony. Nie zapraszałem pani. Owszem, mogła mnie pani odwiedzić, ale w ciągu dnia, a nie po nocy. Czy pani nie rozumie, że tak nie powinna się zachowywać młoda

dziewczyna? Uciekła pani swojej ciotce, tak?

- Tak - kiwnęła głową. - Znudziło mi się w Ciechocinku.

- Rano odwiozę panią do ciotki.

Zaśmiała się.

- Figę z makiem. Do ciotki nie wrócę. Jeśli mnie pan stąd przepędzi, co najwyżej zabiorę się znowu autostopem.

Pomyślałem, że jeśli dziewczyna uprze się, to oczywiście nie zdołam zabrać jej do ciotki. Rozsądniej byłoby pozostawić ją w obozie antropologów, mogłaby mieszkać w namiocie z Zaliczką i pomagać przy wykopaliskach, za co otrzymałaby wyżywienie. A ja przywiózłbym tu ciotkę. Niech ona dziewczynę stąd zabierze.

O trzeciej nad ranem poczęło trochę świtać. O piątej zabraliśmy się do budowy nowego obozu antropologicznego. Stał on w najbliższym moim sąsiedztwie, na skraju lasu.

Głosowanie wykazało, że pan Opalko powinien dalej milczeć.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

„CZERWONA OBERŻA” – ZBÓJ BARABASZ I JEGO OFIARY – ŁAKOMY DRUCH PALKA – CO ODKRYŁ DRUCH PALKA – ROZMOWA Z KOMENDANTEM MILICJI – ŚMIERĆ NIKODEMA PLUTY – „ROMANTYCZNOŚĆ” – ZAPRASZAM ZALICZKĘ NA NIEBEZPIECZNĄ WYPRAWĘ – ZASADZKA NA CZARNY SAMOCHÓD

Od owej pamiętnej chwili, gdy Pilarczykowa w rekonstrukcji, zrobionej przez pana Opałkę, rozpoznała twarz człowieka, który odwiedził ją ubiegłej jesieni, towarzyszyło mi uczucie, że jestem na tropie jakiejś ponurej historii. Potem nie przespana noc, spowodowana wdarciami się wody do obozu antropologów, wprowadziła mnie w stan nerwowego podrażnienia, cały świat przedstawiał mi się w czarnych barwach.

Rankiem pobiegłem nad rzekę, gdzie znajdowała się łódka Skałbany, i stwierdziłem, że spoczywa ona tak, jak ją pozostawiliśmy. Znaczyło to, że Skałbana nie zjawił się po nią, a tym samym nie powrócił do domu. To wydawało się niepokojące, bo przecież Skałbana wiedział, że w jego zagrodzie jest nie nakarmiony pies, przywiązany łańcuchem do budy. Skałbanę musiało więc spotkać coś takiego, co uniemożliwiło mu powrót do domu. „Cóż takiego mogło mu się przydarzyć?” - zastanawiałem się. I nie potrafiłem odpędzić od siebie widoku szkieletu ludzkiego, leżącego w starym bunkrze w lesie.

Jednocześnie przypomniałem sobie słowa Hanki, że Skałbana to jeden z tych, którzy brali udział w budowie bunkrów, i że orientuje się on w nich lepiej od innych. „A właśnie do tych bunkrów przeniesiono zbiory dziedzica Dunina” - dodawałem w myślach. I w mej wyobraźni zrodziła się wizja Skałbany tropiącego tajemniczego osobnika, który ukrywał zbiory Dunina. Ów człowiek spostrzeżga tropiciela, napada na niego i zabija go. „Oto dlaczego łódka Skałbany ciągle spoczywa na brzegu rzeki, a jego pies szarpie się na łańcuchu, na próżno oczekując swego pana” - rozmyślałem ponuro.

W południe mój przykry nastrój jeszcze bardziej się pogłębił. Zaliczka i studenci Zakładu Antropologii wydobyli ze studni obok wzgórza nad rzeczką - dalsze dwa szkielety. A więc studnia kryła szczątki sześciu ludzi, którzy chyba nie zmarli naturalną śmiercią, skoro ciała ich zostały wrzucone do studni i zasypane ziemią oraz potłuczonymi skorupami glinianych garnków. „Czyżby tu także kiedyś wydarzyła się zbrodnia?” - zastanawialiśmy się,

oglądając szkielety i patrząc w głąb starej studni.

- „Czerwona oberża”. Tu była „Czerwona oberża” - powiedział jeden ze studentów.

Przypomniał mi się wyświetlany kiedyś na naszych ekranach film pt. „Czerwona oberża”. Film przedstawiał historię rodziny karczmarzy, którzy łupili i zabijali gości nocujących w ich karczmie. A ponieważ - jak opowiadali najstarsi mieszkańcy miasteczka - tutaj także mieściła się stara karczma, określenie „Czerwona oberża” było bardzo trafne.

Wiadomość o makabrycznym odkryciu, dokonany przez antropologów w starej studni, dość szybko rozeszła się po miasteczku i ściągnęła nad rzeczkę sporą ilość ciekawych. Do obozu antropologów przydreptał po południu emerytowany nauczyciel historii ze szkoły w Antoninowie. Był to mały, chudy staruszek z siwiuteńką głową i żółtą, pomarszczoną twarzą.

- To są ofiary Barabasza - rzekł nam staruszek-nauczyciel, kolejno dotykając palcem odnalezionych w studni szkieletów.

- Ależ szkielety te podobno pochodzą z końca siedemnastego wieku - zaproponowałem.

- A Barabasz to przecież niedawna historia.

- Ten powojenny Barabasz odziedziczył pseudonim po innym Barabaszu. Z siedemnastego wieku, powiadacie, pochodzą te szkielety?

- Z końca siedemnastego wieku - poprawiła Zaliczka.

- No właśnie - ucieszył się staruszek - wszystko zgadza się jak najdoskonalej. W starych aktach naszego magistratu zachował się wyrok w procesie, jaki toczył się przed sądem miejskim w 1695 roku. Niejaki Barabasz, przewoźnik przez Wisłę, został oskarżony o to, że zamiast przewieźć przez Wisłę kupca z Torunia, nazwiskiem Grosik, zabił go, a także zabił małżonkę jego i córkę jego, przywłaszczył sobie pieniądze należące do kupca, o czym doniósł władzom miejskim sługa Barabasza. Zbrodniczego przewoźnika osądzono, skazano na karę śmierci i głowę mu ucięto na rynku miejskim w obecności wielu świadków. Okazuje się jednak, że zabójstwo, za które go skazano, nie było jedyne. Inne ofiary Barabasza zostały wrzucone do studni i dopiero teraz, po przeszło trzystu latach, w całej okazałości ujawniła się zbrodnicza działalność przewoźnika Barabasza.

- A więc tu nie stała karczma, tylko dom przewoźnika?

- Dom przewoźnika mógł jednocześnie służyć jako karczma - wtrąciła Zaliczka. - Być może w tamtych czasach Wisła miała nieco szersze koryto i jej brzeg znajdował się właśnie przy pagórku, na którym zbudował sobie dom przewoźnik. Zapewne to był dom dość obszerny, w którym podróżni, którzy przybyli wieczorem, mogli przenocować, a dopiero nazajutrz przebywali rzekę. Korzystał z tej okazji Barabasz i zabijał samotnych a zamożnych

podróżnych, dopóki mu się noga nie powinęła i nie zdradził go sługa. Potem zaś koryto Wisły nieco się przesunęło i dawny dom przewoźnika począł służyć już tylko jako karczma, leżąca przy drodze do Wisły.

Powtórzyłem tę opowieść Łucznikom, gdy odwiedzili mnie po południu. Zapisali ją w swych notesach, aby po wakacjach móc się nią pochwalić kolegom szkolnym.

- Tak, to bardzo zagadkowa historia z tą starą studnią - powiedział Tell. - Zdaje się, że i my trafiliśmy na zagadkę.

- Nazwaliśmy ją „tajemnicą czarnego samochodu” - dodał Sokole Oko.

- Co takiego? - zdumiałem się. - Tajemnica czarnego samochodu?

- Dziś rano w naszym obozie harcerskim odbyła się narada wojenna w związku z organizowaniem zasadzki na kłusowników. Nasz komendant zaproponował wszystkim harcerzom, aby każdy z nich opowiedział, czy zdarzyło mu się zauważyć coś ciekawego, co go zaintrygowało albo wydało mu się podejrzane. Wszystkie te spostrzeżenia zebrane razem mogłyby się okazać pomocne w wykryciu siedziby kłusowników. Rozpoczęły się opowiadania, a było przy tym strasznie dużo śmiechu, bo okazało się, że każdy chciał się przed innymi popisać swoją spostrzegawczością i każdy tak siebie przedstawiał w opowiadaniu, jakby nieomal po kilka razy spotykał w lesie kłusowników,

Wszystkie te opowiadania były niewiele warte. Dopiero na końcu narady zabrał głos druh Palka, który w naszym obozie słynie z łakomstwa. Otóż druh Palka podczas swoich spacerów po lesie znalazł polankę porośniętą dzikimi malinami. Ten łakomczuch nikomu nie zwierzył się z odkrycia, ale co wieczór, jeśli tylko nie przydzielono mu jakiegoś obozowego obowiązku, wymykał się na ową polanę, żeby skosztować malin. Polana z malinami znajduje się niedaleko drogi z miasteczka do Wisły, tej drugiej drogi, która zatacza szeroki łuk. Krzaki malin, jak mówił druh Palka, porastają niewielki kopiec, zapewne stary bunkier. W tym miejscu kończą się wybudowane podczas wojny umocnienia. Palka spostrzegł, że w ostatnich dniach co wieczór drogą od miasteczka przyjeżdża wielkie czarne auto i zatrzymuje się obok maliniaka. Kierowca opuszcza wóz i udaje się na spacer w głąb lasu. Chłopiec nie śledził nigdy tajemniczego kierowcy, ponieważ, jak to się mówi, miał stracha, a sprawa wydawała mu się podejrzana. Ze swych podejrzeń zwierzył się dopiero dziś rano, i to po pewnym wahaniu, bo Palka zdaje sobie sprawę, że teraz i inni harcerze posmakują malin odnalezionych przez niego na leśnej polance,

- Tajemnica czarnego samochodu - powtórzyłem za Sokolim Okiem. - No cóż, może byśmy dziś wieczorem odwiedzili malinową polankę?

- Tak jest. Zgoda. Dziś wieczór odwiedzimy malinową polankę - krzyknęli chórem chłopcy.

- A ja z wami. Ja pójde z wami - nieoczekiwanie usłyszeliśmy głos Teresy.

Była zajęta rozmową z panem Karolem, ale zapewne doszedł jej uszu podniesiony głos Tella, który opowiadał o łakomym druhu Palce. Zbliżyła się do nas, gdy kończyliśmy rozmowę. Byłem rad, że nie dowiedziała się o czarnym samochodzie. Należał on chyba do pana Hertla, z którym dziewczyna zawarła znajomość w Ciechocinku. Któż mógł przewidzieć, jak się zachowa Teresa, gdy usłyszy, że mamy zamiar śledzić jej znajomego?

- Wyprawa na malinową polankę - powiedziałem dziewczynie - jest niebezpieczna.

- Tak jest. To niebezpieczna wyprawa - przyświadczyli druhowie, gdyż ten fakt bardzo podniósł ich we własnych oczach.

- A ja właśnie bardzo lubię niebezpieczne wyprawy - upierała się Teresa.

- Nie - uciałem krótko. - Decyzja już została podjęta. Żadnej dziewczyny z sobą nie zabieramy.

Teresa zrobiła nadąsaną minę i wzruszywszy ramionami powróciła na brzeg rzeki do pana Karola.

Umówiłem się z chłopcami, że spotkamy się o siódmej wieczorem koło krzyża, na rozstaju dróg, w lesie. A ponieważ do tego czasu pozostawało jeszcze ponad trzy godziny, harcerze pomaszerowali do swego obozu, a ja złożyłem wizytę panu Opałce.

Nocne wypadki opóźniły wykonanie odbitek fotograficznych zrekonstruowanej głowy. Zanim pan Opałko na nowym miejscu ułożył swoje rzeczy i zorganizował ciemnię fotograficzną, minęło pół dnia. Dopiero teraz z triumfem pokazał mi kilkanaście odbitek.

Nie były to zwykłe odbitki. Opałko wyretuszował tło, dorysował zrekonstruowanej czaszce to kapelusz, to czapkę, wymalował oczy, podkreślił usta, tak że fotografie przedstawiały teraz nie gipsową rekonstrukcję, ale jakby żywego człowieka w różnych nakryciach głowy. Wręczył mi te wszystkie fotografie. Potem otworzył notes, narysował w nim postać milicjanta i podpisał: „Komenda Powiatowa MO”. Skinąłem głową.

- Rozumiem. Pan uważa, że powinienem zanieść te zdjęcia milicji i poinformować tutejszą komendę o spostrzeżeniach, które zrobiła pani Pilarczykowa?

Pan Opałko klasnął radośnie w ręce, co miało znaczyć: „ależ tak, właśnie tak powinien pan postąpić”. Schowałem więc fotografie do kieszeni i wyprowadziłem z garażu swego „sama”. W dziesięć minut później parkowałem samochód na rynku, tuż przed piętrowym, otynkowanym na biało budynkiem Powiatowej Komendy MO.

Szczęśliwym trafem, mimo przedwieczornej pory, zastałem komendanta, kapitana Muchę. Był to wysoki, chudy mężczyzna lat czterdziestu, o bardzo długiej szyi i pociągłej twarzy. Rozmawiając, kapitan Mucha jak żyrafa wyciągał szyję i chylił głowę ku rozmówcy.

W krótkich słowach wyłuszczyłem mu sprawę, pokazałem fotografie. Przez cały czas, gdy opowiadałem, kapitan Mucha nie odezwał się ani słowem, a potem, również w milczeniu, podniósł się zza biurka, otworzył kasę ogniotrwałą, która stała w jego gabinecie, i wyjął z niej różową teczkę. W teczce znajdowało się także kilka fotografii. Były to zdjęcia, jakie zawsze robi się ludziom aresztowanym lub przebywającym w więzieniu.

- Jak pan sądzi, czy to ten sam? - spytał mnie kapitan, porównując fotografie z różowej teczki i te, które dał mi pan Opałko.

Wystarczył mi jeden rzut oka.

- Oczywiście, to ten sam człowiek - zawołałem. - Czy mógłbym wiedzieć, któż to taki i dlaczego jego zdjęcia znalazły się w milicyjnych aktach?

Kapitan Mucha zastanowił się chwilę.

- Wydaje mi się - powiedział - że dla dobra sprawy powinienem zdradzić panu kilka danych dotyczących tej osoby. Otóż człowiek ten nazywa się Nikodem Pluta, jest jednym z dwóch ludzi z bandy Barabasza, których udało się nam ująć żywcem. Za napady z bronią w rękę został Pluta skazany na karę śmierci, Rada Państwa skorzystała jednak z prawa łaski i zmieniła wyrok śmierci na dożywotnie więzienie. Potem były kilkakrotnie amnestie. Pluta dobrze sprawował się w więzieniu i dlatego, po prawie piętnastu latach, jesienią ubiegłego roku wypuszczono go na wolność. Władze przesłały nam akta Pluty oraz jego zdjęcia z poleceniem roztoczenia ostrożnej opieki nad nim, jeśli znowu zjawi się w tych okolicach. Któż mógł bowiem zaręczyć, czy nie miał on tu jakichś starych porachunków, które zechce wyrównać po wyjściu z więzienia. No i rzeczywiście, Nikodem Pluta zjawił się w naszym miasteczku jesienią ubiegłego roku, ale tylko na jeden dzień. Potem zniknął, jak kamień rzucony w głęboką wodę. Przypuszczaliśmy, że po prostu wyjechał. A tymczasem...

- Został zabity, a jego zwłoki ukryto w starym bunkrze - uzupełniłem.

- Informacje o tym przekazemy do Komendy Głównej MO - oświadczył kapitan Mucha. - W tej sprawie zostanie wszczęte śledztwo.

- A ten drugi? - zapytałem. - Ten, który razem z Plutą skazany został na karę śmierci? Czy jemu również zamieniono ten wyrok na dożywocie? Czy wyszedł z więzienia?

- Tak jest. Otrzymaliśmy wiadomość, że wypuszczono go na wolność w maju bieżącego roku, to jest przed dwoma miesiącami.

- Czy mógłbym zobaczyć jego fotografię?

Kapitan Mucha znowu podszedł do kasy ogniotrwałej, ale zatrzymał się przy niej i nie wyjął nowej teczki, Po sekundzie wrócił za swoje biurko.

- Nie mam prawa bez zgody swych przełożonych pokazywać panu żadnych milicyjnych dokumentów - rzekł, bezradnie rozkładając ręce. - Zapewne jutro lub pojutrze przyjedzie tutaj któryś z oficerów śledczych Komendy Głównej MO. Nie chciałbym mieć kłopotów z tego powodu, że wtajemniczałem dziennikarza w podobne sprawy. Wydaje mi się, że i tak zbyt wiele panu powiedziałem. Wiem, że pana pasjonuje ta historia, ale, niestety, przepisy zobowiązują mnie do tajemnicy służbowej. Serdecznie dziękuję za informacje w związku z rekonstrukcją czaszki Nikodema Pluty i podejrzeniami, jakie się panu nasunęły. Spełnił pan swój obywatelski obowiązek, resztę jednak proszę pozostawić nam, milicji. My poprowadzimy śledztwo, a pańskie dalsze działanie mogłoby nam je utrudnić.

Nie pozostało mi nic innego, jak podnieść się z krzesła i pożegnać kapitana Muchę, Spełniłem swój obowiązek, a jeśli przepisy zabraniały komendantowi informować dziennikarza - nie wypadało mi namawiać kapitana Muchy do łamania przepisów.

Wyszedłem z Komendy Powiatowej, wsiadłem do „sama” i wróciłem do obozu pod lasem.

Był wieczór. W namiotach antropologów paliły się już lampy naftowe i przez na wpół otwarte płócienne drzwi widziałem studentów kończących spożywanie kolacji. W jednym z namiotów przy stole zbitym z desek grali w karty: pan Karol, Teresa i pan Opałko. Na chwilę zbiegłem nad brzeg Wisły, aby umyć sobie ręce. Rzeka wciąż wydawała się groźna, niosła płaty białej piany, muł i piasek. W miejscu, gdzie dawniej stały namioty ekspedycji, teraz rwał gwałtowny nurt, wydawało się, że zrobiła się tutaj jakby głęboka dziura.

Nagle wspomniałem Wyspę Złoczyńców. Tak dawno na niej nie byłem. A może właśnie wśród jej zarośli kryło się rozwiązanie trapiącej mnie zagadki. Pomyślałem: „Dlaczego i gdzie zniknął Skałbana? Czy zniknął, ponieważ zaprosił mnie do siebie, by mi powiedzieć coś ważnego?”

- U chu- chu! - wrzasnął mi ktoś nagle tuż nad uchem.

Drgnąłem przestraszony i wypuściłem z rąk śliskie mydło, które natychmiast zniknęło w rzece.

Obejrzałem się. To Zaliczka zrobiła ten kawał, cichutko skradając się za moimi plecami.

- No tak - burknąłem gniewnie - mydło przepadło.

- O wa, dam panu swoje - powiedziała. I westchnęła. - Myślałam, że pan jest

romantyczny. Rozczarowałam się.

Wytarłem ręcznikiem mokrą twarz.

- Oczywiście, że jestem romantyczny - stwierdziłem. - Tylko że pani nie potrafi tego dostrzec.

- Gdy po raz pierwszy napotkałam pana tam w lesie, zamieszkującego samotnie w swym namiocie, wydał mi się pan zupełnie kimś innym niż teraz.

- W pani wyobrażeniu romantyczność polega na samotnym zamieszkiwaniu w lesie? Ta samotność skazywała mnie na nieustanne siedzenie w obozowisku, ponieważ bałem się, że ktoś może ukraść samochód albo namiot. Cóż to za romantyczność, gdy człowiek jest zmuszony do pozostawania na miejscu, jakby był przywiązany do kołka. Toż to więzienie. Tutaj czuję się inaczej. Mogę spacerować, robić wycieczki samochodem...

- A właśnie - przerwała mi. - Pan jest nie tyle romantyczny, ile raczej... romansowy.

- Pamięta pani wiersz Mickiewicza pod tytułem „Romantyczność”? - zapytałem Zaliczkę. I nie czekając odpowiedzi, począłem recytować:

„Słuchaj, dziewczeczko”.

- Ona *nie* słucha. -

*„To dzień biały, to miasteczko,
Przy tobie nie ma żywego dacha?
Co tam wokół siebie chwytasz?
Kogo wołasz, z kim się witasz?”*
— Ona *nie* słucha,

Urwałem. Zerknąłem na zegarek. Stwierdziłem, że zbliża się godzina umówionego spotkania.

- Przepraszam panią - rzekłem. - Lecz ja muszę do lasu.

- Randka? A może „romantyczny spacer” przy księżycu - ironizowała.

- Umówiłem się z harcerzami na rozstaju dróg, tam gdzie stoi pochylony krzyż drewniany. Pójdziemy zbierać maliny.

- Teraz? Gdy zmrok zapada? - kpiła. - A pamięta pan balladę „To lubię”?

Spojrzyj, Marylo, gdzie się kończą gaje:

W prawo łóz gęsty zarostek,

W lewo się pięknie dolina podaje,

Przodem rzeczułka i mostek.

*Tuż stara cerkiew, w niej puszczyk i sowy,
Obok dzwonnicy zrąb zgniły,
A za dzwonnica chróśniak jmalinowy,
A w tym chróśniaku mogiły.
Czy tam bies siedział, czy dusza zaklęta,
Że o północnej godzinie
Nikt, jak najstarszy człowiek zapamięta,
Miejsc tych bez trwogi nie minie.*

Zaliczka recytowała wiersz starając się wywołać wrażenie grozy i ponurości. Może jej sposób recytacji, a może nagły powiew zimnego wiatru od rzeki sprawił, że przeszedł mnie dreszcz. „W jakim celu pan Hertel odbywa wieczorne wycieczki w krzewy malin, rosnące w lesie obok starych bunkrów?” - pomyślałem. Nagle podjąłem decyzję:

- Chce się pani przekonać, że jestem naprawdę romantyczny? Otóż niech pani wie, że nie umówiłem się ani na randkę, ani na spacer przy księżycu. Na skraju lasu, w miejscu gdzie kończy się pas starych umocnień obronnych, co wieczór przyjeżdża tajemnicze czarne auto. Chcę dowiedzieć się, po co ten ktoś tam przyjeżdża. Proponuję pani wspólną wyprawę na spotkanie z tajemniczym osobnikiem.

- Wspaniale! - pisnęła Zaliczka. - Tajemnicze czarne auto. Nareszcie jakaś sensacja!

Piszcziała tak głośno, że z namiotu wybiegła Teresa i podejrzliwie na nas spojrzała. Zaraz zresztą powróciła do gry w karty, a ja doznałem wyrzutów sumienia, że do tej pory nie odwoziłem dziewczyny do ciotki w Ciechocinku.

Wziąłem Zaliczkę pod rękę i udając, że idę z nią na wieczorny spacer, wolniutko poprowadziłem ją do lasu.

- Czy nie sądzi pan, że należałoby o tym samochodzie powiadomić pana Karola? - spytała Zaliczka.

- Pana Karola?

- Przecież pan Karol to detektyw.

- Co też pani wygaduje? Nie ma już na świecie żadnych detektywów - powiedziałem ze złością, bo naiwność Zaliczki poczęła mnie irytować. - Jutro albo pojutrze z pewnością pozna pani rzeczywistego oficera śledczego z milicji i wtedy nareszcie przekona słą pani, jak się zachowują i jak postępują ludzie zajmujący się śledztwem.

- Naprawdę? Zjawi się u nas oficer śledczy? Przyjedzie do nas w związku ze sprawą zaginionych zbiorów dziedzica Dunina?

- Nie, proszę pani. On przyjedzie w związku z dokonaniem tu zabójstwem.

- Jezus Maria! - pisnęła Zaliczka. - Pan sobie ze mnie żartuje. Pan chce mnie nastraszyć, żebym nie poszła z panem do lasu...

Pomyślałem, że za dużo jej powiedziałem. Zaliczka jest gadatliwa i rozpowie o przyjeździe oficera śledczego.

- No tak, żartuję - machnąłem ręką. Zaliczka rzekła:

- Zauważyłam, że pan bardzo nie lubi pana Karola.

- Owszem, nie darzę go sympatią.

- Pan go nie lubi dlatego, że pan Karol jest detektywem, który chce odnaleźć zaginione zbiory dziedzica Dunina. Pan zaś także przyjechał w tym celu, tylko że pan jest detektywem-amatorem, który te zbiory pragnie odnaleźć dla siebie.

Znowu machnąłem ręką. Dałem spokój dalszej rozmowie na ten temat. Znaleźliśmy się już na rozstaju z krzyżem. Cekał tutaj Wilhelm Tell wraz ze swoją gromadką. Zauważyłem, że niechętnym okiem spojrzeli na Zaliczkę. Lubili słuchać, gdy mówiła o antropologii, ale nie bardzo chyba wierzyli w jej umiejętność „podchodzenia przeciwnika”, a przecież oczekiwało nas właśnie takie zadanie.

Sokole Oko stanął na czele grupki i gęsiego poprowadził nas w las wąską ścieżką, ledwo zaznaczoną na ziemi zasypanej igliwem i porośniętej mchami. Tu rósł jeszcze starodrzew, dopiero dalej był zagajnik, głęboki rów, a potem stare bunkry. Gdzieś za bunkrami znajdować się miał maliniak, a za maliniakiem droga, którą przyjeżdżał czarny samochód.

Zrobiło się prawie zupełnie ciemno. Każdy z nas widział tylko plecy idącego przed nim. Sokole Oko miał jednak chyba bardzo bystry wzrok, skoro nieomylnie doprowadził nas do kładki przerzuconej nad rowem przeciwczołgowym.

Pomaszerowaliśmy brzegiem rowu. Było tu widniej, bo dokoła rósł młody zagajnik i korony drzew nie zasłaniały nieba. A poza tym uczyniło się jaśniej, zaczął wschodzić księżyc.

Dotychczas wędrowaliśmy w zupełnym milczeniu, teraz zaczęły się ciche rozmowy.

- Zapewne kiedyś - zagadnąłem Tella, który i na tę wyprawę zabrał z sobą swoją kuszę - zostaniesz słynnym sportowcem-lucznikiem, prawda?

- Nie. Chcę być lekarzem, tak jak mój ojciec. Ale oczywiście nie przestanę interesować się łucznictwem.

- A ja będę antropologiem - wtrącił Borówka.

- Ty ciągle zmieniasz zdanie - zaśmiał się Sokole Oko. - Gdy jechaliśmy na obóz harcerski, mówiłeś, że będziesz poszukiwaczem przygód.

- Będę antropologiem. Tak jak pani Zaliczka - powtórzył Borówka.

- Nie nazywam się Zaliczka - rozzłościła się dziewczyna. - Mam imię i nazwisko, jak każdy z was.

- A ja myślałem, że Zaliczka to jest właśnie nazwisko - naiwnie zawołał Borówka.

Buchnął głośny śmiech i odbił się echem po lesie. Natychmiast zasłoniliśmy sobie usta, bo wydało nam się, że zachowujemy się zbyt głośno.

- Na razie nie ma chyba potrzeby aż tak bardzo ukrywać naszej obecności w lesie - rzekł Wilhelm Tell. - Ten pan w czarnym samochodzie zapewne jeszcze nie nadjechał.

- A kłusownicy? - przypomniałem.

- Milicjanci dwie noce czatowali na kłusowników koło pozostawionych przez nich potrzasków. Kłusownicy jednak nie zjawili się, zapewne ktoś ich spłoszył albo doniósł im o zasadzce. Borówka próbował przypochlebić się Zaliczce, która ciągle wydawała się obrażona za swoje przezwisko. Powiedział:

Jeśli zostanę antropologiem, to tylko dzięki pani. Bo pani tak pięknie opowiada o tej nauce.

- O tak - przyświadczył Sokole Oko. - Ale najważniejszego to pani nam nie powiedziała. Dlaczego ludzie mają różny kolor skóry, dlaczego i jak powstały te rasy ludzkie. Zaliczka została udobruchana.

- Przyjdźcie do naszego obozu jutro po południu, to wam odpowiem na to pytanie - obiecała.

- Teraz. Niech pani nam powie teraz, zaraz - zaproponował Borówka.

Alo oto zawędrowaliśmy już do maliniaka, gdzie łakomczuch Palka co wieczór przychodził objadać się malinami. Należało dokładnie zbadać cały teren, aby znaleźć odpowiednią kryjówkę, z której można byłoby obserwować przyjazd czarnego samochodu.

- Jak będzie lepiej? - spytał mnie Tell. - Czy ukryjemy się wszyscy razem w jednym miejscu, czy też każdy z nas schowa się gdzie indziej i ze swego stanowiska obserwować będzie tajemniczego pana?

- Wydaje mi się, że najlepiej się stanie, jeśli każdy schowa się w innym miejscu. W ten sposób nasze pole obserwacji będzie szersze. Ale spójrz, Tellu. Oni wszyscy objadają się malinami. I taka to, zdaje się, będzie obserwacja.

Zamiast badać teren Zaliczka, Sokole Oko i Borówka buszowali wśród krzaków malin. Tell począł wszystkich strofować za łakomstwo, a ja przespacerowałem się aż na drogę, po której przybyć miał czarny samochód. Tak, tą właśnie drogą przyjechałem przedwczoraj wieczorem ścigając wóz pana Hertla. To chyba właśnie w tym miejscu, za zakrętem w lesie, zginął nam z oczu jego samochód. Hertel widocznie skręcił wtedy na małą

polankę obok krzaków malin. Wówczas nie spodziewaliśmy się tego manewru, pojechaliśmy dalej aż nad rzekę, a pan Hertel spokojnie odbył swój tajemniczy spacer w głąb lasu.

- Uwaga, nadjeżdża!... - zawołał Tell. Rozejrzałem się. Między drzewami migały silne reflektory zbliżającego się auta.

- Każdy niech kryje się oddzielnie w krzakach malin i za drzewami - rozkazywałem gorączkowo.

Chwyciłem Zaliczkę za rękę, bo bałem się, że jakimś nieopatrzonym ruchem może nas zdradzić. Poclągnąłem ją za pień grubego drzewa. W pobliżu rosły dwa małe świerczki. Stąd można było widzieć dokładnie drogę i krzewy malin, odległe od nas o dziesięć metrów.

Światła zbliżającego się auta zniknęły za ścianą drzew, potem wyblysnęły, gdy auto wyjechało zza zakrętu. Kierowca samochodu nagle wygasił reflektory i przez chwilę jechał zupełnie nie oświetlonym wozem. Teraz przyhamował i spróbował wrzucić niski bieg. Nie był chyba doświadczonym kierowcą, bo w skrzynce biegów głośno zazgrzytało. Powoli skręcił z drogi na polankę leśną, zatrzymał się, zgasił silnik. Po chwili usłyszałem trzask otwieranych, a później zamykanych drzwi.

Czarny wóz stanął w miejscu bardzo ciemnym, dokąd nie dochodziło światło wschodzącego księżyca. Trudno więc było mi stwierdzić na pewno, czy jest to ten sam samochód, który ścigałem przedwczoraj. W mroku nocnym zarysowała mi się sylwetka mężczyzny, ale także nie byłem w stanie powiedzieć na pewno czy jest to pan Hertel.

Kierowca samochodu przemaszerował obok krzaków malin, słychać było, jak ich ostre gałązki drapały mu połą płaszcz.

A może on umówił się tutaj na randkę? - szepnęła mi na ucho Zaliczka.

- Boże, pani tylko romanse w głowie - odpowiedziałem.

Mężczyzna minął krzewy malin i zaczął wstępować na niewysoki wzgórek leśny, gdzie rosły niskie, młode drzewka. Tajemniczego osobnika widać było wyraźnie na granatowym tle nocnego nieba. Wstąpił na wzgórek i zatrzymał się na chwilę, uważnie rozglądając się na wszystkie strony.

I wtedy, i właśnie wtedy... w lesie rozległ się donośny kaszel. Ktoś krztusił się, jakby chorował na koklusz.

- Do licha - syknąłem. - To któryś z chłopców Tella. Co za bałwan.

Usłyszawszy kaszel, mężczyzna na wzgórkę spokojnie wyjął z kieszeni papierosa. Pstryknęła zapalniczka. Pałąc papierosa, tajemniczy osobnik zeszedł ze wzgórkę i skierował się do swego auta. Znowu usłyszałem trzask drzwiczek, potem doszedł mych uszu szum

pracującego motoru. Samochód tyłem wyjechał z polanki na drogę leśną i zawrócił. Rozbłysły reflektory. Czarne wielkie auto podobne do ryby lub ptaka pokazało nam tylne czerwone światła, które po kilku sekundach zniknęły za zakrętem.

Spłoszyliśmy go - powiedziałem głośno i z gniewem.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

KTO SPŁOSZYŁ NIEBEZPIECZNEGO „PTASZKA” ? – ZDRADA TERESY – POSZUKIWANIA – ODKRYWAMY WEJŚCIE DO PODZIEMI – CO KRYŁ STARY BUNKIER – KŁAMSTWA SKALBANY – DLACZEGO UWIEŻIONO RYBAKA? – DEMASKUJEMY TERESĘ – ILE JEST RAS LUDZKICH JAK KSZTAŁTOWAŁ SIE CZŁOWIEK – RASIZM I NAUKA

- To nie ja. Słowo honoru, to nie ja kaszałem - przysięgał Wilhelm Tell.

- Ja także nie. Słowo daję - twierdził Borówka.

- Nikt z nas nie kaszał - powiedział Sokole Oko.

Pomyślałem: „Skoro nie kaszał Tell ani Borówka, ani Sokole Oko, ani Wiewiórka, ani Sroka, ani ja, ani nie uczyniła tego Zaliczka, która znajdowała się tuż koło mnie, w takim razie oprócz nas ktoś jeszcze ukrył się w pobliżu krzaków malin”.

I natychmiast otrzymałem wyjaśnienie. Z mroku zalegającego między drzewami wyszła panna Teresa, autostopowiczka.

- No tak - mruknąłem groźnie. - Pani tu jeszcze brakowało.

- Panienska raczyła kaszlnąć. I spłoszyła nam pani ptaszka - zawołał gniewnie Wilhelm Tell

Posypały się na głowę dziewczyny gniewne okrzyki harcerzy:

- Po co pani tu przyszła?

- Nikt tu panią nie prosił.

- Dlaczego pani kaszała?

Ja także nie szczędziłem Teresy i zdenerwowany spłoszeniem tajemniczego kierowcy, nazwałem dziewczynę bezdennie głupią gęsią”.

- To nawet kaszlnąć nie wolno? - dziwiła się Teresa. - Przecież nie uczyniłam nic złego...

- Nie zaprosiliśmy panienski na tę wycieczkę - powiedziałem.

Zaliczka pociągnęła mnie za rękaw i szepnęła do ucha:

- Ona zobaczyła, że we dwoje udajemy się na romantyczny spacer i zapewne obudziła się w niej zazdrość. Dlatego poszła za nami. Niech się pan na nią nie gniewa. Nic się przecież złego nie stało. Ten osobnik przyjechał i odjechał. Wszystko w porządku. Teraz cały swój

gniew skierowałem na Zaliczkę:

- A pani tylko romansowe historie w głowie. „Nic się nie stało, wszystko w porządku” – przedrzeźniałem Zaliczkę. - A właśnie, że stało się wiele złego przez ten głupi kaszel. Spłoszyliśmy tajemniczego osobnika i nigdy już zapewne nie dowiemy się, po co on tutaj przyjeżdżał.

Teresa spróbowała się tłumaczyć:

Słyszałam, jak pani Zaliczka radowała się z powodu wieczornej wycieczki, którą jej pan zaproponował. Było mi przykro, że pan mnie także nie zaprosił. Więc poszłam za wami, ale nie śmiałam podejść bliżej, bo przecież nie zaprosiliście mnie. Nie wiedziałam, że kaszel to coś bardzo złego.

Machnąłem ręką. Tego, co się stało, już się nie odmieni. Nie pomogą ani tłumaczenia, ani wymyślenia.

- A swoją drogą ciekawe, po co on tutaj przyjeżdża? - głośno zastanawiał się Tell.

- Poszedł tam na wzgórek i zatrzymał się — przypomniał Sokole Oko.

- Miał tu randkę, czekał na ukochaną - powiedziała Zaliczka.

- Pewnie chciał odetchnąć leśnym powietrzem - wtrąciła Teresa.

Spojrzałem na nią uważniej, badawczo.

- A pani, panno Tereso, nie rozpoznała owego pana? Samochód jego również nie wydał się pani znajomy?

- Nie, nie. Skądże. Niczego nie rozpoznałam...

Odpowiedziała zbyt prędko, bez odrobiny wahania, jakby spodziewała się takiego pytania i z góry zaplanowała odpowiedź. To właśnie wydało mi się podejrzane.

- Więc ja pani powiem, kto to był. Hertel, pani dobry znajomy z Cieclocinka.

- Tak? Naprawdę? Zupełnie go nie poznałam? - głos Teresy pełen był zdumienia. - W takim razie, po co ta cała historia? Ja go dobrze znam, mogłam go zatrzymać i po prostu zapytać, dlaczego tu przyjechał?

- Pani ostrzegła go swoim kaszlem - nieoczekiwanie powiedział Wilhelm Tell. - Pani to zrobiła specjalnie, rozmyślnie.

Myślałem, że Teresa rzuci się z pięściami na Tella, więc szybko stanąłem między nimi. Ale dziewczyna tylko wzruszyła ramionami.

- To są bezpodstawne oskarżenia - rzekła. - I nic mnie nie obchodzi, co sobie o mnie myślicie.

Udała obrażoną. Okręciła się na pięcie i mogło się wydawać, że odejdzie w las. Lecz pozostała.

- Chodźmy na wzgórek, gdzie ów Hertel zatrzymał się i rozglądał na wszystkie strony
- zaproponowałem chłopcom.

Przedarliśmy się przez krzaki malin i pomaszzerowaliśmy na wzgórek porośnięty młodym lasem.

O, właśnie tutaj zatrzymał się ten osobnik - Wilhelm Tell stanął na szczycie pagórka.

- A teraz rozejdźmy się i niech każdy zatacza wokół tego miejsca coraz szersze kręgi – rozkazałem. - On nie przyjeżdża tu podziwiać piękna leśnej nocy. W tej okolicy musi się znajdować coś takiego, co przywabia Hertla. I my musimy stwierdzić, co to takiego.

Teresa przykucnęła na wzgórzu i zaczęła się głośno, sztucznie śmiać.

- Oj, dzieci, dzieci - drwiła z nas. - Co wieczór pan Hertel urządza sobie przejażdżkę autem. Dla przyjemności. Mnie także proponował taką małą wycieczkę, ale nigdy nie wyraziłam na nią zgody. Po prostu nudzi mu się w Ciechocinku. Wieczorem wsiada w auto, jedzie do lasu. W lesie, jak mi mówił, wypala papierosa...

- W lesie nie wolno palić papierosów — wtrącił surowo Sokole Oko.

- Pan Hertel wypala papierosa - ciągnęła dalej - i wraca do domu wczasowego.

Powlodziałem:

- Okazuje się, że jednak panienka jest teraz skłonna uznać, iż to był pan Hertel?

Zrozumiała, że po tym, co powiedziała, nasze podejrzenia nabiorą większej mocy.

Poczęła się wykręcać:

- Wmówiliście mi, że to był pan Hertel. Zgodziłam się na to, choć przysięgam, że go nie rozpoznałam. Uwierzyłam wam, bo przypominałam sobie o jego wieczornych przejażdżkach samochodem.

- No, dobrze – kiwnąłem głową, udając, że jej wierzę - A teraz do roboty, chłopcy. Niech każdy spacerowym krokiem, pilnie rozglądając się po niebie i ziemi, zatacza kręgi wokół wzgórza.

Rozeszliśmy się. Na wzgórkach pozostała tylko Teresa. Chcąc nam okazać, jak obojętne wydają się jej nasze poszukiwania, zajęła się malinami.

Krażyliśmy po młodym lesie, niewielkie sosenki sięgały nam do pasa. Przez cały czas widzieliśmy się wzajemnie, wymijaliśmy się - chyba nic nie mogło ująć naszej uwagi.

Zatoczyłem krąg o promieniu chyba pięćdziesięciu metrów, gdy natknąłem się na obrośnięty młodymi drzewkami wylot starego betonowego bunkra. To był chyba ostatni bunkier z rozciągających się w lesie umocnień. Podłużną, czarną szparą spoglądał na mnie przez gałązki drzewek. Obszedłem go dookoła, ale ku swemu zdziwieniu nie znalazłem

do niego wejścia. Zawołałem chłopców i Zaliczkę, spacerujących w zagajniku. Przybiegli natychmiast, a wówczas zapaliłem latarkę elektryczną, promień światła kierując w szparę strzelnicy bunkra.

- Poczekajcie tu na mnie. Ja wejdę do bunkra - zdecydowałem.

- Boże drogi, niech pan tego nie robi - pisnęła Zaliczka. - Może się tam ktoś zaczął i wpadnie mu pan w ręce.

Zjawiała się także Teresa. Powiedziała:

- W tym bunkrze mogą być miny. Czytałam kiedyś w gazecie, że hitlerowcy zaminowywali bunkry.

Wyznaję, że ta uwaga Teresy odebrała mi sporo odwagi. Jeszcze raz oświetliłem latarką szczelinę w bunkrze, przyklęknąłem i spróbowałem zajrzeć do wnętrza. Odwaga jednak okazała się zupełnie zbyteczna. Bunkier był zawalony, zasypany odłamkami betonu i ziemią. Zapewne hitlerowcy opuszczając teren wysadzili go w powietrze. Strop zapadł się do wnętrza i dlatego zamiast maleńkiego pagórka stanowił wgłębienie, pokryte młodymi sosenkami. Ocalała z bunkra tylko jego czołowa ściana z podłużnym otworem na działko.

- Trzeba szukać dalej - rzekłem wstając z klęczek.

Wznowiliśmy naszą wędrowkę po młodym lesie. Księżyc wzeszedł już dość wysoko, zrobiło się bardzo widno, rosa, pokrywająca gałązki sosenek, moczyła nam nogi.

- Niech pan spojrzy - przywołał mnie nagle Wilhelm Tell, - Ktoś zupełnie niedawno nałamał gałązek i ułożył je tutaj. Cóż to za barbarzyńcy buszują w lesie i niszczą młode drzewka?

- Masz rację, Tellu. Gałązki jeszcze nie zdążyły uschnąć. Ktoś ułamał je bardzo niedawno. Przed dwoma, trzema dniami albo, być może, jeszcze dzisiaj.

Rozejrzałem się. Miejsce, gdzie Tell znalazł gałązki, znajdowało się o dwadzieścia kroków od zawalonego bunkra.

Tell pochylił się, przesunął na bok gałązki. Ukazało się okrągłe betonowe ocembrowanie, nakryte ciężką żelazną pokrywą, o promieniu około siedemdziesięciu centymetrów.

- Czy wiesz, co to jest, Tellu? - zawołałem radośnie. - Wydaje mi się, że odkryliśmy boczny wąż do podziemnych umocnień.

Tell gwizdnął na swoich kolegów. Wraz z nimi przybiegły Zaliczka i Teresa.

- Błagam was, tylko nie próbujcie podnosić tej pokrywy - błagalnym gestem założyła ręce Zaliczka.

- Właśnie o to chodzi, żeby ją podnieść - rzekł Tall.

To jednak było bardzo trudne. Żelazna pokrywa nie miała żadnego uchwytu i szczelnie przylegała do cementowego ocembrowania. Należało ją podważyć, a nie było czym tego zrobić.

- Patrzcie - powiedziałem oświetlając latarką żelazną płytę. - Ostatnio ktoś jednak tę płytę podnosił. W kilku miejscach widać na niej zadrapania zrobione jakimś ostrzem. O, tutaj i tutaj rdza została zdarta - wskazywałem palcem.

- Trzeba spróbować podważyć ją naszymi harcerskimi nożami - zdecydował Wilhelm Tell.

Noże mogły się wyszczerbić, a nawet połamać, lecz chłopcy postanowili nawet za tę cenę zgłębić tajemnicę wjazdu.

Między płytę i ocembrowanie wcisnęli ostrza noży i poczęli ostrożnie podważać pokrywę. Nóż Sokolego Oka złamał się na połówki jak patyczek, ale Borówce i Tellowi udało się nieco unieść pokrywę, a wówczas ją podłożyłem pod nią kawałek ułamanej gałęzi. Teraz, wspólnymi siłami, już bez trudu przesunęliśmy płytę na bok. Nie była wcale taka ciężka, jak przypuszczaliśmy. Gdybyśmy posiadali odpowiednie narzędzia, każdy z nas zdołałby ją podważyć i odsunąć na bok.

Pod płytą czerniała studnia wjazdu. Puściłem w nią promień latarki, ujrzeliśmy ocembrowane zejście na głębokość jakichś trzech metrów. Po bokach wjazdu były żelazne uchwyty, które umożliwiały opuszczenie się w dół. Nad dnem studzienki czerniał boczny otwór, zapewne wejście do jakiegoś korytarzyka.

Pochyliliśmy się nad wjazdem, naradzając się półgłosem, czy zejść w dół już teraz, czy też poczekać do rana. Przecież mogło być tak, jak mówiła Teresa. Kto wie, czy we wjazdzie i dalej, w podziemnym ganku, hitlerowcy nie pozostawili min, które wybuchną, jeśli nieostrożnie nadepnemy na jedną z nich.

Raptem wydało mi się, że z głębi podziemia doszedł mych uszu niewyraźny szelest.

- Cicho - szepnąłem do chłopców. Poczęliśmy nasłuchiwać. Szelest powtórzył się.

- To szczury - rzekł Tell, a Zaliczka aż wstrząnęła się ze wstrętem.

- Hej, jest tam kto? - krzyknąłem w głąb studzienki.

I usłyszeliśmy odpowiedź dudniącą, trochę zniekształconą przez echo odbijające się w podziemiu:

- Na pomoc! Ludzie, ratujcie mnie!... Ludzie, na pomoc!...

Oskoczyliśmy od wjazdu, tak przeraźliwie zabrzmiał nam w uszach ów głos, dobywający się z podziemia. Po chwili jednak strach minął, a obudziło się w nas poczucie

obowiązku niesienia pomocy komuś, kto jej od nas żądał.

Zabrałem Tellowi jego nóż fiński i tak uzbrojony zdecydowałem się zejść do podziemia.

- Niech pan tego nie robi. To pułapka - błagała tinnie Zaliczka.

- Tak, tak. On chce pana przywabić i zamordować - powtarzała Teresa.

Gniewnie ofuknąłem dziewczyny. Pomyślałem: szkoda, że nie ma tu Hanki. Ona na pewno nie bałaby się zejść w podziemia”.

Z zapaloną latarką w ręku, z nożem za pasem, począłem wolno zstępować w podziemną studzienkę.

- Gdyby mi się coś stało, to znaczy, gdybym nie powrócił - zwróciłem się na odchodnym do Tella - nntyrhmiast zakryjcie pokrywę i usiądźcie na niej, nby z podziemia nikt nie mógł się wydostać. A jeden z was niech leci na posterunek milicji, zrozumiano?

Tak jest! - zsalutował Tell.

Raz, dwa, trzy, cztery, pięć uchwytów i oto zeskoczyłem na dno studzienki. Z boku było półkoliście sklepione wejście do bocznego ganku. Jeszcze pięć kroków gankiem - serce biło mi bardzo mocno, a latarka drżała w lewym ręku. W prawym trzymałem obnażony nóż.

Ganek zakręcił gwałtownie. Ujrzałem niską, kwadratową piwnicę, zawałoną zgniłą słomą i jakimiś szmatami. W kącie izby dostrzegłem leżącego na kupie szmat związanego człowieka. Puściłem na niego światło latarki,

- Skałbanal Jezus Maria, to pan Skałbana - krzyknąłem.

I podbiegłem do niego z nożem. Dwoma cięciami ostrza przerwałem oplatającą go linkę. A gdy rozcierał sobie zdrtwiałe mięśnie rąk i nóg, rozejrzałem się po wnętrzu piwnicy.

- Szuka pan przejścia w głąb bunkrów? - spytał mnie Skałbana. - Nie, nie ma stąd żadnego innego wyjścia, jak tylko to, którym pań tu wszedł. Ta izba jest ślepa. Posiada tylko mały wylot wentylacyjny, o tu, w suficie. Hitlerowcy nie skończyli budowy tych umocnień i nie wszystkie części podziemia są z sobą połączone.

- A te szmaty, słoma?

- Tu była jedna z kryjówek bandy Barabasza - powiedział Skałbana, wolno podnosząc się z ziemi.

- Jakim cudem pan się tu znalazł? Kto pana związał?

- Sam nie wiem, jak to się stało - odrzekł Skałbana. - Teraz jest noc czy dzień? - spytał.

- Noc.

- A który dziś mamy?

- Czternasty lipca.

- W takim razie siedzę tutaj chyba już trzecią dobę. Wieczorem przy płynąłem łódką na tę stronę rzeki, żeby nazbierać trochę chrustu w lesie.

- - Wieczorem? Po ciemku? - zdziwiłem się.

- Hm - chrząknął niepewnie. - Chrust miałem już przygotowany za dnia, należało go zabrać na łódkę i przewieźć na drugą stronę Wisły. Wszedłem w las i nagle podeszło do mnie dwóch mężczyzn. Mieli przy sobie broń palną, pistolety. Kazali mi iść za sobą, pod groźbą zastrzelenia zaprowadzili mnie aż tutaj. Przed wejściem do wjazdu związali mi sznurem ręce do tyłu, potem podnieśli pokrywę i kazali mi schodzić do podziemia. Tutaj związali mi jeszcze nogi i pozostawili samego w ciemnościach.

- Nie wyjaśnili, dlaczego tak postępują?

- Nie odezwali się ani słowem.

- Co to za ludzie? Jak wyglądali?

- Jacyś obcy, Nie znam ich zupełnie i nawet dobrze im się nie przyjrzałem, bo było ciemno.

- I przez te trzy dni nic pan nie jadł i nic pan nie pił?

- Byli u mnie dwa razy. Nakarmili mnie suchym chlebem i pozostawili wodę w blaszance. O, tu leży ta blaszanka - to mówiąc kopnął nogą blaszane pudełko, które przewróciło się i pociekła z niego struga wody.

- I wtedy także nic panu nie powiedzieli?

- Nic. Zupełnie nic - powtórzył Skałbana, I raptem zapytał: - A pan jak mnie tutaj odnalazł?

Wydawało mi się, że w jego oczach dostrzegam coś bardzo niepokojącego. Cała jego uwaga zdawała się być skupiona na nożu, który ciągle trzymałem w prawej dłoni. Odnosiłem wrażenie, że Skałbana za chwilę rzuci się na mnie.

- Tam na górze - wskazałem palcem sufit - czekamy na pana całą gromadą.

I gwizdnąłem na palcach. Z góry natychmiast przyszła odpowiedź. Gwizd. Skałbana drgnął.

- No, to chodźmy - powiedział i ruszył pierwszy do wyjścia.

- Szukaliśmy malin i natrafiliśmy na pokrywę wjazdu, Zaciekawilo nas, do czego ona służy. Podnieśliśmy ją i usłyszeliśmy pańskie wołanie o pomoc - opowiadałem Skałbanie, Nie chciałem mu wyjawic prawdy, bo wydawało mi się, że i on kłamał przede mną.

Wygramoliliśmy się na powierzchnię. Harcerze, Zaliczka i Teresa w milczeniu i z ciekawością przyglądali się Skałbanie, który jeszcze raz powtórzył historyjkę, mającą wyjaśnić jego przymusowy pobyt w podziemiu. Zakryliśmy pokrywą właz i odprowadziliśmy Skałbanę aż na brzeg rzeki do jego łódki. Pomogliśmy mu zsunąć łódkę na wodę, a gdy odpłynął w stronę swojego domu, Tell powiedział:

- On kłamie. Jakoś nie chce mi się wierzyć, aby jacyś dwaj ludzie bez żadnych powodów wprowadzili go do podziemia i trzymali tam w więzach. Jeśli zrobili tak, to zapewne mieli ku temu jakieś powody. Skałbana ukrywa je przed nami, bo zapewne sam ma coś brzydkiego na sumieniu.

Myślałem podobnie jak Tell. Ale wobec kłamstwa Skałbany byliśmy bezradni i nie pozostało nam nic innego, jak rozejść się do swoich obozów. Pożegnałem się z chłopcami na rozstaju z krzyżem i wraz z Zaliczką i Teresą wróciłem do naszych namiotów.

Natychmiast położyłem się spać. Obudziłem się późno, około południa. Naprędce przyrządziłem sobie śniadanie, a potem zauważywszy Teresę siedzącą samotnie na brzegu rzeki zaproponowałem jej przejażdżkę „samem”. Ucieszyła ją ta propozycja, nie domyślała się, że kryje w sobie pułapkę.

Przejechaliśmy miasteczko, znaleźliśmy się na szosie do Ciechocinka. Dodałem gazu, samochód nabrał dużej szybkości, a wtedy odezwałem się do dziewczyny:

- Pan Hertel może być zadowolony z pomysłu wysłania pani do naszego obozu. Spełniła pani swoje zadanie: ostrzegła go pani w chwili dla niego najbardziej niebezpiecznej.

- To nieprawda - odparła dziewczyna.

- Pani zjawienie się u nas - ciągnąłem dalej - od razu wydało mi się podejrzane. Pan Hertel domyślił się, że wtedy na szosie śledziłem go, jadąc za nim swoim „samem”. A ponieważ, zapewne jeszcze podczas naszego spotkania w nocnym lokalu w Ciechocinku, opowiedziała mu pani o mnie i o moim śmiesznym samochodzie, wiedział, kto go śledzi. Po powrocie do Ciechocinka zaproponował, aby przybyła pani do naszego obozu i obserwowała mnie.

- To nieprawda - powtórzyła dziewczyna.

- A czy pan Hertel nie wyjawiał pani powodu, dla którego należy mnie obserwować? To bardzo ważne, proszę pani.

Dziewczyna milczała. Dodałem:

- Pani zaczęła sobie już chyba zdawać sprawę, że gra, w jaką wciągnął panią Hertel, jest niebezpieczna? To przecież on związał i zamknął Skałbanę w podziemiu.

- A mnie się właśnie podoba, że to jest niebezpieczne - powiedziała drwiąco Teresa. - Ja właśnie lubię niebezpieczeństwo i przygodę.

- Dlatego najlepiej uczynię, jeśli odwiozę panią do Ciechocinka. Tam niech sobie pani robi, co pani zechce. Nic mnie to nie obchodzi.

- To świetnie - zadrwiła. - Jestem pewna, że zobaczymy się wkrótce, ale w zupełnie odmiennych sytuacjach.

- Pani mi grozi?

- Tak.

- Więc ja także pani pogrozę. Po prostu zawiadomię pani ciocię o niebezpieczeństwie, na jakie naraża sję pani, realizując pomysły Hertla.

- Tak? - wciąż drwiła. - A pan przypuszcza, że moja ciotka nie wie o niczym? Pan Hertel powiedział nam, że w bunkrach ukryta jest grubsza gotówka dziedzica Dunina. Ona jest niczyja i każdy może starać się ją odnaleźć. Pan, on, każdy. Po prostu jesteście konkurencją, walczycie ze sobą. Ja stanęłam po jego stronie, bo on pierwszy zaproponował mi współpracę.

Roześmiałem się.

- Pani ma najwyżej siedemnaście lat, a przemawia pani jak stary gangster. Czy nie za często ogląda panł „Kobry” w telewizji?

Ukazały się pierwsze domy Ciechocinka. Dziewczyna chwyciła za klamkę drzwi. Przycisnąłem hamulec.

- Chcę tutaj wysiąść. Mam dosyć pańskiego towarzystwa - burknęła. Przystanąłem.

- Ciao - rzuciła mi drwiąco, zatrzaszkując drzwiczki.

Zawróciłem i pomknąłem do obozu.

Na pagórku obok studni zbója Barabasza zastałem Zaliczkę w otoczeniu Łuczników. Zaliczka właśnie spełniała dane harcerzom przyrzeczenie: opowiadała im o rasach i typach ludzkich. Przysiadłem się do nich, aby posłuchać wykładu. „Kto wie - pomyślałem - czy ta odrobina wiedzy o antropologii nie będzie jedyną korzyścią, jaką wyniosę z tegorocznego urlopu?”

- Nie znamy dokładnie kolebki ludzkości - mówiła Zaliczka. - Najprawdopodobniej była nią Azja, a może i częściowo Afryka. Człowiek pierwotny żył na bardzo dużych przestrzeniach, w różnych warunkach klimatycznych, a ponieważ posiadał tylko bardzo

prymitywne narzędzia, był zdany na łaskę i niełaskę przyrody, która miała ogromny wpływ nie tylko na rozwój, ale i na wygląd człowieka. Nauka mówi, że człowiek w dawnych czasach miał chwiejną naturę somatyczną i warunki, w jakich żył, mogły kształtować jego cechy morfologiczne. Jak by to wam wytłumaczyć przez jakieś porównanie? - zastanawiała się Zaliczka. - No, na przykład, sami wiecie, że z mokrej gliny łatwo jest lepić i kształtować jakąś figurę, a gdy glina wyschnie, staje się to niemożliwe. Otóż, człowiek dawny, współżyjący blisko z przyrodą, dawał się przez tę przyrodę i przez warunki, w jakich żył, kształtować. Człowiek późniejszy, na wyższym stopniu rozwoju, był coraz bardziej uniezależniony od przyrody, ba, zaczął tę przyrodę podporządkowywać sobie. Był już jakby ze stwardniałej gliny. Dlatego dziś nie tworzą się już nowe rasy ludzkie, lecz żyją na świecie te, które zostały niegdyś ukształtowane. I tak, ludzie żyjący w warunkach tropikalnych uzyskali ciemny kolor skóry, włosów i oczu, a ci, którzy przebywali w strefach chłodniejszych - przystosowując się do warunków, w jakich wypadło im bytować - uzyskali przez wiele, wiele pokoleń jasny odcień skóry, jasne włosy i jasne oczy. Stało się tak dlatego, że w tkankach ludzi żyjących na obszarach, gdzie słońce silnie operuje, nagromadziło się dużo pigmentu, to jest substancji barwiącej, która stanowi jednocześnie ochronę skóry przed działaniem promieni słonecznych. Albo inny przykład. Ludzie, którzy żyli w warunkach tropikalnych, przystosowując się do gorącego klimatu, posiadli w ciągu tysiącleci szeroki nos i grube wargi, zapewniające im obfite parowanie błon śluzowych, a ludzie przez tysiąclecia przebywający na północy mają nosy wąskie, utrudniające cyrkulację powietrza. W ten sposób organizm ludzki bronił się przed dostępem do płuc zimnego, ostrego powietrza.

- To jasne - przyświadczył Tell. - Ja dobrze rozumiem, co to znaczy przystosować się do warunków, w jakich człowiek żyje. Na przykład ci, którzy chcą się wdrapać na najwyższe szczyty górskie, tam gdzie jest bardzo rozrzedzone powietrze, najpierw muszą przebywać jakiś czas w wysoko położonych miejscach, aby ich organizm przystosował się do życia właśnie w warunkach rozrzedzonego powietrza.

- Nauka rozróżnia trzy główne, zasadnicze rasy ludzkie - ciągnęła dalej Zaliczka. - Rasę białą, czarną i żółtą. To są rozróżnienia ze względu na kolor skóry. Ale ludzie o tym samym kolorze skóry także różnią się bardzo między sobą ze względu na budowę ciała, głowy, kolor oczu lub włosów. Dlatego współczesna nauka mówi nie o rasie białej lub czarnej, lecz o rasach białych, czarnych i żółtych. Pod tym względem różne szkoły antropologiczne mają różne podziały i nazwy dla poszczególnych ras współczesnych ludzi. Żeby nie komplikować tego tematu, powiem wam o jednej, która wyróżnia siedem ras

białych: nordyczną, kromanionoidalną, ajnuidalną, berberyjską, śródziemnomorską, orientalną i armenoidalną? cztery rasy czarne: negroidalną, pigmejską, sudańską i australoidalną; oraz pięć ras żółtych: laponoidalną, mongoloidalną, pacyficzną, arktyczną i wyżynną. Oczywiście jest, że w ciągu ogromnego okresu czasu, w jakim kształtował się człowiek współczesny, poszczególne rasy nie żyły w izolacji, ale mieszały się z sobą i mieszają się do dziś, tworząc tak zwane typy antropologiczne. To są dla was, chłopcy, zbyt trudne zagadnienia, dlatego najlepiej będzie, jeśli wyjaśnię je wam na jakimś przykładzie. Ot, spójrzcie na pana Tomasza - to mówiąc Żaliczka wskazała na mnie palcem. - Należy do rasy białej, prawda. Ma jasne włosy, niebieskie oczy, jest wysoki, szczupły. Zdawałoby się, przedstawiciel rasy nordycznej, którą charakteryzuje wysoki wzrost, smukła budowa ciała, krótki tułów, długie kończyny, wąskie dłonie i wąskie stopy, biała skóra o różowym odcieniu, popielatawe włosy, niebieskie oczy, wąski, prosty nos, podłużna twarz i wydłużona głowa.

- Przepraszam - wtrąciłem - wydaje mi się, że właśnie nie mam wąskiego nosa, tylko dość mięsistą kluchę, a twarz moja jest okrągła.

- No, właśnie - przytaknęła Żaliczka - i ma pan także zbyt krótką głowę, jak na nordyka. Bo pan Tomasz posiada przymieszkę rasy żółtej, laponoidalnej. Jest pan przedstawicielem typu subnordycznego, który charakteryzuje krótkogłowość, twarz szerokolica, nos średnio szeroki i często ciemniejsza skóra niż u nordyków.

- A ja? - spytał Tell.

- A ja, do jakiego typu należę? - spytał Borówka.

- A ja, proszę pani? - dopytywał się Sokole Oko,

- Zgoda - kiwnęła głową Żaliczka. - Jutro postaram się znaleźć czas, aby pomierzyć wasze głowy. Spróbuję ustalić, kim jesteście z punktu widzenia antropologii. Teraz zaś, na zakończenie dzisiejszej rozmowy, powiem wam o sprawie, która wydaje mi się bardzo ważna. Otóż na świecie bardzo trudno dzisiaj o „czystego” klasycznego przedstawiciela jakiejś rasy. Większość ludzi to mieszańcy poszczególnych ras. Świat jest jak wielki kocioł, do którego wrzucono wiele składników i mieszano je dość dokładnie. Tylko niewiedzy ludzkiej i głupocie należy zawdzięczać poglądy, że jedni ludzie ze względu na kolor swej skóry są gorsi od innych, o innym kolorze skóry. Bo przecież jesteśmy na ogół mieszańcami, nosimy w sobie elementy różnych ras, choć najczęściej nie zdajemy sobie z tego sprawy. Ot, choćby nasz pan Toinasz Włóczęga. Wyobraźcie sobie, jakie to byłoby śmieszne, gdyby on, jako człowiek biały, uważał, że jest czymś lepszym, na przykład, od przedstawiciela rasy żółtej. Bo przecież pan Tomasz ma w sobie także elementy rasy żółtej, laponoidalnej. A czy zwróciliście uwagę, że wymieniając aż szesnaście ras ludzi współczesnych w ogóle nie

wspomniałam o rasie aryjskiej, semickiej, germańskiej czy słowiańskiej? Nie wspomniałam zaś dlatego, że z punktu widzenia naukowego nie ma w ogóle takich ras. Nie ma rasy aryjskiej lub semickiej, rozumiecie? Jeśli ktoś twierdzi inaczej (jak na przykład hitlerowcy), wiedźcie, że ten człowiek nigdy nit zetknął się z nauką i że po prostu gada głupstwa.

- To, na przykład, Żydzi nie należą do rasy semickiej? - zdziwił się Tell.

- Oczywiście, że nie należą, ponieważ nie ma, jak mówiłam, takiej rasy. Żydzi są mieszańcami. Znakomity polski antropolog prof. Czekanowski podaje, że przed wojną Żydzi w Warszawie posiadali ponad dwadzieścia pięć procent przymieszki nordycznej i ponad dwadzieścia procent przymieszki śródziemnomorskiej, resztę zaś stanowiła rasa armenoidalna, laponoidalna i orientalna. Te same składniki rasowe, choć w innym procencie, znajdziecie także u Słowian lub u ludności germańskiej...

Zaliczka podniosła się ze wzgórka.

- Chcielibyśmy także wiedzieć - powiedział Tell - o Polakach. Jakiej rasy ludność zamieszkuje ziemie polskie?

- Dobrze - zgodziła się Zaliczka. - Odpowiem wam na to pytanie. Jutro o tym pogadamy. Jutro po obiedzie.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

ZWIERZENIA PANA KAROLA – CZEGO BOI SIE PAN KAROL? – DZIWNE ZACHOWANIE HANKI – PRZYJAZD OFICERA Z KOMENDY GŁÓWNEJ MO – ŚLEDZTWO – TAJEMNICZY ANONIM – KTO ZDRADZIŁ BARABASZA? – OJCIEC HANKI JEST PODEJRZANY – ZABÓJSTWO – HISTORIA WYSPY ZŁOCZYŃCÓW-ZBRODNIA NA WYSPIE – GDZIE ZNIKNEŁY ZWŁOKI

Było ciepłe, choć pochmurne popołudnie. Siedziałem na trawie przed swoim namiotem i leniwie rozglądałem się po okolicy. W obozie antropologicznym trwał spokój i cisza, bo uczestnicy ekspedycji ułożyli się do poobiedniej drzemki. Po rzece płynął wolno towarowy statek, ciągnący aż trzy galary. Wydawały się puste, jednak statek z wielkim trudem parł pod prąd wezbranej rzeki. Z komina walił czarny dym, a wiatr aż do moich uszu przynosił łoskot maszyny parowej.

W pewnej chwili z namiociku ustawionego na skraju obozu antropologów wyszedł pan Karol. Jak zwykle, najpierw rozejrzał się ostrożnie na wszystkie strony. Zauważył mnie i jakby uradowany tym widokiem, skierował się w moją stronę.

- Dzień dobry panu - uśmiechnął się przyjaźnie.

- Dzień dobry - mruknąłem.

Usiadł obok mnie na trawie, wyjął pudełko papierosów.

- Przepraszam, że panu zawracam głowę - rzekł - ale coraz mniej rozumiem z tego, co się wkoło nas dzieje. Przychodzę do pana z prośbą o wyjaśnienie. Pani Zaliczka opowiedziała mi, że uwolniliście z podziennego bunkra jakiegoś rybaka nazwiskiem Skałbana, a dziś rano, kiedy pan jeszcze spał, zjawiała się w obozie milicja i zabrała rzeźbę pana Opałki. Zdołałem się dowiedzieć, że pan Opałko odtworzył wizerunek człowieka, który na jesieni zjawił się w miasteczku i nagle przepadł bez wieści. Ten człowiek podobno został zabity, ciało jego ukryto w starym bunkrze, harcerze przynieśli czaszkę, pan Opałko zrekonstruował twarz, i tak oto wyszła na jaw bardzo ponura historia.

- Owszem, to ponura historia - przytaknąłem.

- Jak pan sądzi, czy będziemy mieli z tego powodu jakieś przykrości? Może zwinąć namiocik i przenieść się inne, spokojniejsze strony, bo przecież przyjechałem tu na wypoczynek i żadne ponure historie mnie nie bawią. Lękam się jednak, że mój wyjazd

potraktowany zostanie jako ucieczka i napytam sobie biedy. Lecz co innego bardziej mnie przeraża. Pani Zaliczka wmówiła sobie, iż jestem detektywem, który przybył tutaj rozwikłać kryminalną zagadkę. Wiele razy próbowałem wyjaśnić jej, że nie jestem detektywem, ale im częściej to czynię, tym bardziej ona utwierdza się w swym przekonaniu. Pracuję jako urzędnik pocztowy w Warszawie, proszę, tu jest moja legitymacja. Nie chciałbym, aby miilicja pomyślała, że podaję się za kogoś innego. Nie chcę mieć żadnych kłopotów. Może pan zdoła wytłumaczyć pani Zaliczce jej omyłkę?

- Spróbuję - rzekłem bez przekonania.

Legitymacji pana Karola nie chciałem oglądać. Nie czułem się do tego uprawniony.

-A ów Skałbana? Dlaczego go zamknięto w podziemiu - pytał pan Karol i miał bardzo nieszczęśliwą minę. - Nie rozumiem, co się tu dzieje. Jeszcze i ja przez przypadek wplączę się w jakąś brzydką sprawę i będę miał wiele kłopotów. Co robić, proszę pana? Przyjechałem tu na wypoczynek, łowię ryby, które nie biorą, mam więc wystarczającą dozę zmartwień urlopowych. A tu jeszcze ta zbrodnia...

- No, to nas nie dotyczy. Zbrodnię popełniono jesienią, gdy każdy z nas był stąd daleko.

- Tak, tak, ona nas nie dotyczy - ucieszył się Karol.

Podniósł się, zobaczył bowiem Hankę zdążającą w kierunku mojego namiotu.

- Nie będę panu przeszkadzał. Przepraszam i dziękuję za dobre słowo - powiedział pan Karol i ukłonił mi się grzecznie.

- Skałbana się odnalazł - oznajmiła Hanka. - Widziałam go, gdy płynął dziś łódką po rzece.

- Wiem. To ja go odnalazłem - rzekłem z triumfem. Opowiedziałem jej o wyprawie w okolice maliniaka, o zjawieniu się pana Hertla, o zdradzieckim postępku Teresy, o odkryciu wjazdu do podziemnej komory i o odnalezieniu w niej związanego Skałbany, który nie potrafił przekonująco wyjaśnić swego uwięzienia.

- Skałbana kłamał - kiwnęła głową Hanka. - Trudno przypuszczać, aby Hertel, człowiek zupełnie tu obcy, tak doskonale orientował się w podziemiach starych bunkrów. To właśnie Skałbana najlepiej zna wszystkie zakątki bunkrów. Jestem pewna, że to on zaprowadził Hertla w podziemia, ale tam wydarzyło się coś, czego Skałbana nie przewidział. Hertel związał go i pozostawił w niewoli.

- Dlaczego? Dlaczego to zrobił?

- Ba, gdybyśmy umieli odpowiedzieć na to pytanie, myślę, że potrafilibyśmy wyjaśnić wiele innych kwestii, między innymi sprawę kryjówki zbiorów dziedzica Dunina.

- Pani przypuszcza, że to ma związek z zaginionymi zbiorami?

- Nie wiem, Tak mi się tylko wydaje...

- A ja sądzę, że to wszystko łączy się ze sprawą popełnionego tu zabójstwa.

- Co takiego? O czym pan mówi? - zawołała Hanka i tak była przejęta moimi słowami, że aż zerwała się z miejsca.

- Mówię o zabójstwie niejakiego Nikodema Pluty z bandy Barabasza, skazanego na karę śmierci i ułaskawionego przez Radę Państwa. Jesienią ubiegłego roku Pluta opuścił więzienie i został tu zabity.

Hanka zakryła twarz dłońmi.

- Boże drogi - powtarzała cicho. - Więc o tym już wiadomo.

- Oczywiście. Natomiast ciekawi mnie, skąd i pani wie o tej sprawie.

Odjęła ręce od twarzy. Spojrzała na mnie z przerażeniem.

- Ja nic nie wiem. Ja nic nie mówiłam. Panu się zdawało...

- Droga pani - rzekłem - musiałbym być ślepy i głuchy, aby nie wywnioskować z pani zachowania, że w tej sprawie wie pani wystarczająco wiele, aby odczuwać niepokój.

- To nieprawda - odrzekła gwałtownie. Wzruszyłem ramionami.

- Nie zamierzam wyciągać pani na zwierzenia. Wydaje mi się jednak, że lepiej byłoby dla pani samej, dla jej spokoju, gdyby zdradziła pani, co ją trapi.

A gdy to mówiłem, od strony rzeki doszedł naszych uszu warkot płynącej szybko motorówki. Po chwili wychyliła się zza zakrętu szara milicyjna łódź motorowa. Płynęła szybko, jej dziób nieco unosił się nad wodę, pozostawiała za sobą długą smugę białej piany.

Powiedziałem:

- Bardzo żałowałem, że nie było pani z nami, gdy odnaleźliśmy uwięzionego Skalbanę. Ostatnio odniosłem wrażenie, jakby straciła pani zainteresowanie dla tych wszystkich dziwnych historii, które się tu zdarzają.

- O to mi właśnie chodziło. Moje zainteresowanie dla tych spraw mogło się wydawać podejrzane. Do tego stopnia podejrzane, że przed chwilą wmawiał mi pan, że wiem więcej, niż mówię, i że z tego powodu odczuwam niepokój.

- Co to był za list, który otrzymał pani ojciec? - spytałem ją nagle.

- O jakim liście pan mówi?

- O tym, o którym powiedziała mi pani na wyspie, kiedy tak gwałtownie żądała pani, abym się stąd wyniósł. Za kogo mnie pani wówczas brała?

Szara motorówka uczyniła zwrot na środku rzeki i pomknęła prosto ku brzegowi, na którym znajdował się obóz antropologiczny. W miarę jak się przybliżała, rozpoznawałem płynących nią ludzi. Przy sterze siedział milicjant, a obok niego jakiś cywil z długim haczykowatym nosem.

- Oni chyba płyną tu do nas - zauważyła Hanka.

- Tak. To zapewne jest ktoś z Głównej Komendy MO. Przybywa w sprawie zabójstwa Nikodema Pluty.

- Brr - wstrząsnęła się Hanka. - Zaraz się zaczną przesłuchania i tym podobne historie. Wolę nie brać w tym udziału.

Podniosła się, podała mi rękę i odeszła. Nie omyliła się zresztą. Cywil ledwo wyskoczył z motorówki, zażądał rozmowy z panem Opalką, a potem ze mną.

Rzeźbiarz-antropolog na ten raz musiał zrezygnować z milczenia i dość długo na osobności opowiadał oficerowi z Komendy Głównej o swych umiejętnościach odtwarzania ludzkich twarzy na podstawie czaszki. Teraz oficer śledczy zabrał się do mnie. Kazał mi zaprowadzić się do obozu harcerskiego do Tella i jego chłopców. Wraz z nimi poszliśmy wszyscy do starego bunkra, gdzie chłopcy odkryli szkielet ludzki. Kości Nikodema Pluty jeszcze tam leżały. Oficer śledczy powiedział, że zostaną natychmiast przewiezione do Zakładu Medycyny Sądowej, w którym znajduje się już czaszka spreparowana przez pana Opalkę.

Wyznaję, że oficer śledczy nie uczynił na mnie miłego wrażenia. Był ponury, opryskliwy, małowówny, wydawać się mogło, że wszystkich naokoło, nie wyłączając mnie i Tella, posądza o zabójstwo Pluty.

Zadałem mu pytanie:

- Jak pan sądzi, dlaczego zabito Plutę? Odburknął niechętnie:

- To był człowiek z bandy Barabasza. Skoro po tylu latach więzienia powrócił w te strony, to znaczy, że miał tu jakieś stare rachunki do załatwienia. No, i ktoś go załatwił - zaśmiał się ponuro.

- Czy nie sądzi pan, że to miało coś wspólnego z zaginionymi zbiorami dziedzica Dunina? Spojrzał na mnie z ironią.

- Wiem, co ma pan na myśli. Jakaś sensacyjną historyjkę wokół zaginionych skarbów. E, panie - machnął ręką - ludzi tego pokroju, co Pluta, nie obchodzi staroświecczyzna. To byli bandyci, pan rozumie? Ich interesowały dolary, złoto, biżuteria, nie jakieś tam stare naczynia i zbroje dziedzica Dunina. Wydaje mi się, że powodem popełnionego przestępstwa były - jak

powiadam - porachunki z czasów Barabasza. Przed przyjazdem tutaj przejrzałem dokładnie akta ich sprawy. Otóż trzeba panu wiedzieć, że milicji udało się rozbić bandę na wyspie wiślanej, ponieważ ktoś zawiadomił milicję o tym noclegu. Władze bezpieczeństwa otrzymały anonim, otoczyły wyspę i w ten sposób rozbito bandę. Jednym słowem, w otoczeniu Barabasza, a raczej wśród ludzi, którym Barabasz ufał, był ktoś, kto go zdradził. Pluta miał w więzieniu dość czasu do zastanowienia się i zapewne wykrył zdrajcę. Wrócił tutaj, aby się zemścić. Ale to z nim ten ktoś się porachował.

- W takim razie odnalezienie zabójcy nie będzie trudne - powiedziałem. - Macie przecież w aktach ów stary anonim, porównacie charakter pisma anonimu z charakterami pisma ludzi z tej okolicy. I wszystko się wyda.

- Anonim był napisany za pomocą liter wyciętych z gazety, a więc tego rodzaju śledztwo byłoby bezowocne - skrzywił się niechętnie oficer śledczy.

Zastanawiałem się głośno:

- Dlaczego tamten człowiek zdradził Barabasza? Dlaczego wskazał, gdzie Barabasz będzie nocował? Może chciał się pozbyć Barabasza i jego ludzi, ponieważ pragnął osiąść zagrabione przez bandę łupy?

- Owszem - kiwnął głową oficer. - Ta hipoteza jest bardzo sensowna, choć znowu zmierza do sprawy zbiorów dziedzica Dunina. Z drugiej jednak strony powód napisania anonimu mógł być zupełnie inny. Przez kilka lat po wojnie walczyłem z bandami w szeregach KBW, wielu podobnych do Barabasza bandytów przesłuchiwałem i wydaje mi się, że trochę ich poznałem. Otóż zawsze bywa tak, że tego rodzaju osobnik, co Barabasz, ma wrogów w swoim najbliższym otoczeniu. Zawsze znajdzie się ktoś, komu nie podoba się szef bandy, bo sam chciałby „szefować”. Taki człowiek często zdradza po to, aby dowódca wpadł w ręce władzy i aby zdrajca mógł sam stanąć na czele bandy.

- Ale w tym wypadku zdradzono całą bandę.

- No tak. Mógł to uczynić ktoś, kogo banda skrzywdziła. W ten sposób zemścił się na niej.

- Skrzywdzony człowiek nie posługiwałby się anonimem - zareplikowałem. - Po prostu przyszedłby do milicji i otwarcie powiedział, gdzie nocuje banda.

Oficer pokręcił głową.

- Różnie bywało w takich sytuacjach. Niektórzy woleli pozostać w cieniu anonimu, lękając się zemsty ze strony bandy.

Tak rozmawialiśmy stojąc nad brzegiem rzeki obok przycumowanej do brzegu motorówki, w której oczekiwał na oficera umundurowany milicjant.

- Wydaje mi się, że dość dobrze w tych wszystkich sprawach poinformowana jest pani Pilarczykowa, tutejsza sklepikarka - powiedziałem oficerowi.

- Tak? - zdziwił się. Podziękował za informację. Podał mi rękę na pożegnanie i wskoczył do motorówki. Po chwili na rzece rozległ się warkot silnika. Milicjanci odjechali, a ja wróciłem do obozu.

Trwała tutaj zwykła przedwieczorna krzątania. Zaliczka przed swoim namiotem prała coś w misce, pan Opałko na podstawie jednej z tych czaszek, które odnaleziono w starej studni, rzeźbił na dworze nową głowę, w namiocie, w kuchni przygotowywano kolację, dochodził stamtąd brzęk naczyń kuchennych. Dwóch studentów leżało na kocu na trawie i czytało książki, Namiot pana Karola był szczelnie zasnurowany, zapewne pan Karol poszedł znowu na ryby.

Pomyślałem: „Doradziłem oficerowi milicji, żeby porozmawiał z plotkarską panią Pilarczykową. A czemu ja zaniedbałem tego źródła informacji?”

Szybkim krokiem pomaszerowałem do „sama”, zapuściłem silnik i pomknąłem do miasteczka. Po drodze motor zaczął parskać, krztusić się. „Oho, pewnie gaźnik zapchany” - przestraszyłem się, ale po chwili motor znowu pracował równo i spokojnie.

Sklep Pilarczykowej był jeszcze otwarty.

- Gdzie jest piwo? - spytałem.

- Nie ma - burknęła.

- A cygarniczki drewniane można kupić?

- Owszem - kiwnęła głową i niechętnie podsunęła mi pudełko.

- Gniewa się pani na mnie, że nie zawarłem z panią spółki dla poszukiwania zbiorów dziedzica Dunina? - powiedziałem szczerze. - Rzecz w tym, że ja naprawdę nie szukam tych zbiorów.

- Ale plan to pan miał - powiedziała z wyrzutem.

- Miałem. Lecz on nic nie był wart. Zaznaczono na nim wszystko oprócz miejsca, gdzie zostały ukryte zbiory. Zresztą, pani także wie, że skarby dziedzica ktoś już przeniósł w inne miejsce. Szkoda szukania.

Pani Pilarczykowa założyła ręce na grubym brzuchu i popatrzyła na mnie pogardliwie.

- Nie wierzył mi pan, gdy mówiłam, że znam tego wyrzeźbionego człowieka. Za wariatkę mnie pan uważał. I co się okazało? Ten człowiek był w naszym miasteczku jesienią ubiegłego roku. W moim sklepie pił piwo. Milicjanci z Komendy Powiatowej różnym ludziom pokazywali fotografie tego człowieka i wielu potwierdziło, że on był w naszym

miasteczku. Sklepowa z PSS-u powiedziała, że pytał ją, czy żyje jeszcze ten, co to światła na rzece zapala. Czy mieszka w tym samym domku nad Wisłą? A jak sklepo wa rzekła, że on żyje i mieszka w tym samym domku nad rzeką, to zabrał się ze sklepu i poszedł prościutko do niego,

- Do kogo?

- No, mówię przecież, że do Kondrasa, co boje zapala na rzece. Córka jego, Hanka, na lekarza wyucza się w Warszawie. Pannica z niej się zrobiła zarozumiała, gdy idzie przez ulicę, to ledwo się komu ukłoni. Teraz jej nos trochę opadnie, jak jej ojca zamkną.

- Zamkną? A niby dlaczego?

- No, bo jeśli ten człowiek poszedł do Kondrasa i, jak powiadają, nocował nawet u niego, a potem znaleziono jego kości w lesie, to chyba nie kto inny go zabił, jak Kondras.

Pomyślałem o Hance, o jej tajemnicy. No tak. To dlatego Hanka tak dziwnie zachowywała się, gdy po wiedziałem jej o szkielecie odnalezionym w starym bunkrze. I dlatego znała nazwisko zabitego. Nikodem Pluta nocował w jej domu...

Zapłaciłem pani Pilarczykowej za niepotrzebne mi cygarniczki i wyszedłem na ulicę. Już miałem wsiąść do samochodu i wrócić do obozu, gdy wydało mi się, że w głębi ulicy mignęła postać pana Karola. „To jednak nie poszedł na ryby” - pomyślałem. I choć pan Karol, podobnie jak ja, także chyba od czasu do czasu bywał w miasteczku, aby kupić papierosy lub jakieś wiktuały, to jednak pozostawiłem samochód przed sklepem Pilarczykowej i szybkim krokiem pomaszerowałem w stronę rynku.

Tak, to był pan Karol. Wszedł do cukierni, mieszczącej się obok przystanku autobusowego. Zbliżyłem się do dużej szyby wystawowej i zajrzałem do wnętrza.

Pana Karola nie było przy bufecie. Dojrzałem go w głębi, przy marmurowym stoliczku. Właśnie witał się z kimś, kto czekał na niego. Gdy usiadł, zobaczyłem, że osoba, z którą pan Karol umówił się w cukierni, to była... Teresa autostopowiczka.

Wróciłem do samochodu. „To taka historia? - medytowałem. - Czyżby Teresa zagięła teraz parol na pana Karola?”

Pojechałem do obozu. Był już wieczór. Pochmurny letni wieczór, powietrze przesyciła wilgoć. „W nocy zapewne spadnie deszcz” - pomyślałem.

Postawiłem „sama” tuż obok namiotu, popatrzyłem na rzekę, ciągle jeszcze wezbraną i brązową od niesionego mułu. „O tej porze ojciec Hanki zwykł zapalać światła w bojach ostrzegawczych - przypomniałem sobie. Ciekawe, czy i dzisiaj będzie to robił i czy rozlegnie się trzykrotne wołanie: Ba-ra-basz”.

I znowu wyprowadziłem „sama”. Pojechałem w las i w miejscu, gdzie ongiś dobijał

prom rzeczny, wjechałem w wodę. Płynąłem wolno pod prąd, środkiem rzeki, aby nie zostać zauważonym z domu Hanki, znajdującym się tuż nad brzegiem. Potem wpłynąłem w jedną z odnóg i wkrótce przybiłem do Wyspy Złoczyńców.

Wieczór zapadał coraz głębszy i bardziej mroczny. Z trudem odkryłem ścieżkę wiodącą przez wyspę. Na krótki moment zatrzymałem się przy zbiorowej mogile bandy Barabasza.

„Z tej bandy pozostało żywych tylko dwóch ludzi - zastanawiałem się. - Obydwaj po piętnastu latach więzienia znaleźli się na wolności. Pierwszy z nich, Nikodem Pluta, zginął jesienią ubiegłego roku i zwłoki jego ukryto w starym bunkrze. Czy nie jest prawdopodobne, że Pluta zabity został tą samą ręką, która napisała anonim i spowodowała rozbitcie całej bandy? Może ten ktoś zaprzysiągł zemstę wszystkim ludziom Barabasza, nawet i tym, którzy odbyli karę długoletniego więzienia? A więc w grę nie wchodziły zbiory dziedzica Dunina, lecz krwawa zemsta. Cóż jednak spowodowało, że Pluta prosto z więzienia właśnie w te strony skierował swe pierwsze kroki? Co go tu przyciągało, jak ćmę blask ognia, od którego skrzydła sobie opala i ginie?”

Wolnym krokiem odszedłem od mogiły bandy Barabasza. Znalazłem się na drugiej polanie, rezejrzałem się.

Koło drewnianej szopy ktoś stał. Był odwrócony plecami do mnie, a twarzą do rzeki. Z daleka widziałem tylko sylwetkę.

Nagle sylwetka ta zniknęła za drewnianą szopą, usłyszałem skrzyp zawiasów u drzwi.

„To zapewne Kondras” - pomyślałem i już zupełnie śmiało ruszyłem przez polanę. Wydawało mi się, że trafia się doskonała okazja, aby porozmawiać z nim na temat oskarżeń, o których mówiła Pilarczykowa.

- Co pan tu robi? - spytała mnie Hanka, wychodząc zza drewnianej szopy.

- To pani? - odpowiedziałem zaskoczony.

- Ojca wezwano na milicję i jeszcze do tej pory nie wrócił. Zapada ciemność, ktoś musi zapalić światła. Wiem, że w tej szopie ojciec miał zapasową latarnię, więc przyjechałam po nią łódką.

- Pomogę pani - zaofiarowałem się. Kiwnęła głową. Była wyraźnie uradowana spotkaniem ze mną.

- Brr - wstrząsnęła się zamykając drzwi szopy. - Nie lubię sama wchodzić do tej komórki. I powtórzyła pytanie:

- Po co pan zjawił się na wyspie?

- Nie wiem - odrzekłem szczerze. - Ta wyspa po prostu intryguje mnie. Zdarzyło się

na niej tyle strasznych rzeczy...

- To prawda. Czy zna pan historię wyspy? Już w samym fakcie jej powstania jest coś drammatycznego. To zdarzyło się przed dwustu laty, jak powiadają starzy ludzie. Pewnego lata flisacy spławiali rzeką ogromne tratwy dębowych pni drzewnych. Lato było wtedy upalne i bezdeszczowe, poziom wody w rzece bardzo niski, więc flisacy mieli dużo roboty z przepychaniem tratw między mieliznami. Któregoś dnia ta praca tak ich zmęczyła, że zbuntowali się i zażądali od kupców większej opłaty. Kupcy poczuli się zastanawiać, czy przystać na żądania flisaków, trwało to kilka dni, tratwy stały na wodzie, właśnie tutaj, w tym miejscu. W ciągu tych kilku dni woda zupełnie opadła i ogromne tratwy znalazły się na mieliznie. I choć kupcy wreszcie podnieśli opłaty, nikt już nie potrafił zepchnąć pni na głębszą wodę. Flisacy porzucili tratwy i bez żadnego zarobku powrócili do domów. Ludzono się, że może w następnym roku, gdy woda się podniesie, można będzie zepchnąć tratwy z mielizny. Lecz rzeka naniosiła na tratwy tyle piasku i mułu, że powstała z nich wyspa, która powiększała się z roku na rok. I dziś, gdy ktoś próbuje kopać tu głębszy dół, odnajduje w ziemi stare, butwiejące pnie drzewne...

- A potem dramatyczna klęska bandy Barabasza - dokończyłem opowieść Hanki o wyspie. - Wyobrażam sobie tę scenę, gdy wojsko i milicja na łodziach otoczyli wyspę, na której spali bandyci. Zapewne dopiero w ostatniej chwili spostrzegli niebezpieczeństwo i próbowali się bronić. Było już jednak za późno. Wojsko wdarło się na brzeg wyspy, nastąpiła gwałtowna strzelanina, ale Barabasz nie chciał się poddać, wiedział bowiem, że czeka go kara śmierci za popełnione zbrodnie. Podobnie było zapewne z innymi członkami bandy, wielu z nich przecież miało na swych rękach ludzką krew. Ujęto tylko Plutę i jeszcze jednego z bandytów.

- A potem Pluta zginął na wyspie...

- Tak? To jednak tutaj go zabito - mruknąłem. Hanka zmieszała się.

- Nie, nie, nie wiem, gdzie on został zabity. Błagam pana, skończmy tę rozmowę. Już ciemno, a boje nie mają światła i statki mogą osiąść na mieliznie.

Przy brzegu znajdowała się łódka Kondrasów. Hanka włożyła do niej zapasową latarnię i popłynęliśmy wzdłuż rzeki.

Było już zupełnie ciemno, gdy Hanka odwiozła mnie z powrotem na wyspę, gdzie pozostawiłem „sama”. Dopiero teraz zdecydowałem się zadać jej najważniejsze dla mnie pytanie:

- Dlaczego pani ojca wezwano na milicję? Czy to jakaś poważna sprawa?

- Nie wiem - szepnęła.

W milczeniu obserwowaliśmy płynący po rzece statek pasażerski. W ciemnościach zalegających rzekę wesoło świeciły okna w kabinach, dolatywały do nas odgłosy muzyki tanecznej, na statku zapewne trwała zabawa.

- Dobrze. Powiem panu wszystko, tylko błagam, niech pan tego nikomu nie powtarza. Jest mi zbyt ciężko z tą tajemnicą, chciałabym się komuś zwierzyć, poradzić, bo czuję się bezradna. Ale niech pan przysięgnie, że nikomu pan nie powie o tym, czego dowie się pan ode mnie.

- Przysięgam - powiedziałem z powagą.

- Pluta nocował u nas. Moi rodzice byli ostatnimi, którzy go widzieli, zanim zginął.

- O, to ja wiem. O tym mówią ludzie w miasteczku.

- Tak, Tylko że nikt nie zna wszystkich szczegółów. Ja też wiem o tym z opowiadania mego ojca, bo zdarzyło się to jesienią, gdy przebywałam w Warszawie.

- Pani ojciec był w bandzie Barabasza?

- Nie. Ale znał Barabasza i wielu członków jego bandy. Mieszkamy przecież nad rzeką, z daleka od miasteczka, można rzec na bezludziu. Banda Barabasza miała swą siedzibę w pobliżu nas, kryła się w starych bunkrach albo na wyspie. Niekiedy ludzie z bandy Barabasza przychodzili do nas po mleko, oczywiście, zabierali je za darmo, po prostu rabowali. Kilkakrotnie mój ojciec musiał przewozić ludzi Barabasza łódką na drugi brzeg rzeki. Gdyby tego nie zrobił, zostałby zabity, a ja wtedy byłam malutkim dzieckiem...

- Rozumiem - kiwnąłem głową.

- Później banda Barabasza została rozbita. Cała okplica odetchnęła z ulgą. Minęły lata i oto pewnego jesiennego wieczoru zjawił się w naszym domu Nikodem Pluta, zwolniony z więzienia. Zażądał noclegu, powiedział, że ma do załatwienia jakieś sprawy w tej okolicy. Pluta został na noc. Nazajutrz rano wyszedł od nas i nie było go przez cały dzień. Zjawił się ponownie dopiero wieczorem i poprosił ojca o klucz od tej właśnie drewnianej budki na wyspie. Ojciec wahał się, czy ma prawo dać mu klucz, bo przecież w budce miał swoje latarnie i zapasowe boje, ale Pluta wyjął pistolet - okazało się, że jest uzbrojony. Pod groźbą pistoletu ojciec dał mu klucz i Pluta znowu opuścił nasz dom. Późnym wieczorem, gdy ojciec zapalił już światła w bojach, zdecydował się zajrzeć do budki na wyspie. Ciekawiło ojca, po co był Plucie potrzebny ów klucz. Drzwi od budki zastał półotwarte. Wszedł do wnętrza i zapalił latarkę. Wtedy zobaczył leżącego na ziemi Plutę. Miał rozbitą głowę - nie żył już. Ojciec strasznie się przeraził, uciekł z budki i popłynął do domu, żeby poradzić się matki, co dalej robić. Ojciec się bał, że osądzenie o zabójstwo padnie na niego, ponieważ zabito Plutę

w jego budce na wyspie. Matka doradziła ojcu, aby zawiadomił o wszystkim milicję, przedtem jednak chciała się sama upewnić, jak to wszystko wygląda, bo ojciec był tak zdenerwowany, że z jego opowiadania niewiele mogła zrozumieć. Popłynęli więc razem na wyspę, otworzyli drzwi budki i...

- I... - podchwyciłem.

- Nie znaleźli zabitego Pluty. Nie było w budce ani jego ciała, ani śladów krwi, ani niczego, co wskazywałoby na to, że wydarzyła się tu zbrodnia. Klucz zaś, który ojciec dał Plucie, tkwił w otwartej kłódce wiszącej na skoblu. Ojciec przysięgał matce, że opowiedział jej prawdę o zabitym Plucie, matka uwierzyła, choć to opowiadanie wyglądało na jakiś koszmarny sen. Oczywiście do milicji już nie poszli. Ojciec bał się, że jego opowiadanie wezmą za chorobliwą imaginację... Postanowił dać spokój tej sprawie i myślę, że uczynił bardzo niedobrze.

- Owszem. To nie było rozsądne.

- Minęło kilka tygodni, ciała Pluty nigdzie nie znaleziono, wreszcie ojciec zaczął uważać, że tamta historia to był tylko sen. Aż dopiero po kilku miesiącach, właśnie wtedy, gdy pan przyjechał w nasze strony, mój ojciec otrzymał list. Dziwny list. Litery miał wycięte z gazety...

- Z gazety? - powtórzyłem zdumiony. Przypomniałem sobie, że anonim, zawiadamiający władze milicyjne o noclegu bandy Barabasza na wyspie, również składał się z liter wyciętych z gazety. Podobnie było z listem do profesora antropologii.

- Tak. Z gazety były wycięte litery. Było napisane w tym liście: ZOSTAW OTWARTĄ BUDE NA WYSPIE.

- I ojciec postąpił zgodnie z tym żądaniem?

- Zachował się tak, jakby nie otrzymał żadnego listu, choć chyba domyśla się pan, jak bardzo był wstrząśnięty i przerażony. Odżyła w nim na nowo historia z odkrytymi w budce zwłokami Pluty. Zwłokarni, które zniknęły.

- Odnalazły się w starym bunkrze w lesie.

- Tak. Ale wówczas nie wiedzieliśmy o tym. Ta sprawa wydała się nam po prostu niesamowita. Właśnie wtedy pan rozstawił swój namiot na wyspie, podejrzewałam więc, że to pan pisał list do mego ojca, i dlatego wówczas tak się zachowałam. Kazałam się panu wynosić z wyspy.

- Czy nie domyśla się pani, kto był autorem listu?

- Wiem tylko, że jest to chyba ten sam człowiek, który zabił Plutę w budce na wyspie.

- Pluta wziął klucz od pani ojca - rozważałem głośno. - A więc umówił się z kimś w

budce na wyspie. I ten, z kim się umówił, zabił go. Był to człowiek, który potem napisał do pani ojca list literami wyciętymi z gazety, a jeszcze wcześniej, przed laty, ten sam człowiek w ten sam sposób zdradził miejsce noclegu bandy Barabasza.

- W ten sam sposób? Nic o tym nie wiedziałam.

- Nikt o tym nie wiedział oprócz milicji.

- Jak pan sądzi, czy szykowała się tutaj nowa zbrodnia? I czy ona nastąpiła?

- Nie wiem, Być może w któryś z bunkrów znowu odnajdziemy czyjeś zwłoki. Nawet wiem, kto to będzie.

- Kto? - krzyknęła przerażona.

- Ten drugi z bandy Barabasza. Ten, który wraz z Plutą skazany został najpierw na karę śmierci, a potem przesiedział piętnaście lat i, podobnie jak Pluta, został zwolniony z więzienia. Tylko że to jego zwolnienie nastąpiło dopiero w maju... - Boże drogi...

- Czy przypomina pani sobie podsłuchaną przez nas rozmowę, gdy siedzieliśmy na strychu w szopie leśnej? Przechodzący obok szopy ludzie mówili właśnie o zwolnieniu z więzienia dwóch członków bandy Barabasza. Wspomnieli także o jakimś „starym”, który z początku myślał, że „ten gość” z planem, to znaczy ja, jest właśnie od Barabasza. Kto to może być ów „stary”?

- Dużo jest starych ludzi w tej okolicy.

- Ach, to niekoniecznie musi być człowiek stary wiekiem. Często mówi się „stary” na swego zwierzchnika, na szefa. Jedno jest pewne: niektórzy ludzie w tej okolicy wiedzieli, że dwóch ludzi Barabasza zostało zwolnionych z więzienia.

- Brr... - dreszcz strachu przeszedł Hankę. - Jakie to wszystko ponure i groźne.

Mimo woli obejrzeliśmy się za siebie, na zamknięte drzwi do drewnianej budy, w której rozegrała się zbrodnia.

Była noc. Zerwał się lekki wietrzyk, zachmurzone niebo poczynalo się przecierać, ukazywały się gwiazdy. Wbrew moim przewidywaniom zapowiadała się pogoda.

- Czas wracać do domu - powiedziałem.

Uścisnąłem dłoń Hanki. Wskoczyła do łódki przycumowanej przy brzegu, a ja przez pogrążoną w ciemnościach Wyspę Złoczyńców powędrowałem do „sama”, który cierpliwie oczekiwał na mnie ukryty w krzakach wikliny.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

POŚCIG ZA KŁUSOWNIKAMI – ZDOBYWAM ŁÓDKĘ KŁUSOWNIKÓW – POŻYTEK Z ŁAKOMSTWA – PODEJRZANY TYP – CO KRYŁ STARY CMENTARZ – ZNALEZISKA ZE STARYCH GROBÓW – ARESZTOWANIE KONDRASA – TERESA KRADNIE ŁÓDKĘ – SPOTKANIE W LESIE – DOKĄD POPLYNĘŁA TERESA?

Głos trąbki sygnalizacyjnej dopędził mnie na rozstaju dróg leśnych. Trąbka harcerska zdawała się gwałtownie wzywać do czynu, do akcji. Jedną mogła być tylko przyczyna nocnego alarmu u harcerzy: kłusownicy.

Zawróciłem i skierowałem auto w stronę obozu. Trąbka ostro i przenikliwie przerywała nocną ciszę. Gdy dojechałem tam, obóz był już pusty, a trąbka umilkła. Podążyłem więc w kierunku rzeki i zjazdu do starego promu. Tutaj w świetle reflektorów „sama” dojrzałem sporą grupkę harcerzy. Stali na brzegu, patrzyli na wodę i gniewnie wymachiwali rękami.

- Uciekł. Wskoczył w łódkę i uciekł - dopadł do mnie Sokole Oko. - A drugi kłusownik zniknął koło starych bunkrów. Nie mamy łódki, żeby ruszyć w pogoń za tym, który popłynął. O, tam, jeszcze go widać na wodzie.

Wjechałem w rzekę. Zrobiłem to bez zastanowienia. Samotnie zacząłem ścigać kłusownika, który, być może, był uzbrojony. Lecz dopiero gdy znalazł się na wodzie, uświadomiłem sobie wszystkie niebezpieczeństwa związane z pościgiem. Nie było już jednak odwrotu, bo niemożliwym wydawało mi się stchórzenie na oczach zebranych na brzegu harcerzy. Zresztą i teraz nie miałem zbyt wiele czasu do namysłu. Kłusownik znajdował się w pobliżu prawego brzegu, dzieliło go ode mnie najwyżej dwieście metrów. Jego łódka zaopatrzona była w mały motorek, który głośno terkotał. Fakt, że i on posługiwał się czymś w rodzaju motorówki, obudził we mnie uczucie sportowej rywalizacji.

Włączyłem długie światła. Ich strumień prawie liznął łódkę kłusownika. Począłem rozpędzać „sama” i ani na moment nie wypuszczałem uciekiniera z zasięgu swoich reflektorów.

„Sam” był oczywiście szybszy od łódki ze stosunkowo słabym motorkiem. Upłynęło zaledwie kilka minut i oto kłusownik znajdował się już tylko w odległości pięćdziesięciu metrów. Światła oślepiały go i zapewne nie był nawet w stanie dokładnie zobaczyć, co to za

machina ściga go po rzece. Wiedział tylko, że to „coś” jest szybsze i zmierza wprost na niego. Aby jeszcze bardziej skonsternować go, kilkakrotnie przycisnąłem klakson „sama”. Rzeka poniosła głośny i dźwięczny głos samochodowej trąbki.

Jeśli z początku zamyślał uciekać z prądem rzeki, to nagle zmienił decyzję. Wiedział, że swoją łódką nie umknie, więc zapragnął znaleźć się na brzegu. Jeszcze trzydzieści metrów... dwadzieścia..., dziesięć...

Łódka zaryła się w brzeg. Zobaczyłem, że kłusownik wyskoczył z niej i pomknął w krzaki wikliny.

Szukanie kłusownika w krzakach zarastających brzeg było bezcelowe. Przybiłem więc do brzegu, wyjąłem z kufra gruby sznur, hol samochodowy, uwiązałem łódkę do „sama” i ruszyłem z powrotem. „Skoro w naszych rękach znalazła się łódka kłusowników - pomyślałem - prędzej czy później milicja znajdzie jej właściciela. Tym bardziej że nie jest to zwykła łódka, lecz zaopatrzona w silniczek spalinowy”.

Na brzegu przyjęli mnie harcerze radosnym okrzykiem: „Wiwat, hurra”. Wyciągnęli łódkę kłusownika głęboko na brzeg i ustawili przy niej wartę. Teraz od Tella dowiedziałem się, jaki był początek tej przygody.

I znowu okazało się, jak pożyteczną rolę spełniało łakomstwo druha Palki.

- On znowu bez zezwolenia wymknął się wieczorem do maliniaka obok starych bunkrów - opowiadał Tell. - Dotarł tam bez żadnych przeszkód, objadł się i wracał do obozu, gdy w zagajniku obok kładki, przerzuconej przez rów przeciwczołgowy, zobaczył dwóch ludzi rozstawiających między sosenkami żelazne potrzaski. Wtedy Palka przybiegł co tchu do komendanta obozu. Zagrała trąbka alarmowa. Kładliśmy się właśnie do snu, bo już było po wieczornym apelu. Och, co się działo w naszym obozie! Niektórzy ścigali kłusowników w samej bieliźnie, gdyż nie zdążyli się ubrać. Cały nasz obóz pobiegł do lasu, a ponieważ każdy z nas ma latarkę elektryczną, więc kłusownikom mogło się wydawać, że ściga ich ogromna armia. Uciekali, ile sił mieli w nogach. Ale urządzili się bardzo przebiegle. Rozdzielili się. Jeden pomknął w głąb lasu, a drugi w przeciwną stronę, do rzeki. W naszych szeregach zrobił się bałagan, bo nie wiedzieliśmy, którzy mają ścigać tego, co uciekł do lasu, a którzy tego, co pomknął w stronę rzeki. No i ten, który czmychnął w głąb lasu, nagle zniknął nam z oczu. Jakby się w ziemię zapadł. To było koło bunkra, w którym znaleźliśmy szkielet ludzki. A drugi kłusownik zdążył dopaść łódki. Na szczęście, pan się wówczas zjawił na brzegu...

- Tak, tak, to był bardzo szczęśliwy zbieg okoliczności - powiedział jakiś znajomy głos.

I do „sama”, przy którym rozmawiałem z Tellem, podszedł pan Karol.

- Pan tutaj? - zdziwiłem się. - Pan także ścigał kłusowników?

- I to bardzo dzielnie. Szczególnie tego, który zniknął w lesie - stwierdził Tell.

- Wracalem znad rzeki. Łowiłem ryby - wyjaśnił pan Karol potrząsając wędkami, które miał ze sobą. - Raptem usłyszałem sygnał trąbki w obozie, a potem zobaczyłem biegnących przez las harcerzy. Przyłączyłem się do nich i bylibyśmy dognali kłusowników, gdyby nie ich fortel.

Miałem na końcu języka zdanie: „a ja sądziłem, że pan zrezygnował z połowu ryb na rzecz przyjemnej rozmowy w kawiarni”, ale się wstrzymałem. Nie chciałem, aby pan Karol dowiedział się, że go śledziłem. Zresztą przystąpił do mnie druh Palka, słynny łakomczuch. Byłem rad z poznania go, bo przecież dzięki jego łakomstwu dowiedzieliśmy się o czarnym samochodzie przyjeżdżającym wieczorem do lasu i uwolniliśmy Skałbanę.

Tym razem z łakomstwa Palki również wyciągnęliśmy korzyści.

Druh Palka był wysoki, chudy, z długą szyją, na której znajdowała się malutka główka. Łakomczuchów wyobrażałem sobie zawsze jako grubasów. Ten był chudy i to wydawało mi się bardzo śmieszne.

- Uważam, że powinienem otrzymać odznaczenie - rzekł druh Palka prężąc dumnie chudą pierś - To dzięki mnie dokonano obławy na kłusowników.

- Najprawdopodobniej otrzymasz surowe upomnienie - przerwał mu Tell. - Znowu bez zezwolenia po apelu wieczornym oddaliłeś się z obozu.

Rozpoczęli sprzeczkę. Pozostawiłem ich więc samym sobie i zaprosiwszy pana Karola do „sama”, pojechałem do naszego obozu.

- Jak to się stało, że jeden z kłusowników zniknął wam z oczu, jakby się pod ziemię zapadł? - zagadnąłem po drodze pana Karola.

- Znajdował się od nas w oddaleniu najwyżej dwudziestu kroków. Przebiegł kładkę na rowie przeciwczołgowym i raptem jakby się rozwiął w powietrzu.

- Harcerze twierdzili, że to się stało koło bunkra, gdzie znaleziono szkielet ludzki.

- Nie wiem, gdzie znaleziono szkielet - wzruszył ramionami pan Karol. - Zresztą, było przecież ciemno, a choć harcerze mieli latarki elektryczne, to przecież w lesie nietrudno się schować.

- Tym bardziej, gdy są w nim stare bunkry - dodałem.

- Zaglądaliśmy i do starych bunkrów - powiedział pan Karol.

Nasunęła mi się niespodziewanie dość dziwna i zaskakująca myśl. Zastanawiając się nad nią, umilkłem. Pan Karol także nie kontynuował rozmowy, w milczeniu więc

zajechaliśmy do obozu.

Natychmiast położyłem się spać. W nocy miałem sen: goniłem jakąś czarno odzianą postać, która kluczyła po ścieżkach leśnych. Byłem już coraz bliżej tej postaci, już, już miałem ją schwytać za ramię, gdy raptem nogi moje stały się ociężałe. Czarno odziana postać obejrzała się na mnie, wówczas rozpoznałem w niej pana Karola. Zaczął oddalać się ode mnie coraz bardziej i bardziej, wreszcie uczynił tajemniczy gest ręką, rozstąpiła się ziemia i pan Karol zniknął mi z oczu...

Obudziłem się dość późno, z uczuciem wielkiego głodu. Moje zapasy żywnościowe już się skończyły, obóz antropologów był pusty, wszyscy poszli do pracy na wykopaliskach, nie miałem od kogo pożyczyć nawet kawałka chleba. Nie pozostało mi nic innego, jak na czczo pojechać do miasta.

Zjadłem śniadanie w barze mlecznym w uliczce obok kościoła. Na rynku napotkałem Tella i jego chłopców.

- Idziemy na wykopaliska w parku dziedzica Dunina - oświadczył Wilhelm Tell, - Pani magister Alina obiecała nam opowiedzieć o tym, co tam do tej pory wykopano.

- Tam pracuje dziś także pani Zaliczka - dodał Sokole Oko. - Określi, jakie jesteśmy typy.

- Ja od razu mogę ci powiedzieć, jaki ty jesteś typ - wtrącił Borówka. - Ty jesteś ciemny typ.

- A ty podejrzany typ - odpalił mu Sokole Oko.

- Cicho. Nie kłócić się - uspokoił ich Tell.

Obsiedli mój samochód i pojechaliśmy do parku dziedzica Dunina. Przed kilkuset laty tutaj właśnie, na niewielkim wzgórzu nad jeziorem, rozciągał się cmentarz. Teraz oczywiście po cmentarzu nie pozostało żadnego widocznego śladu, urosła trawa i stare drzewa, a po jeziorze pozostała tylko sadzawka. Nad sadzawką zbudowano pałac, w którym zamieszkali Duninowie. I dopiero, gdy w pałacu Dunina umieszczono Szkołę Rolniczą i zaczęto kopać w parku rowy do przewodów kanalizacyjnych, odnaleziono w ziemi stare szkielety ludzkie.

Antropologowie odkopali wierzchnią warstwę ziemi na dość dużym obszarze, tworzącym kwadrat. Groby, które były na szczycie wzgórka, okazały się tuż pod powierzchnią, gdyż w ciągu kilkuset lat deszcze rozmyły teren. Niżej położone groby okrywała jednak gruba na metr warstwa ziemi. Teren był dość suchy, kości na ogół dobrze się zachowały. Szkielety ludzkie leżały w równych szeregach, jedno w niewielkiej odległości od drugich. Żółtawobrazowe czaszki i kości wyróżniały się wyraźnie na tle złotawej barwy

piasku.

- Jakie te szkielety są malutkie... - powiedział półgłosem Wilhelm Tell.

- A tak - przytaknęła Zaliczka - prawie dwie trzecie grobów to groby dziecięce. W dawnych czasach była ogromna śmiertelność wśród niemowląt i dzieci. Nie znano tyłu lekarstw, co teraz, nie umiano zapobiegać epidemiom, nie było tak powszechnej opieki lekarskiej. W trudnych i ciężkich warunkach dawnego bytowania tylko silna i wyjątkowo zdrowa jednostka mogła dorosnąć, zresztą ludzie wtedy żyli znacznie krócej niż dzisiaj.

- Krócej? - zdziwił się Tell. - Czytałem w jakiejś książce, że ludzie w dawnych czasach byli bardzo zdrowi, silniejsi, mocniejsi, żyli bardzo długo.

- Owszem, zapewne były jednostki dożywające sędziwego wieku - wpadła w tok rozmowy pani magister Alina. - Lecz przeciętny człowiek w dawnych czasach żył krócej niż dzisiaj. Był niższy, drobniejszy, choć zapewne trafiały się jednostki w rodzaju Pod-bięty, wielkoludy. Stare cmentarze opowiadają o dawnych ludziach. Kości znajdowane w starych grobach mówią nie tylko, ile lat miał ów człowiek, gdy umarł, ale niekiedy zdradzają, na co chorował za życia i dlaczego umarł. Otworzyliśmy tutaj już prawie sto grobów, a tylko w kilku leżeli sześćdziesięcioletni starcy. Reszta to groby dzieci, młodzieńców, ludzi zmarłych, jak to się mówi, w kwiecie wieku. Spójrzcie, jacy oni drobni, źle odżywieni, kości ich noszą ślady reumatyzmu, krzywicy. Inna sprawa, że na cmentarzu grzebano prawdopodobnie ubogą ludność miasteczka. Bogacze, rycerze chowani byli w kryptach pod kościołem. Ale cmentarz ten mówi nam, że ludność uboższa w dawnych czasach odżywiała się źle i byle choroba zwała ją z nóg, panowała wśród tej ludności duża śmiertelność, bo nie znano zasad higieny, szalały epidemie.

Cmentarz, który odkopujemy - ciągnęła dalej magister Alina - założono najprawdopodobniej w XI wieku i grzebano na nim ludzi aż do wieku XIII, z tego bowiem czasu pochodzą najmłodsze groby. Układ większości mogił typowy jest dla cmentarzy z tego okresu: chowano umarłego na linii wschód-zachód, z tym że głowa zawsze zwrócona była na zachód. W niektórych grobach zachowały się ślady trumien drewnianych, drewno zgniło niemal doszczętnie, ale pozostały gwoździe żelazne, którymi zbijano deski. Niektórych zmarłych, zapewne tych najuboższych, chowano bez trumien, najprawdopodobniej owiniętych w całun z tkaniny, o czym świadczy charakterystyczne ułożenie szkieletu, wydaje się on jakby skrępowany. Przy szkieletach odnaleźliśmy wiele ozdób, jakie zmarli nosili za życia, a więc kabłączki skroniowe, czyli kolczyki, pierścionki z brązu, żelazne sprzączki od pasów, paciorki szklane. W jednym z grobów dziecięcych była doskonale zachowana tasiemka z oryginalnym ornamentem geometrycznym. W kilku grobach odkryliśmy monety,

które znajdowały się prawdopodobnie w ubraniu nieboszczyka. Wspomnieć także warto, że odnaleźliśmy monety, które z całą pewnością leżały w ustach zmarłego, To zdaje się świadczyć, że dość długo w naszym kraju wśród biedniejszej ludności zachowały się obyczaje pogańskie.

O hołdowaniu tym obyczajom zapewne świadczą także leżące niekiedy obok zmarłego przedmioty codziennego użytku, takie jak: noże żelazne, przęśliki gliniane...

Na przykład w tym grobie w rogu cmentarza - wskazała magister Alina - w ogóle nie było szkieletu, a w miejscu, gdzie powinna się znajdować czaszka, stało gliniane naczynie, w nim zaś kosteczki kury. Zapewne jest to wyraz wierzeń pogańskich i pogańskich obyczajów.

Na tym zakończyliśmy zwiedzanie starego cmentarza. Nie chcieliśmy się naprzykrzać pani Alinie, bo na cmentarzu trwała wyteżona praca, robotnicy odrzucali wierzchnią warstwę ziemi, a studenci miotełkami oczyszczali szkielety.

W południe ustała praca na wykopach i zarządzono półgodzinny odpoczynek. Wówczas zagadnąłem Zaliczkę:

- A do jakich ras należeli nasi przodkowie? Ciekawi mnie, kim byli z punktu widzenia antropologicznego?

- Czy myśli pan o tych tutaj, na tym cmentarzu? Jeśli chodzi o te szkielety, to wprawdzie musimy je dokładnie zbadać, wymierzyć im czaszki, przeprowadzić cały szereg żmudnych analiz naukowych. Zresztą, żadnych wniosków nie będzie można wysnuć, zanim nie przebadamy całego cmentarzyska. Istnieje jednak wiele prac naukowych dotyczących składu rasowego ludności zamieszkującej nasze tereny nawet w czasach bardzo odległych, na przykład w epoce kamiennej.

- No właśnie, to mnie bardzo interesuje - powiedziałem.

- Jeden z moich kolegów opublikował niedawno pracę naukową na ten temat. Przebadany przez niego materiał wykopaliskowy z okresu epoki kamiennej zdaje się świadczyć, że na naszych terenach żyła ludność bardzo mieszana pod względem rasowym. Około trzydziestu procent stanowiła ludność rasy białej, około pięćdziesięciu procent mieszanci biało-żółci i około dziesięciu procent przedstawiciele rasy żółtej. W każdym razie przewagę stanowił element rasy wyżynnej, czyli żółtej. Stopniowo jednak w miarę upływu lat składnik ten był wypierany bądź przez składnik nordyczny, wiemy, jak wyglądają nordycy - długogłowi blondyni o niebieskich oczach - bądź przez składnik kromanionoidalny. Rasę kromanionoidalną charakteryzuje długa głowa przy szerokiej twarzy i dość szeroki nos, coś w rodzaju białego Murzyna, budowa ciała masywna, ciężka, włosy bardzo jasne o rudawym odcieniu, bardzo jasna cera, oczy niebieskie lub szare. Ta rasa, jak już mówiłam,

bardzo stara, pochodząca jeszcze z czasów paleolitu, w dobie współczesnej zupełnie prawie zniknęła. Należy przypuszczać, że we wczesnym średniowieczu nastąpiła silna nordyzacja ludności zamieszkującej nasze tereny.

- A jak jest dzisiaj? Jaka ludność zamieszkuje Polskę? - spytałem.

- Nie ma jeszcze dokładnych wyników najnowszych badań. Posiadamy tylko pewne dane z okresu międzywojennego. Ogólnie jednak można stwierdzić, że obecną ludność Polski tworzą pochodne sześciu ras: nordycznej, kromanionoidalnej, śródziemnomorskiej, armenoidalnej, laponoidalnej oraz wyżynnej. Cztery pierwsze reprezentują rasy białe, a dwie ostatnie - rasy żółte.

Rozmowie naszej przysłuchiwali się Tell i jego chłopcy. W pewnej chwili zapewne uznali, że dość się już nagadałem z Zaliczką, i teraz oni poczuli jej stawiać pytania:

- Do jakiej pani należy rasy? A my?

- Ja reprezentuję tak zwany typ dynarski - cierpliwie zaczęła wyjaśniać Zaliczka. - Mam jasną skórę, ciemne włosy, jestem wysoka, mam krótką głowę, długą twarz, wąski garbaty nos i wielkie stopy.

Spojrzałem na stopy Zaliczki. Rzeczywiście były dość duże. W każdym razie ja miałem takie same, jak Zaliczka, choć przecież jestem od niej wyższy.

- Ty zaś, Tellu, wydajesz się być przedstawicielem rasy śródziemnomorskiej. Tę rasę cechuje dość niski wzrost, dłuższy tułów, śniada skóra, ciemne włosy, ciemne oczy, dość wąski nos i długa głowa.

- A ja? - dopominał się Borówka.

- Wydanie diagnozy wymaga dokładnych badań i pomiarów - zaśmiała się Zaliczka. - Przypuszczam jednak, że będę bliska prawdy, jeśli stwierdzę, że przypominasz reprezentanta typu alpejskiego, posiadasz bowiem skórę dość jasną, włosy ciemne, oczy piwne, twarz średnio-długą, dość wąski nos, głowę okrągłą i wzrost dość niski.

- Nieprawda - rozgniewał się Borówka - wcale nie jestem taki niski.

- Nie powiedziałam, że jesteś „taki” niski. Ale przecież Sokole Oko jest w tym samym wieku, co ty, a jest znacznie wyższy. On przypomina reprezentanta typu północno-zachodniego. Ma jasną, piegowatą skórę, głowę wydłużoną, długą i dość szeroką twarz, wąski nos, jest smukły i wysoki.

- Jednym słowem, wszyscy jesteśmy od sasa do lasa - zakończył tę rozmowę Tell.

Na wykopach wznowiono przerwana pracę i Zaliczka musiała od nas odejść. Zagadnałem Tella zupełnie z „innej beczki”:

- Opowiadałeś mi, Tellu, że ścigałeś kłusownika, który uciekł w głąb lasu. Czy

pamiętasz dokładnie miejsce, gdzie zniknął wam z oczu?

- Tak - skinął głową Tell. - To było koło bunkra, w którym znaleźliśmy szkielet.

- Lecz przecież nie schował się on chyba do bunkra. Tam są ogromne, czerwone mrówki.

- Nie, nie ukrył się tam, zaglądaliśmy do bunkra, świecąc latarkami.

- W takim razie, co się z nim stało? Przecież nie wyparował?

- Może udało mu się niepostrzeżenie dobiec do zagajnika i zaszył się w gęstwemę?

Dalsze szukanie go pozostawiłem innym chłopcom, a sam pobiegłem nad rzekę za drugim kłusownikiem - tłumaczył mi Tell.

Znowu zbliżyła się do nas Zaliczka.

- Pan to tylko ciągle coś szepce z chłopakami, ciągle pan odbywa tajemnicze narady. Gdybym była detektywem, jak pan Karol, to przede wszystkim właśnie pana postarałabym się wyłączyć z poszukiwań zbiorów dziedzica Dunina.

- Pan Karol nie jest detektywem - zauważyłem po raz nie wiadomo który. - Nawet prosił mnie, abym przekonał panią, że nie należy o nim mówić „detektyw”, ponieważ jest on tylko zwykłym urzędnikiem pocztowym i obawia się nieprzyjemności z powodu podszywania się pod inną osobę.

- Tak panu powiedział? - z zachwytem zapytała Zaliczka. - Ach, cóż.to za przebiegły człowiek. Ogarnęła mnie złość.

- Proszę pani - zacząłem bardzo uprzejmie, choć aż drżałem z irytacji. - W żaden sposób nie mogę pojąć, że właśnie pani, tak doskonale obeznana z problemami naukowymi, bądź co bądź dobrze zapowiadający się młody naukowiec, właśnie pani, powtarzam, jest pod innymi względami zupełnie naiwna. Przepowiadam pani, że za kilkanaście lat stanie się pani owym przysłowiowym, anegdotycznym naukowcem, któremu studenci będą raz po raz płatać przeróżne psikusy.

- Nie jestem naiwna - potrząsnęła głową Zaliczka. - Dlatego nic sobie nie robię z pańskiego gadania.

- Pan Karol nie jest detektywem - powtórzyłem z rozpaczą.

- Nie? A kimże jest w takim razie?

- Urzędnikiem pocztowym. Przyjechał tu na wyppczynek. Łowi ryby, spaceruje.

- Otrzymaliśmy list, że do naszego obozu przyjedzie pewien detektyw. No i przyjechał pan Karol, więc nie ulega wątpliwości, że właśnie pan Karol jest detektywem.

- A ja?

- Pan?

- Ja także przyjechałem tutaj.

- Nie. Pan tu już był, gdy my przyjechaliśmy.

Machnąłem ręką. Gadanie z Zaliczką okazało się zbyt denerwujące. Dosiadłem „sama” i wróciłem do miasta. W sklepach porobiłem zakupy, zjadłem obiad w gospodzie ludowej i o drugiej po południu znalazłem się koło swego namiotu.

Przed namiotem czekała na mnie Hanka. Wydała mi się bardzo zmartwiona.

- Ojca zatrzymali w Komendzie Powiatowej - rzekła. - Moja matka strasznie rozpacza, a ja nie mam najmniejszego pojęcia, co w tej sytuacji powinnam robić. Czekam na pana już chyba ze trzy godziny. Był tu pan Karol, radziłam się go, powiedział mi, że skoro ojca zatrzymali po pierwszym przesłuchaniu, to znaczy, iż go podejrzewają o zabójstwo Pluty,

Zastanowiłem się długą chwilę.

- Wydaje mi się - powiedziałem - że nie ma jeszcze powodów do rozpacz. Jeśli to wszystko, co wczoraj opowiadała mi pani, jest prawdą, sprawa w końcu wyjaśni się z korzyścią dla pani ojca. Milicja nie oprze oskarżenia tylko na fakcie, że Pluta, zanim zginął, nocował w waszym domu. Proszę mieć zaufanie do milicji.

- Łatwo tak panu mówić, bo to nie pańskiego ojca aresztowano. Zresztą - wzruszyła ramionami - cóż pana mogą obchodzić moje kłopoty?

- Niech mi pani wierzy, że bardzo przejąłem się tą sprawą.

- Tak, strasznie się pan przejął - ironizowała. - Pojechał pan na spacer łódką w towarzystwie sympatii...

- Ja? Co pani opowiada? Z jaką sympatią? Kiedy?

- No, przecież dziś rano przyszła do naszego domu pana znajoma, Teresa, i powiedziała, że pan prosi o pożyczenie łódki, bo pragnie pan odbyć przejażdżkę po Wiśle.

- Ja?

- Tak, pan.

- Bzdura, nonsens. Nie prosiłem nikogo o pożyczenie łódki, nie zamierzałem pływać po Wiśle, a tym bardziej z Teresą.

- W takim razie ta panienska ukradła nam łódkę.

Hanka pobiegła do domu, a ja pozostałem pełen niedobrych przeczuć. „Czego Teresa znowu szuka w tej okolicy i po co potrzebna jej łódka?” - zastanawiałem się, choć przecież na każde z pytań mogłem sobie udzielić odpowiedzi. Wsiadając z „sama”, powiedziała mi wyraźnie, że ani Hertel, ani też ona nie zamierzają zrezygnować z szukania zbiorów dziedzica Dunlna. A łódka? Zapewne Teresa lub Hertel chcieli przepłynąć na drugą stronę rzeki, bo tam prowadzły ich jakieś ślady.

Znowu wsiadłem do samochodu. Tym razem pojechałem w las, drogą do rozstaju z krzyżem i do miejsca, gdzie kiedyś przybijał do brzegu prom rzeczny. Tu skręciłem na lewo, na szlak mojej gonitwy za czarnym samochodem Hertla. Dojechałem do maliniaka, zatrzymałem wóz w tym samym miejscu, gdzie przystawał Hertel. Potem pieszo powędrowałem w stronę starych bunkrów. Minąłem włącz do żelazobetonowej komory, w której odnaleźliśmy związanego Skałbanę, i znalazłem się obok przeciwczołgowego rowu wypełnionego wodą. Powędrowałem jeszcze kilkadziesiąt kroków, aż do kładki na rowie, i skręciłem w lewo do bunkra.

Zatrzymałem się, Obok ścieżki leśnej siedział ktoś na pieńku ściętego drzewa. Pękła z trzaskiem gałązka pod moją nogą, ten „ktoś” obejrzał się i kiwnął ku mnie ręką. Był to oficer z Komendy Głównej.

- Dzień dobry panu - przywitałem się z nim. - Słyszałem, że macie już sprawcę zabójstwa. Podobno aresztowaliście Kondrasa.

- Aresztowano go? - zdziwił się oficer. - Właśnie przed pół godziną odprowadziłem Kondrasa niemal pod sam dom. Przesłuchania trwały dość długo, bo musiał nam pokazać wyspę i budkę na wyspie, ale o aresztowaniu nic nie wiem.

Odetchnąłem z ulgą.

- W takim razie - rzekłem - czemu, zamiast poszukiwać prawdziwego zabójcy, spaceruje pan po lesie? Tutaj spodziewa się go pan napotkać?

- Oddycham świeżym powietrzem - powiedział i roześmiał się. Raptem spoważniał.

- Czy pan był wśród uczestników wczorajszej gonitwy za kłusownikami?

- To właśnie ja zdobyłem łódkę kłusowników - oświadczyłem z dumą.

- Ach, tak- powiedział z nutą rozczarowania. - Myślałem, że pan ścigał tego, który zniknął w lesie. Stuknąłem się palcem w czoło.

- Rozumiem, wszystko rozumiem, Pana także zainteresowało tajemnicze zniknięcie kłusownika.

- Czy sądzi pan, że jest trochę prawdy w tym, co mówią ludzie o dwóch podziemnych piętrach starych bunkrów?

- W jednej z takich podziemnych komór odnaleźliśmy uwięzionego Skałbanę - powiedziałem.

- Kogo? - zapytał milicjant - Skałbanę? Kto to jest, gdzie to było?

- Skałbana jest rybakiem i mieszka po drugiej stronie Wisły. Dlaczego był uwięziony, nie wiadomo, nie chciał nam tego zdradzić. Uwięzienia najprawdopodobniej dokonał Hertel, właściciel czarnej limuzyny.

- Panie! - krzyknął milicjant. - Mów pan jakoś rozsądniej, bo nic nie rozumiem.

Opowiedziałem mu o czarnym samochodzie, który nocą zjawiał się w lesie, o moim pościgu za panem Hertlem, o spostrzeżeniach łakomczucha Palki i wreszcie o odkryciu podziemnego wjazdu do komory, gdzie znaleźliśmy związanego Skałbanę.

Oficer milicji aż się za głowę złapał.

- Boże drogi, dlaczego to wszystko opowiada mi pan dopiero teraz? To są bardzo ważne szczegóły.

- A właśnie dzisiaj - dodałem - dowiedziałem się, że owa autostopowiczka, Teresa, znowu zjawiała się w naszej okolicy i pożyczyła łódkę od Kondrasa.

- Łódkę? - zastanawiał się.

- No tak. Zapewne chciała przedostać się na drugą stronę Wisły. Wie pan, przyszło mi na myśl, czy ten fakt nie ma związku ze Skałbaną... On mieszka po drugiej stronie rzeki...

Oficer schwycił mnie za rękę.

- Muszę dostać się natychmiast do Skałbany. Czy nie wie pan, od kogo można by dostać łódkę?

- Tego nie wiem. Ale ja ofiaruję się przewieźć pana przez Wisłę.

- Więc jednak ma pan do dyspozycji jakąś łódkę?

- Ależ nie, przewiozę pana samochodem.

- Czym? - zdumiał się oficer. - Panie, pan znowu przemawia do mnie od rzeczy?

- Proszę mi zaufać - powiedziałem. - Mój wehikuł bezpiecznie przewiezie nas przez rzekę.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

CO SIĘ STAŁO W MIESZKANIU RYBAKA SKAŁBANY – ODNAJDUJEMY AUTORA ANONIMÓW – ARESZTOWANIE RYBAKA – KTO ZABIŁ PLUTĘ – O KROK OD ŚMIERCI – TRAGICZNA UCIECZKA – W POŚCIGU ZA PRZESTĘPCAMI – KŁOPOTY Z ZALICZKĄ – ZŁODZIEJE ODDAJĄ ŁUP – W PODZIEMIACH – PONURE ZAKOŃCZENIE HISTORII BARABASZA

Oficer milicji z wielką nieufnością usadowił się w „samie”, a gdy wjechałem w wodę - o mało nie wyskoczył z samochodu. Uspokoił się stwierdziwszy ze zdumieniem, że mój wehikuł nie zanurza się głęboko i na wodzie tak samo świetnie pracuje jego silnik.

- Uff - sapnął ocierając pot z czoła. - Jeśli mi pan teraz powie, że pański wóz zdolny jest także nurkować, z zamkniętymi oczami gotów jestem płynąć na dno Wisły.

- Żałuję, ale tego nie potrafi.

- Czy to pan budował tę piekielną maszynę?

- Nie, mój wujek. Gromiło się nazywał. Zdolny to był człowiek, niedoceniony wynalazca.

- Pański wóz jaką ma rejestrację? Lądową czy wodną?

-- Lądową - stwierdziłem.

- W takim razie pływa pan nim po wodzie bez pozwolenia.

- Tak? - zdumiałem się. - Więc natychmiast wracam na ląd.

- Nie, nie - chwycił mnie za rękę. - Ja tylko żartowałem. Muszę pana jednak ostrzec, że milicja pełniąca służbę na wodzie mogłaby mieć do pana pewne zastrzeżenia.

Tak oto żartobliwie rozmawiając, przepływałam Wisłę. Była to przejażdżka bardzo przyjemna - niebo się wypogodziło i świeciło teraz gorące popołudniowe słońce. Rzeka miała piękną barwę nieba, tu i ówdzie złociły się piaszczyste wysepki, woda bowiem gwałtownie opadała po niedawnej powodzi.

Wreszcie znaleźliśmy się na drugim brzegu.

Pozostawiłem „sama” w krzakach wikliny i poprowadziłem milicjanta do wioski leżącej tuż za wysokim nasypem przeciwpowodziowym.

Znowu powitało nas gwałtowne ujadanie psa na podwórzu. Zapukaliśmy do drzwi, a gdy nikt nie odpowiedział, oficer nacisnął klamkę. Dom Skałbany był otwarty. Weszliśmy

najpierw do ciemnej sionki, z której jeszcze jedne drzwi wiodły do izby mieszkalnej.

Najpierw rzucił się nam w oczy straszliwy bałagan. Sprzęty wałały się przewracane, jakby toczyła się tutaj jakaś walka. Z rozprutej pierzyny wydostało się pierze, w otwartych drzwiach szafy leżały zrzucone z wieszaków ubrania i palta. Szuflady staroświeckiej komody były wyciągnięte, a ich zawartość tworzyła na środku izby duży stos.

W tym bałaganie dopiero po chwili spostrzeżliśmy Skałbanę. Siedział w ciemnym rogu izby na krześle, a raczej był do krzesła przywiązany sznurem. Usta i część twarzy owinięte miał szalikiem.

Oficer rzucił się do związanego, zerwał mu szalik z twarzy.

- Napadli mnie. Związali - wycharczał Skałbana, - To się stało przed dwoma godzinami. Jeszcze ich możemy dogonić w lesie za Wisłą, Są koło bunkrów.

- Kto to był? - spytał oficer.

- Nie wiem... Nie wiem... - odpowiedział nieprzytomnie. - Uwolnijcie mnie z tych sznurów, a już ja ich dogonię.

I zaczął się szarpać w więzach, aż zatrzeszczało pod nim krzesło.

- Chwileczkę - rzekł oficer - zaraz będzie pan wolny. Proszę jednak odpowiedzieć: ilu tych ludzi było, kto to był i czego od pana chcieli? Dlaczego tu taki bałagan?

Skałbana z wściekłością spojrzał na oficera. Nie wiedział oczywiście, że to oficer milicji, bo był on ubrany po cywilnemu. Zapewne Skałbana myślał, że to ktoś z obozu antropologów.

- Cholera jasna - zaklął - pytacie mnie o głupstwa, zamiast uwolnić i pobiec za bandytami.

- Kto pana związał? - surowo powtórzył pytanie oficer.

- Nie wiem. Jakichś dwóch takich, nie znam ich zupełnie.

- Czego chcieli od pana?

- Nie mam pojęcia. Do diabła, uwolnijcie mnie! - krzyknął Skałbana. - Oni nie uciekli daleko. Są teraz w lesie koło starych bunkrów.

- A skąd pan wie, dokąd się udali, skoro pan nie znał tych ludzi ani nie domyślał się pan, czego od pana chcieli?

- Słyszałem ich rozinowę... No, uwolnicie mnie czy nie?! - wrzasnął i aż śliną parską z wściekłości. Oficer wzruszył ramionami.

- Panie Skałbana - powiedział ironicznie, - Ciągłe ktoś pana napada i wiąże, ten pan zaś - wskazał na mnie - za każdym razem uwalnia pana z więzów. I w kółko powtarza pan to samo kłamstwo, że nie wie pan, kto go związał i dlaczego to zrobił. Czy nie pora skończyć z

tą błagą?

Skałbana w odpowiedzi rzucił mu przekleństwo. Oficer znowu wzruszył ramionami i począł rozglądać się po izbie. A mnie zrobiło się żal Skałbany. Powiedziałem:

- Może by go jednak rozwiązać ze sznurów?

- Chwileczkę - oficer ostrzegawczo podniósł rękę do góry i dalej myszkował wśród porozwalanych przedmiotów.

- O ile można wnioskować z tego bałaganu - zastanawiał się głośno - ci napastnicy czegoś tutaj szukali bardzo gwałtownie. Czego oni szukali, panie Skałbana?

- Nie wiem. Mówiłem już, że nie wiem - Skałbana uderzył w płaczliwy ton.

- Pan nie wie? Pan oczywiście tego nie wie - złośliwie powtarzał oficer.

Raptem przyklęknął i począł grzebać w stercie papierów wyrzuconych ze staroświeckiej komody.

Spostrzegłem, że nagle wyciągnął kilka starych, jeszcze przedwojennych tygodników ilustrowanych. Niektóre kartki w tygodnikach miały powycinane kawałki stron i tytuły.

- Czy może mi pan powiedzieć, panie Skałbana, po co wycinał pan drukowane litery z gazet? - spytał oficer.

- O czym pan gada? - zdumiał się Skałbana. - Uwolnijcie mnie, do diabła, a nie gadajcie głupstw.

- Wolnego - rzekł oficer i zbliżył się do Skałbany. - Jestem z milicji. Aresztuję was pod zarzutem zabójstwa Nikodema Pluty, zwolnionego z więzienia. Przewieziemy was do aresztu w Komendzie Powiatowej MO.

Dał mi znak, abym rozwiązał sznury.

- I nie próbujcie uciekać, Skałbana - dodał, niedwuznacznie dotykając ręką kieszeni marynarki, gdzie miał ukryty pistolet.

Od tej chwili Skałbana nie odpowiedział na żadne z naszych pytań. W milczeniu w trójkę opuściliśmy dom i skierowaliśmy się nad rzekę. Oficer zabrał ze sobą znalezione u Skałbany tygodniki z powycinanymi tytułami. To Skałbana, jak można było wnioskować na ich podstawie, napisał ów anonim, informujący o noclegu Barabasza na wyspie. To Skałbana pisał list do profesora antropologii. On również wysłał do Kondrasa list z żądaniem pozostawienia otwartej budy na wyspie. Czy to jednak oznaczało również, że Skałbana zabił Plutę? Ale oficer milicji posiadał zapewne więcej niż ja wiedzy i doświadczenia w takiej sprawie.

Usiedliśmy w „samie”, ja przy kierownicy, obok mnie Skałbana, a za jego plecami oficer. Gdy znaleźliśmy się na rzece, oficer rzekł do Skałbany:

- Ponieważ nie wiecie, a raczej udajecie, że nie wiecie, kto was już dwukrotnie uwięził, chętnie przypomnę wam nazwisko tego człowieka: Hertel, Piotr Hertel, czy tak?

Skałbana nie odpowiedział. Tylko ja zawołałem radośnie:

-No tak, to jest właśnie człowiek z czarnego samochodu. Pan z małą, czarną bródką i bardzo bladą cerą.

- To on teraz nosi bródkę? - zdziwił się oficer. - Bładości jego twarzy proszę się nie dziwić. Niedawno opuścił więzienie po piętnastoletnim pobycie.

Przycisnąłem pedał przyśpieszacza, gdyż obok nas przepływał duży, biały pasażerski statek. Byłem pewien, że zdążę przemknąć przed dziobem, skierowanym wprost na nas.

Uuuuuu... Uuuuuu... - ostrzegawczo zawyła syrena na statku.

W gaźniku mego wozu nagle coś zaczęło parskać i kichać. Raptem silnik zgasł i prąd wody począł nas znosić wprost pod dziób statku.

- Do kroćset!... - zawołał oficer. - On nas przepołowi...

Na pokładzie zauważono, co się z nami stało. Woda za statkiem jakby się zagotowała, zaczęto hamować.

- Wyskakujemy! - krzyknął oficer. Dziób statku był tuż obok. Wyrastał nad nami ostrą krawędzią, jak wielka, biała skała.

- Spokojaie - powiedziałem - zdążymy go minąć.

Uuuuuu — zahuczała syrena.

Skręciłem sterem, aby „sam” zdołał przepłynąć obok statku. Dziób był o kilka metrów od nas i zbliżał się, nieustannie się zbliżał. Jeszcze pięć metrów. Jeszcze tylko trzy metry... Patrzyliśmy na niego jak zahipnotyzowani. Minie nas czy też uderzy i zdruzgocze samochód?

I wtedy Skałbana skoczył do wody. Zerwał się ze swego miejsca i dał nura wprost pod dziób statku. Byliśmy zaprzątnięci niebezpieczeństwem, skorzystał z tego i uciekł. Prysnał w wodę. Nurt okazał się jednak silniejszy, niż przewidywał, bo gdy wychylił się z rzeki, uderzył głową o dziób statku. Zapewne natychmiast stracił przytomność. Widziałem, jak dał się porwać rzece, która wciągnęła go pod statek i szalejące pod nim turbiny. Nie wypłynął więcej, a my wolniutko - oddaleni od statku o półtora metra - mijaliśmy niebezpieczeństwo. Z pokładu dobiegały przekleństwa, którymi obrzucali nas marynarze.

Spróbowałem na powrót uruchomić silnik. Kilkakrotnie mocno przycisnąłem pedał „gazu”. Silnik zawył, zaskoczył; i zaczął pracować równo, jak dawniej.

Statek odpłynął. A my chyba z godzinę kręciliśmy się po rzece, szukając Skałbany, łudząc się, że może wypłynie żywy lub martwy. To przecież było okropne: na naszych oczach

zginął człowiek, a my byliśmy bezradni. Wprawdzie zginął nie z naszej winy - uciekł przed mającą go osiągnąć sprawiedliwością - ale zginął tragicznie i niespodziewanie. Ten fakt przejmował nas grozą.

- Sam sobie wymierzył sprawiedliwość - powiedziałem wreszcie.

Dalsze szukanie wydało mi się już bezużyteczne. Dobiliśmy do brzegu. Wjechałem „samem” na leśną drogę.

- Teraz do bunkrów - jak rozkaz rzucił oficer.

- Myśli pan, że Skałbana mówił prawdę? Koło bunkrów napotkamy Hertla? Nie bardzo rozumiem, dlaczego Hertel tak gnębił Skałbanę. Czyżby podejrzewał, że Skałbana zna kryjówkę ze zbiorami?

Oficer niecierpliwie machnął ręką.

- Nie czas na wyjaśnienia. Być może i tak przybędziemy za późno...

Dojechaliśmy do maliniaka. Pozostawiłem tu samochód i wraz z oficerem pieszo udaliśmy się w stronę starych bunkrów i rowu przeciwczołgowego.

- Niech pan patrzy. Tędy niedawno przejeżdżał samochód. Trawa jest zgnieciona kołami - zwrócił mi uwagę oficer.

Weszliśmy w sosnowy zagajnik. Przedarliśmy się przez niego na ukos, aby skrócić drogę do kładki na rowie.

Dlaczego kierowaliśmy się właśnie w tę stronę? Skałbana mówił przecież tylko o starych bunkrach, a one rozciągały się na dość dużej przestrzeni. Potem, gdy miałem czas, aby przemyśleć wszystkie zdarzenia, doszedłem do wniosku, że to historia z kłusownikiem, który tutaj „jakby zapadł się pod ziemię”, kazała nam myśleć ciągle o tym właśnie, a nie innym miejscu, i tutaj kierować swe kroki.

Wybiegliśmy z zagajnika. I oto zobaczyliśmy czarny samochód, stojący w przesiece leśnej, oddalonej od nas o sto metrów. Obok czarnego samochodu sterczała Zaliczka, bacznie rozglądając się dookoła. Zauważyła nas i pisnęła z przestraszeniem. Na jej pisk zza drzew wybiegło dwóch ludzi: pan Karol i Hertel. Nieśli coś w rękach i to „coś” prędko rzucili do auta. Nim dobiegliśmy do czarnego samochodu, silnik jego zawarczał i czarna limuzyna poczęła toczyć się po przesiece.

Zaliczka pobiegła za autem, jakby błagając o zabranie jej do środka. Ale Hertel nie zatrzymał wozu.

- Za nimi! — wrzasnął oficer.

Rzuciliśmy się z powrotem w zagajnik, w stronę „sama”, pozostawionego obok

maliniaka. Istniała szansa, że auto Hertla nie wyprzedzi nas zbyt znacznie. Przecież na przesiece Hertel musiał jechać wolno, aby nie połamać resorów. My zaś biegliśmy po przekątnej. Za nami pędziła Zaliczka, od czasu do czasu popiskując, nie wiadomo - z gniewu czy też ze strachu.

Zaliczka miała długie nogi. Dogoniła nas i mimo naszych protestów wpackowała się do auta.

- Prędej! prędej - przynagłał mnie oficer - na drodze jeszcze się unosi kurz. Oni przed chwilą tędy przejeżdżali.

Gwałtownie ruszyłem z miejsca...

- Nie dogonicie ich - triumfująco syczała Zaliczka za moimi plecami. - Mają świetny samochód, a wy starego grata...

Wyjechałem na drogę. Strzałka na szybkościomierzu poczęła przesuwać się w prawo,

Oficer milicji gromił Zaliczką:

- Pani się zadaje z bandytami. To oburzające. Naukowiec w towarzystwie bandytów schwyty na gorącym uczynku kradzieży dzieł sztuki,

- Bandyty? Kradzież? - oburzyła się Zaliczka. - To przecież wy jesteście bandytami. Ale nie udało się wam. Pan Karol okazał się sprytniejszy. To wspomniały detektyw, nigdy o tym nie wątpiłam.

Oficer na chwilę aż zaniemówił ze zdumienia,

- Detektyw? Bandyta, złodziejaszek, a nie detektyw. Czy pani wie, kim ja jestem?

To mówiąc podał jej legitymacją oficera Komendy Głównej MO. Zaliczka pobieżnie obejrzała legitymację.

- Zapewne została sfalszowana - rzekła.

- Co? Co takiego? - oficer trzął się ze złości.

Przestałem zwracać uwagę na ich dialog, bo droga miała ostre zakręty.

Minęliśmy miasteczko. Dopiero na szosie do Ciechocinka, na długim odcinku prostej drogi, dojrzałem wreszcie czarny wóz Hertla. Przycisnąłem pedał gazu, diabełek począł kiwać głową przypominając mi o ostrożności w czasie jazdy.

Za moimi plecami Zaliczka opowiadała oficerowi - Dopiero dzisiaj pan Karol przyznał mi się, że jest detektywem. Napotkałam go w lesie podczas popołudniowego spaceru. Był w towarzystwie jakiegoś pana i Teresy. Przyłączyłam się do nich, choć twierdził, że to może mnie narazić na niebezpieczeństwo ponieważ właśnie nadszedł moment decydującej rozgrywki z bandytami, polującymi na ukryte dzieła sztuki. To chodziło o pana

Tomasza. Ale mnie niebezpieczeństwo nie przerażało. Wtedy zgodzili się abym im pomogła, pan Karol nareszcie przyznał że jest detektywem. Poszliśmy do starych bunkrów, pan Karol odkrył właz i potem z podziemia począł wynosić do samochodu zbiory dziedzica Diunina.

- A co się stało z Teresą? Pani mówiła, że wraz z wami była i Teresa - powiedziałem nie odwracając głowy.

- Zapewne została w podziemiach - padła odpowiedź.

Na liczniku miałem sto czterdzieści kilometrów, lecz wydawało mi się, że ani odrobinę nie zmniejszyła się odległość między „samem” i czarnym samochodem Hertla.

- Skręcili! Skręcili na szosę do Torunia! - krzyknął oficer.

Przycisnąłem hamulce, aż razległ się głośny pisk. I również wjechałem na toruńską szosę. Z początku biegła przez las, potem zbliżyła się do Wisły.

Znowu wzrastała szybkość „sama”. Sto pięćdziesiąt, sto sześćdziesiąt kilometrów... Dopiero teraz zauważyłem, że jednak dość znacznie zbliżam się do czarnej limuzyny. Potem odległość ta jeszcze zmalała, bo Hertel musiał zwolnić tempo jazdy, gdyż na szosie ukazało się kilka furmanek.

Na niewielkim odcinku drogi udało mi się osiągnąć prędkość stu osiemdziesięciu kilometrów na godzinę. Mój „sam” okazał się wspaniałym samochodem.

Dogoniliśmy Hertla pod Toruniem. Gdy spróbowałem go wyprzedzić, zjechał na lewą krawędź szosy i chciał mnie zepchnąć do rowu. Zahamowałem w porę i wycofałem się do tyłu. Schwytaliśmy ich przed zamkniętym szlabanem kolejowym.

Oficer milicji wyskoczył z „sama” i podszedł do czarnego wozu Hertla.

- Wysiadać! Natychmiast wysiadać! - krzyknął. Najpierw wygramolił się z auta pan Karol, a potem Hertel.

- Przecież nie stało się nic złego - tłumaczył się Hertel. - Nie zrobiliśmy nikomu krzywdy.

- Oskarżam was o to, że próbowaliście skraść dzieła sztuki, będące własnością państwa polskiego, Hertel wzruszył ramionami.

- One były niczyją własnością, ponieważ nikt nie wiedział, gdzie zostały ukryte. My odnaleźliśmy to miejsce, więc zbiory Dunina nam się należą. Tego, co zrobiliśmy, nie można nazwać kradzieżą. Sąd nas uniewinni.

- To się okaże - rzekł oficer, - Odpowiadać będziecie także za dwukrotną napaść na Skałbanę. Hertel wzruszył ramionami.

- Proszę pana - powiedział - Skałbanę, można rzec, potraktowaliśmy z niezwykłą

łagodnością. Jemu należy się stryczek za zabójstwo Pluty. Próbował także i mnie zwabić do budy na wyspie. Tylko, że ja nie byłem Plutą...

- Zgłóście się w Komendzie Powiatowej MO celem złożenia zeznań - rozkazał im oficer. - A teraz proszę przenieść do naszego samochodu wszystkie rzeczy skradzione z podziemi.

Zrozumieli, że przegrali. Opór nie miał najmniejszego sensu. Posłusznie więc wypełnili rozkaz. Ukradli przede wszystkim starą broń: tureckie jatagany, wysadzone koralami, kilka kindżałów o rękojeściach pokrytych drogimi karnieniami oraz kołczan i wschodnią tarczę z umbem złożonym, nabijanym turkusami. Oprócz broni zdołali zabrać z podziemia starą srebrną zastawę stołową, cztery wielkie dzbany pozłacane i pozłacaną misę.

- Czy dużo podobnych rzeczy pozostało jeszcze w bunkrze? - spytał ich oficer.

Podchwyciliśmy ukradkowe spojrzenia, które między sobą wymienili.

- Nie łudźcie się, panowie - ostrzegł ich oficer. - Odnajdziemy także i panienkę, która była z wami w podziemiach.

Zaliczka przez cały ten czas ze zdumieniem obserwowała, jak rzekomy detektyw pokornie oddawał ukradzione przedmioty. Teraz dała folę swemu zdziwieniu:

- Więc panowie nie są jednak detektywami? - spytała ich z oburzeniem.

W odpowiedzi Hertel tylko wzruszył ramionami. A pan Karol uśmiechnął się drwiąco.

- Pan mnie oszukał - stwierdziła Zaliczka zwracając się do pana Karola. - Pan nie łowił ryb, nie był pan detektywem.

- Nie, droga i naiwna panienko - z ironiczną uprzejmością odrzekł pan Karol. - Nigdy nie twierdziłem, że jestem detektywem, To pani sama wmawiała mi tę rolę.

Zaliczka była tak oburzona, że pokazała mu język, jak mała, obrażona dziewczynka. Potem z wielką godnością wsiadła do mego auta.

- Dziękujemy za pomoc - pobiegło za nią drwiące wołanie pana Karola.

Oficer milicji wylegitymował obydwóch przestępców i spisał ich personalia.

- Stawicie się w Komendzie Powiatowej - powiedział na zakończenie. - Jeżeli tego nie zrobicie, po prostu każę was zamknąć, a tak będziecie odpowiadać przed sądem z wolnej stopy.

- Rozkaz, panie komisarzu. Zjawimy się - przyrzekł Hertel. - Siedziałem piętnaście lat i nie myślę znowu powędrować do więzienia.

-A teraz z powrotem do lasu, do starych bunkrów - rzekł do mnie oficer. Pojechaliliśmy. Obok wjazdu ukrytego w krzakach jeżyn zastaliśmy Teresę. Hertel i pan

Karol uciekli w chwili, gdy Teresa znajdowała się w podziemiach bunkra, Objuczona naręczem starej broni wyszła na powierzchnię i ku swemu przerażeniu stwierdziła, że jej przyjaciele gdzieś zniknęli. Czekala tu na nich, lecz zamiast przyjaciół zobaczyła wrogów - mnie i oficera milicji. Ze złości rozplakała się, czym dowiodła, że jest tylko młodą, głupią dziewczyną, która niepotrzebnie wplątała się w brzydkie sprawy. Tak samo o niej pomyślał chyba i oficer milicji, bo odciągnął mnie na bok i szepnął do ucha:

- Niech ją pan z łaski swojej odstawi do ciotki. Postaram się wyłączyć dziewczynę ze śledztwa, Zdaje się, że dostała nauczkę na całe życie.

Oficer zajął się zabezpieczeniem zbiorów odnalezionych w podziemiach, a ja odwoziłem Teresę do Ciechocinka. Gdy wróciłem, wielkie milicyjne anto zabierało właśnie zbiory do Komendy Powiatowej MO. Na chwilę zniknąłem w otwartym włazie, ciekaw byłem, jak wyglądał ów poszukiwany przeze mnie sezam z ukrytymi skarbami. Okazało się, że jest to podziemny bunkier niemal identyczny z tym, w którym odkryliśmy uwięzzonego Skałbanę. Tylko że była w nim jeszcze jedna mała komora, gdzie Skałbana zmagazynował zbiory przeniesione z innej kryjówki - o tym zresztą dowiedziałem się znacznie później. Niewielka komórka w podziemiu miała żelazne drzwi. Skałbana zamknął je na grubą zasuwę. To właśnie klucza od tej zasuwki poszukiwał w mieszkaniu Skałbany pan Karol i Hertel. Aby im Skałbana nie przeszkadzał w poszukiwaniach, przywiązali go do krzesła. Szczegóły tej sprawy ujawniło potem śledztwo.

Wkrótce przeżyłem jeszcze jedną bardzo ponurą chwilę. Nadeszła wiadomość, że o dziesięć kilometrów w dół rzeki, na piaszczystej łasze odnaleziono ciało Skałbany. Oficer milicji zabrał mnie tam, abym zidentyfikował zwłoki.

Pochowano Skałbanę na Wyspie Złoczyńców na małej polance w pobliżu zbiorowej mogiły bandy Barabasza. Tego samego Barabasza, którego Skałbana zdradził i naraził na śmierć, aby wejść w posiadanie zrabowanych przez bandę zbiorów dziedzica Dunina. Było w tym fakcie coś ponurego i jednocześnie symbolicznego.

ZAKOŃCZENIE

W tydzień później wybrałem się z Hanką na Wyspę Złoczyńców. Był piękny letni wieczer - szliśmy wolno ścieżką przez polanę.

- Czy wie pani - powiedziałem - że ja jednak dość rozsądnie zabrałem się z początku do poszukiwania zbiorów dziedzica Dunina? Byłem bliski celu. Ale wszystko tak się później splątało... Rozumowałem logicznie: skoro Dunin wezwał do pomocy w ukryciu zbiorów swego gajowego, Gabryszczaka, to znaczy, że zbiory schowano gdzieś w lesie. Starych bunkrów nie brałem pod uwagę, trudno było przypuszczać, aby w tym czasie, gdy znajdowali słu w bunkrach żołnierze niemieccy, ktoś chował tam swoje drogocenneści. I rozumowałem słusznie: albowiem dziedzic Dunin wraz z gajowym zawieźli zbiory do szopy w lesie.

- Do tej, w której nocowaliśmy na stryszku?

- Tak. W lewym rogu szopy wykopano głęboki dół i umieszczono w nim ogromną skrzynię. A w skrzyni były zbiory. Potem gajowy Gabryszczak zdradził to miejsce bandzie Barabasza, choć, jak wiemy, życia swego tym nie uratował, bandyci i tak go zabili. Faktem jest, że wszyscy członkowie bandy, a więc i Pluta, i Hertel, i Skałbana - znali dobrze ów schowek w szopie lesnej.

- To Skałbana także był w bandzie Barabasza?

- Owszem. Ale na innych zasadach niż pozostali. Należał do wywiadu bandy, nie chodził na rozbój. Zamieszkiwał w swoim domku, udawał, że z bandą nie ma nic wspólnego. Zajmował się szpiegowaniem milicji, donosił o jej ruchach w terenie. Odkąd jednak wyniknęła sprawa ukrytych zbiorów, Skałbana zaczął przemyśliwać, jak by pozbyć się bandy Barabasza i wejść w posiadanie bogactwa, które wydawało mu się ogromne. Przy pomocy anonimu ułożonego z liter wyciętych z tygodnika wysłał milicji wiadomość o noclegu bandy na wyspie. Wiemy, co się potem stało. Barabasz zginął, wraz z nim zginęła większość jego ludzi. Ocalało tylko dwóch: Pluta i Hertel, ale i ich także skazano na karę śmierci. Tylko że potem przyszło ulaskawienie. Zamieniono im karę na dożywotnie więzienie, a ostatecznie zwolniono ich po piętnastu latach pobytu w więzieniu. O tym jednak nikt w miasteczku nie wiedział aż do dnia, w którym Pluta zjawił się u pani ojca.

- Jednego nie rozumiem - przerwała mi Hanka. - Dlaczego Skałbana nie zniszczył tygodników, z których wycinał litery do swego anonimu i potem do listu wysłanego memu

ojcu?

- Bo pani chyba zupełnie nie zna psychiki tego typu ludzi. Skałbana to był człowiek, który chyba nigdy w życiu nie kupował gazet, książek, zapewne od czasów szkolnych nigdy nie czytał. Stosunek takiego człowieka do słowa drukowanego jest zupełnie inny niż pani lub mój, jest to stosunek bardzo złożony. Ot, Skałbana miał w swym mieszkaniu kilka starych przedwojennych tygodników ilustrowanych, Może wydawały mu się bardzo cenne, bo stare, bo ilustrowane? Skałbana słyszał kiedyś od kogoś, że charakter pisma może zdradzić autora. Więc wyciął litery z tygodników, ale samych tygodników szkoda mu było wyrzucić. Zresztą, zapewne nigdy nie przypuszczał, że ta sprawa może się wydać. Podobny stosunek miał Skałbana i do zbiorów dziedzica Dunina, które po rozbiciu bandy Barabasza stały się jego własnością. Zapewne najpierw bał się sprzedać jakikolwiek przedmiot ze zbiorów, podejrzewając, że ktoś może wpaść na trop całej historii. Wolał poczekać, aż ludzie o wszystkim zapomną. Ale w miasteczku ciągle pamiętano o zbiorach dziedzica, ba, sprawa ta zaczęła obrastać legendą, która frapowała wszystkich, tak samo jak panią Pilarczykową. To właśnie bardzo utrudniało Skałbanie próbę sprzedaży zbiorów. Więc zachowywał się jak przysłowiowy pies ogrodnika, co to siedzi na sianie, sam go nie je i drugiemu nie da. Być może, Skałbana ten i ów przedmiot ze zbiorów zawiózł do Torunia albo do Włocławka, żeby sprzedać. Ale pewnie źle trafił, nie docierał do ludzi, którzy zainteresowaliby się starą bronią. To przecież są rzeczy dla znawców. Ofiarowywano mu grosze, a za grosze Skałbana nie chciał się pozbywać zbiorów, o których wiedział, że są niezwykle cenne, bo za takie uważał je Dunin. I Skałbana czekał na okazję. Zjawiła się ona w miasteczku w postaci profesora antropologii. Skałbana napisał do niego list. Lecz tak się niefortunnie złożyło, że list spowodował przyjazd kustosa, który nieumiejętnie zabrał się do rzeczy i spłoszył Skałbanę. Wtedy właśnie mnie powierzono tę sprawę.

- A jeszcze przedtem przybył do miasteczka Nikodem Pluta wypuszczony z więzienia
- uzupełniła Hanka,

- Tak właśnie było, Pluta zatrzymał się u pani ojca i zaczął rozglądać się po okolicy, Zajrzał do starej szopy leśnej i stwierdził, że zbiory Dunina są na miejscu, Dowiedział się także, że Skałbana w dalszym ciągu mieszka w tej okolicy, Być może, Pluta jeszcze w więzieniu, gdzie miał dość czasu na przemyślenie całej sprawy, doszedł do wniosku, że zdradził ich wówczas Skałbana. Skoro bowiem - rozumował Pluta - Skałbana wiedział o noclegu bandy na wyspie, a po klęsce bandy jedyną osobą, która nie poniosła żadnego szwanku, był właśnie Skałbana - on więc jest zdrajcą. Pluta postanowił rozprawić się z rybakiem. Umówił się ze Skałbaną w drewnianej budzie na wyspie. To, że właśnie tam się

umówił, ma dla mnie wielkie znaczenie. Chciał zemsty na Skałbanie dokonać w tym samym miejscu, gdzie jego, Plutę, oraz całą bandę Barabasza, spotkała klęska z winy Skałbany. Lecz nie przewidział, że Skałbana domyśla się jego planów. I to nie on Skałbanę, ale Skałbana jego zabił podczas spotkania na wyspie.

- Brr, niech pan już nie opowiada. Zimno mi sę robi, gdy znowu przypominam sobie szczegóły tej historii - rzekła Hanka.

Tak, to nie było przyjemne. Rozmawiać o zbrodni właśnie tutaj, na wyspie, gdzie się rozegrały te ponure sceny, i do tego wieczorem, w pobliżu zbiorowej mogiły bandy i świeżej mogiły Skałbany. Naprawdę miefortunnie wybrałem się z tym opowiadaniem. Zamilkłem więc. Pograżeni w myślach minęliśmy drugą polanę.

Znajdowaliśmy się o kilka kroków od drewnianej budy. Raptem w wklinie, obrastającej brzeg Wisły, zaszeleściło coś i zobaczyłem Wilhelma Tella wraz z jego towarzyszami. Na nasz widok Tell wyraźnie się zakłopotał.

- O, zdaje się, że już rozumiem pewną bardzo brzydką sprawę - rzekła gniewnie Hanka.

- O co chodzi? - zdziwiłem sę. Tell się zaczerwienił, to samo stało się z Sokolim Okiem i Borówką.

- Jak wam nie wstyd - z wyrzutem powiedziała Hanka.

Tell podniósł do góry dwa palce.

- Słowo honoru, że już nigdy się to nie powtórzy - przysięgał. - To był tylko żart. Zwykły żart.

- Nic nie rozumiem - stwierdziłem.

- Nie mieliśmy żadnych złych zamiarów - począł mi wyjaśniać Tell. - Odwiedziliśmy kiedyś wyspę i raptem z tej tu budy wyszedł mężczyzna i rozkazał nam, żebyśmy się stąd wynieśli.

- To było wtedy, gdy mój ojciec dostał list od Skałbany - tłumaczyła ojca Hanka. - Ojciec bał się, że zostanie tu popełniona nowa zbrodnia i że ci młodzi chłopcy mogą być narażeni na niebezpieczeństwo. Tym bardziej że ojciec nie wiedział, kto zabił Plutę, i wyobrażał sobie, że już sam pobyt na wyspie może okazać się groźny. Dla każdego.

- Skrzyczał nas i wygonił z wyspy. Więc my, przez złość, wieczorem zaczęliśmy się w krzakach i gdy on, zapalając lataraiie w rzecznych bojach, przepływał obok wyspy, wołaliśmy „Barabasz”. Chcieliśmy go nastraszyć. To było głupie, przyznaję - mówił Tell - ale wówczas traktowaliśmy to jako doskonały i zabawny żart.

- Ach, to już wiern, dlaczego wówczas, gdy nocowałem na wyspie, nie rozległ się tutaj

okrzyk „Barabasza” - mruknąłem.

- Szliśmy przez wyspę, aby powtórzyć żart. Zobaczyliśmy pański namiot i oczywiście zrezygnowaliśmy z kawału - rzekł Borówka.

- A teraz? - spytałem.

Spuścili głowy. Milczeli. Znaczyło to, że dżół również chcieli powtórzyć swój żart.

- Ojciec pani Hanki miał rację, że wypędził was z wyspy - odezwałem się. - Nie myliło go przecucie. Tutaj właśnie miało być popełnione nowe straszne przestępstwo. Skałbana umówił się z Hertlem, zamysławiając zabić go na wyspie. Nie przewidział jednego: że Hertel przyjdzie na spotkanie nie sam. I wtedy sytuacja odmieniła się. Oni, to znaczy Hertel i pan Karol, zmusili go do opuszczenia wyspy. Zaprowadzili go w głąb lasu, gdzie znajdował się włącz do starego bunkra. Hertel znał te miejsca bardzo dokładnie, bo przecież jako członek bandy Barabasza nieraz nocował w podziemiach bunkra koło maliniaka. W bunkrze związali Skałbanę i zagrozili mu, że jeśli nie wyda im kryjówek ze zbiorami dziedzica Dunina, będą go tu więzić i głodzić. My uwolniliśmy Skałbanę i zepsuliśmy szyki Hertlowi i panu Karolowi. Oczywiście teraz nietrudno domyślić się, dlaczego Skałbana ukrywał przed nami, kto go związał i uwięził. Musiałby przecież jednocześnie zdradzić się, że wie, gdzie są ukryte zbiory.

- Ale skąd Skałbana dowiedział się o przyjeździe Hertla? I jak się z nim zdołał umówić na wyspie? - spytała Hanka.

- Zapewne Pluta, zanim został zabity, powiedział Skałbanie, że jeszcze ktoś oprócz niego zostanie wkrótce wypuszczony z więzienia. Dlatego po zabójstwie Pluty Skałbana starał się opróżnić stary schowek w szopie leśnej i przeniósł zbiory Dunina do podziemi drugiego bunkra. Od tej chwili wydawało mu się, że - nie potrzebuje obawiać się przyjazdu Hertla. I bardzo się omylił. Bo Hertel okazał się znacznie sprytniejszy, niż Skałbana przypuszczał. Oto po wyjściu z więzienia Hertel poznał niejakiego pana Karola, pracownika poczty, który poza swoim skromnym zajęciem na poczcie prawdopodobnie brał udział w przeróżnych machinacjach. Milicja bada jego przeszłość i z pewnością wykryje różne ciemne sprawy. Otóż ten pan Karol, właściciel pięknego, czarnego samochodu - bo samochód należał do niego - zaopiekował się Hertlem, dowiedziawszy się, że ten zna kryjówek z cennymi zbiorami. Obydwaj zawarli spółkę, tak to chyba można nazwać. I przyjechali samochodem tu, do tego lasu, aby zabrać zbiory. To wtedy prawdopodobnie widziałem ich samochód, krążący nocą po ścieżkach leśnych. Oczywiście, zbiorów w dawnej kryjówce nie odnaleźli, Hertel był wściekły i zarazem zrozpaczony. Kto to mógł zrobić? I kiedy?... Z początku Hertel pomyślał pewnie, że kryjówek opróżnił Pluta, który wyszedł wcześniej z więzienia. Ale przecież znana była Hertlowi bandycka solidarność Pluty. Podczas pobytu w więzieniu kilkakrotnie spotykali

się z sobą i przysięgali sobie, że po wyjściu na wolność lojalnie podzielą się zdobyczą. Jeśli więc Pluta opróżnił kryjówkę, musiał pozostawić Hertlowi wiadomość, dokąd się udał i gdzie nastąpi podział zdobyczy. I Hertel, a wraz z nim pan Karol zdecydowali pozostać w tej okolicy, aby czekać na znak od Pluty. Dla ułatwienia postanowili, że Hertel, w którym ktoś z miasteczka mógłby rozpoznać dawnego bandytę, pozostanie w Ciechocinku i będzie co wieczór przyjeżdżał w umówione miejsce na spotkanie z panem Karolem. Ten zaś zacznie udawać turystę i zamieszka w pobliżu obozu antropologów. Tak się też stało. Wkrótce dowiedział się Hertel, że z dawnej bandy Barabasza pozostał ktoś, kto uniknął kary i cały czas przebywa na wolności. Był to Skałbana. Hertel wiedział, że Skałbana, podobnie jak wszyscy inni członkowie bandy, zna kryjówkę ze zbiorami dziedzica Dunina. Domyślił się więc, że to nie Pluta, ale właśnie Skałbana opróżnił schowek w szopie leśnej. Hertel kazał panu Karolowi obserwować Skałbanę, a sam umówił się z nim na rozmowę. Skałbana, jako miejsce spotkania, wyznaczył Wyspę Złoczyńców i wysłał list do ojca pani Hanki z rozkazem pozostawienia otwartej budy na wyspie, gdzie zamierzał dokonać drugiego zabójstwa. Lecz, jak wiemy, Hertel na spotkanie przyszedł z panem Karolem. Obydwaj uwięzili Skałbanę w podziemiu pierwszego bunkra, o drugim bunkrze Hertel nic nie wiedział, znał go tylko Skałbana, który pracował przy ich budowie. My uwolniliśmy Skałbanę z podziemia, ale wkrótce wynikła sprawa zrekonstruowanej czaszki. Pan Karol wy dostał od pana Opałki jedną z fotografii odtworzonej czaszki. Hertel rozpoznał Plutę. Teraz postanowili ostro zabrać się do Skałbany. Tymczasem nadeszła noc, harcerze ścigali kłusowników i jeden z nich nagle jakby „zapadł się pod ziemię”. Pan Karol, jak wiemy, także brał udział w pościgu, nie uszło jego uwagi nagle zniknięcie kłusownika. I mnie, i oficerowi milicji, i panu Karolowi, i Hertlowi przyszło jednocześnie na myśl, że być może w miejscu, gdzie zniknął kłusownik, jest jakieś wejście do podziemnego bunkra, Tylko że pan Karol i Hertel nas uprzedzili. Hertel oczywiście lepiej niż my orientował się w tym lesie, szybciej znalazł właz do drugiego bunkra, lecz gdy zeszli do podziemia, okazało się, że drzwi do małej komórki przylegającej do głównej komory bunkra są zamknięte na zasuwę. Pojechali więc do Skałbany łódką, którą dostarczyła im Teresa. Skałbanę zastali w mieszkaniu, zaskoczyli go swoją wizytą. Znowu go związali, a ponieważ nie chciał im oddać klucza od zamka, rozpoczęli w mieszkaniu gorączkową rewizję. Klucz wreszcie odnaleźli i natychmiast pojechali do kryjówki ze zbiorami. Tak zeznali milicjł Hertel i pan Karol. Dalszy ciąg jest wam wszystkim znany...

- A dwaj kłusownicy siedzą w areszcie - z triumfem oświadczył Wilhelm Tell. - Milicja odnalazła właściciela łódki i tak po nitce trafiła do kłębka. Kłusownikami okazali się dwaj młodzi ludzie z sąsiedniej wioski za rzeką.

- Tak - skinąłem głową. - Twierdzą, że to Skałbana namówił ich do kłusownictwa. Zresztą, u Skałbany na strychu odkryto dużą ilość wyprawionych skórek zwierzęcych. To był rozbójnik, straszny rozbójnik ten Skałbana. Tak zasmakował w procederze bandyckim, że choć przestała istnieć banda Barabasza, on dalej w jakiś sposób ciągle uprawiał swoje bandyckie rzemiosło. Gdy przestał uprawiać je wśród ludzi, to zaczął w lesie wśród zwierząt. Uuuuu - zahuczało na rzece.

Drgnąłem przestraszony. Po rzece płynął biały pasażerski statek. Głęboki ryk syreny przypomniawszy mi chwile, gdy ze Skałbaną płynęliśmy „samem” przez Wisłę. Dlaczego wówczas skoczył do rzeki? Czy sądził, że uda mu się umknąć i że zdoła dobiec do starego bunkra w lesie, a wówczas odbierze Hertlowi klucz od kryjówki ze zbiorami? A może po prostu ucieczką chciał się ratować przed karą za zamordowanie Pluty.

- Chodźmy - powiedziałem do Hanki i chłopców.

Przypomnienie strasznej śmierci Skałbany nappełniło mnie grozą. Nie chciałem przebywać dłużej na wyspie, gdzie stało się tyle złego. Pomyślałem, że może najlepiej uczynię, jeśli zwinę swój obóz i powrócę do domu. Tu wszystko przypominało mi tamte ponure historie.

Nie miałem tu już zresztą nic do roboty. Zbiory dziedzica Dunina zapewne niedługo powądrują do muzeum. Chyba nikt ze zwiedzających oglądając je nie domyśli się okoliczności, w jakich zostały odnalezione.

Przeplłynęliśmy „samem” odnogę rzeczną. Na brzegu pożegnałem Hankę, która sprawiła mi kiedyś tyle kłopotu, a z którą teraz zaprzyjaźniłem się serdecznie. Potem rozstałem się z chłopcami. To byli naprawdę bardzo dzielni harcerze, myślę, że niewielu jest chłopców tak dzielnych, jak oni. Tylko dzięki nim schwytano kłusowników, niszczących zwierzęta w lesie.

- Pan miał rację mówiąc nam - powiedział mi na pożegnanie Wilhelm Tell - że przygodę można znaleźć wszędzie, tylko trzeba mieć oczy otwarte i nie być leniwym.

- A „bursztynową komnatę” też kiedyś ktoś odnajdzie, prawda? - rzekł Sokole Oko.

- Tak - powiedziałem z głębokim przekonaniem.

Na rozstaju dróg, gdzie stał pochylony krzyż, zobaczyłem rosnące przy drodze niebieskie, małe kwiatki. Były skromne, nie pachniały, ale miały piękny kolor. Narwałem ich dość dużo i ułożyłem w bukiet. Po przyjeździe do obozu antropologów wręczyłem bukiet Zaliczce.

- Pan jest jednak romantyczny! - zawołała rozpromieniona. - Pan jest jednak naprawdę romantyczny.